

Maria Rodziewiczówna

Błękitni

I

Roznoszono właśnie wety. Służba w liberii białej z żółtym, kapiącej od złota i haftów, fantazyjnego kroju, z zapiętymi na plecach wierzchnimi rękawami podawała je na złożonych tacach, tak poważna i skupiona, jakby spełniała obrządek religijnego kultu.

Z tac wyzierały złociste ananasy, pomarańcze, świeże figi, daktyle, owoce dalekiego Południa, na stole szampan pienił się w kryształach. Tymczasem zachodzące słońce, czerwone, zaglądało przez wąskie, gotyckie okna do tej sali sklepionej, wyłożonej dębem rżniętym misternie, ślizgało się po ścianach obwieszonych trofeami łowów, muskało gdańskie, rzeźbione kredensy i szafy, lubowało się zbytkiem zastawy stołu, strojów służby, zazierało też bardzo niedyskretnie i ciekawie w oczy dziewięciu biesiadników. Poczciwe słońce, które dzień cały złociło łany zbóż rodzimych, ogarniało życiodajnym uściskiem białe brzozy, czarne olchy i dęby, grzało lotki jaskółek, bocianów, szarych wróbli, opalało na brąz twarze smagłego ludu, od potu szklące, a radosne w znoju - teraz pod wieczór, ukośnie, przez cieniste parki i złożone sztachety, wdarło się aż tutaj, na kamienny dziedziniec, zabawiało się z fontanną i wpadło aż do środka pysznego, samotnego gmachu.

Zdziwione było słońce. Owoce na stole nie ono wypieściło; napój złocisty nie jego był dziełem; twarze tych ludzi, goszczących u biesiady, nie pomalowało złocistym odblaskiem. Były białe i różowe jak kwiaty fantastycznych begoni zdobiących stół jadalny, kwiaty, które słońce widziało niekiedy przez tęczowe szkła przepysznych cieplarni.

Więc słońce, śmiało i pewne swego czaru, poczęło tych ludzi dotykać po czole i policzkach, muskać po włosach. Nie widywało takich w swoich wędrówkach po polach szerokich, po dolinach cichych, po gwarnych osadach przydrożnych.

Na czołach tych nie było potu; policzki pokrywał puder lub bladość papierowa.

Znalazło przecie młode lica i poswawolić chciało. Poczęło więc je całować ognistymi pocałunkami, łechtać drżącymi promieniami; poczęło pieścić i głaskać. Takie pieszczoty i swawole miewało zwykle dla ludzi, którzy znosili jego skwar całodzienny, a ludzie owi płacili mu uśmiechem i, zaczepieni, podnosili w stronę jego tarczy łagodnej, purpurowej oczy wdzięczne i wesole.

Ale u tego stołu inni byli ludzie. Młode lico uchyliło się od pieszczot i całusów, usunęło się niechętnie i twarz młodej, bardzo pięknej damy zachmurzyła się widocznie.

- Ach! to obrzydliwe słońce! Obiadujemy przy chłopskiej iluminacji! - sarknęła odrzucając wachlarz.

Towarzysz jej, mężczyzna bladej i mizerny, podniósł oczy ku oknu i łuna zachodu stanęła w jego źrenicach siwych, przyćmionych i jakby bardzo smutnych.

- Ktoś ty? - spytało go słońce. - Nie widziałem nigdy ani ciebie, ani takiego smutku, jak w twoich oczach. Czyś nieszczęśliwy? Czyś chory? Chodź ze mną!...

Zamigotało całym bogactwem swych barw.

- Chcesz złota i purpury? Patrz, ile ich mam!

Źrenice pozostały mgławce i zimne. Mężczyzna, nie spuszczać powiek, rzekł bardzo dźwięcznym, cichym głosem:

- Siła! zapuść firankę!

Biało-złocisty sługa, stojący za jego krzesłem jak na warcie, podskoczył żywo ku oknu.

I nagle pomiędzy słońcem a tym obrazkiem obcym a ciekawym stanęła gęsta, gładka zaporą z ciemnego jedwabiu.

Słońce skupiło się... i uderzyło w nią, zdziwione i uparte. Nie zdołało przebić, chciało spalić. Rozgorzało jak łuna, gniewne i mściwe.

Jedwab przyjął cios, rozpałił się i łapczywie wciągnął w siebie promienie. Wszystkie zagarnął, do środka dostało się tylko światło łagodne, rozpraszające dobroczynnie mrok komnaty.

Słońce, wygnane i pogardzone, odbiegło. Jeszcze chwilę obejrzało ściany z szarego kamienia, łupkowy dach, zajrzało na wysoko zatkniętą biało-złocistą chorągiew herbową na szczycie wieży, pogroziło pysznym murem i musnąwszy wierzchołki drzew parku, znikło.

Do sali jadalnej służba wniosła setki świec zapalonych, podawała kawę i likiery.

- Nie lubisz słońca, Idalio? - zawołała panienska siedząca naprzeciw pięknej damy. - A ja bardzo lubię! Przypomina mi bengalskie ognie. Chętnie zmieniałbym z tobą miejsce.

- Czy i kawalerów? - spytała dama mrużąc oczy i pokazując zza ust karminowych, zanadto nawet karminowych, dwa rzędy małych, ładnych zębów.

Panienska oblała się delikatnym rumieńcem.

- Wątpię, czy księżna wygrałaby co na zamianie! - rzekł sąsiad młodej osoby, wysoki młodzieniec o rudawych faworytach. - Niestety, pieczętujemy się właśnie Słońcem.

- Jak to? Nie jakimkolwiek Koniem?

- Niestety! Centaura i sąsiedztwo księżny zagarnął mi książkę Leon - najniesłuszniej.

- Jedno i drugie dostało mi się najzupełniej przypadkowo - odparł młodzieniec o smutnych oczach, który przed chwilą wygnał słońce z komnaty.

- Może nawet wbrew chęci! - rzuciła mu ciszej piękna pani, wyłącznie dla niego tylko.

- Co do Centaura, niezawodnie - rzekł spokojnie.

- A co do sąsiedztwa? - badała uparcie.

- Sąsiedztwo księżny zawdzięczam dzisiaj tak ciężkim okolicznościom, że istotnie w takich warunkach uznaję je za przeciwne moim chęciom. Przy tym stole zajmuję miejsce nie dla mnie przeznaczone, a to, księżno, nie osładza biesiady.

- Z tyrady tej widzę, że ksiązę studiował w...

- Mylisz się, księżno. Żadne studia nie potrafiłyby uczynić ze mnie hipokryty.

- Ach, więc jesteś zawsze szczerym?

- Zawsze, dla tej prostej przyczyny, że nad nieszczerością trzeba przemyśliwać, układać ją i ciągle o niej pamiętać, a ja, księżno, lenię się myśleć.

- To mnie bardzo martwi. Człowiek szczery jest więcej niż nudny, jest trywialny. Ksiązę więc nie potrafi mówić nawet komplementów. O zgrozo!

- Uważam po tonie, że księżna, wyegzaminowawszy moje zdolności towarzyskie, rada by co prędzej zamieniła z moją siostrą miejsce i kawalera, au risque (ryzykując, narażając się) opalenia się przy słońcu hrabiów Maszkowskich.

- Przeciwnie, kontrast pociąga! Zostaję na miejscu narzuconym nam przez obowiązek i postanawiam zająć się wychowaniem księcia w tym, w czym nawet jezuici nie dali rady.

- Jestem zawsze na rozkazy - rzekł młodzian chyląc ufryzowaną, jasnowłosą głowę w stronę zalotnej damy.

Uderzyła go z lekka wachlarzem po ramieniu.

- Tiens! (patrzcie no!) - zawołała wesoło - ksiązę jesteś chwilami zupełnie ładnym chłopcem! Dziś, gdy cię zobaczyła, vous m'avez paru horrible! (wydał mi się pan okropny!)

- Widocznie zyskuję przy bliższym poznaniu.

- Tym lepiej.

- Nie byłem przecie zupełnie obcym księżnie, przed pięciu laty družbowałem bratu.

- Ach! wtedy! Był to dzień taki obrzydliwy. Miałam na sobie haniebnie skrojony stanik i byłam zła na szwaczkę - ale zła jak furia. A przy tym - w białym mi nie do twarzy - nie chciałam atłasu, wszystko było nie wedle mej woli. Ach, mon Dieu! (mój Boże!) w taki dzień źle wyglądać dla dogodzenia barbarzyńskiej tradycji! No, a przy tym ten Amadeusz, tak mi dokuczył swymi drwinami! Ten człowiek mi zawsze żółć porusza! Ksiązę mi nie dokuczył - więc go wcale wtedy nie zauważyłam. Nieprawdaż, że mi żaloba do twarzy?

- Żaloba księżny jest przepysznie... skrojoną - odparł spoglądając na jej toczone kształty.

- Znajduje ksiązę? O, nie jesteś wybredny. To worek tylko zastosowany do okoliczności. Tradycja w postaci waszej matki zabrania stanowczo wyciętych staników.

- Tradycja krzywdzi nas niemiłosiernie!

- Ach, flatteur! (pochlebca!) - Trąciła go znowu wachlarzem.

- Za co cię karzą, Leonie? - zagadnął przez stół hrabia Maszkowski.

- Za prawdę! - odparł młodzieniec.

- Księżniczka Iza przed chwilą obiecała mię za coś podobnego sownie wynagrodzić!

- Obiecuj, Izo, obiecuj! - zaśmiała się księżna Idalia. - Możesz obiecać nawet nagrodę, ~a discretion (jaką chcesz). Ja ręczę, że płacić nie będziesz nigdy!

- Czy hrabia jest uczniem księżny? - zagadnął jej towarzysza.

W tej chwili, gdy trochę pochylony ku niej oczekiwał odpowiedzi, ktoś dotknął jego ramienia.

Obejrzał się żywo.

Siedzący z drugiej strony biesiadnik dotąd się wcale nie odzywał.

Starzec to był, zupełnie łysy, niedbale ubrany, z wielką, spadającą na piersi brodą.

Nie wtrącał się do rozmowy, a cała jego postać i zachowanie odbijały jaskrawo od eleganckich fraków mężczyzn, od zwykłych strojów kobiet.

Nie miał towarzyszek. Siedział ostatni u stołu i obojętny na otoczenie; jadł prędko, popijał wodą, a w przerwie między jednym daniem a drugim zaglądał do otwartej przed sobą książki.

Przy wetach wziął cały ananas z kosza, rozciął go wzdłuż i w szerz i nie jadł, tylko mu się przyglądał. Książę, trochę zdziwiony, spojrział nań, ale wnet, jakby przypomniał sobie, z kim ma do czynienia, zapytał:

- Co rozkażesz, profesorze?

- Nic nie rozkażę - odparł starzec. - Czy nie masz, kolego, przy sobie lupy?

Wszyscy umilkli. Rozmawiano ciągle po francusku, a profesor przemówił najtrywialniej w świecie po polsku.

Towarzystwo wzdrygnęło się, jakby wśród koncertu pies zaszczeakał, a książę Lew, wyrwany nagle z toku rozmowy, przez sekundę nie rozumiał, co do niego mówiono.

- Czym ci mogę służyć, profesorze? - zagadnął.

- No, lupą, lupą, szkłem powiększającym.

- Ach, tak! Przepraszam. Nie mam żadanego przedmiotu, ale w tej chwili podać każę. Siła, zawołaj mi Bernarda.

Sługa skoczył do drzwi.

- Kogo z nas profesor chce mieć w powiększeniu? - zawołała z góry stołu kobieta już niemłoda, ubrana bardzo ekscentrycznie, a gadająca bez przerwy z młodym, bardzo wysokim i cienkim mężczyzną o twarzy psotnej małpy czy złośliwego satyra.

- Znalazłem pasożyta w ananasie! - odparł profesor spokojnie, skalpując końcem noża owoc.

- Fi donc! (a fe!) - oburzyła się ciekawa dama. - I myśmy to jedli!

- Nic nie szkodzi - uspokoił profesor - jest to rodzaj mikroskopijnego pędraka gąsienicy, który się ugotuje w żołądku.

- Smakowita sztuka mięsa!

W tej chwili służący wrócił za krzesło pana i chyląc się w pół, zaraportował:

- Miłościwy kniaziu nasz, Francuz siedzi w wannie, ale zaraz stanie przed wami.

Panowie zagryźli usta, panie zasłoniły się wachlarzami. Gdyby nie byli książętami i hrabiami, śmieliby się homerycznie, ale regulamin dystynkcji nakazywał zawsze się uśmiechać, nigdy nie śmiać.

Nikt się nie odezwał prócz gadatliwej damy:

- Tiens (ha!), to jakiś muzułmanin ten Bernard! Odbywa wieczorne ablucje! Któż to?

- Mój kamerdyner, ciotko - odparł książę Leon.

- Turek?

- Nie, ciotko, Francuz.

- Zazdroszczę ci. Nie potrzebujesz łamać języka.

- Mogę go ciotce odstąpić.

- Kamerdynera, fi donc! Ustąp mi raczej jaką fertyczną subretkę.

- Niestety, ciotko, nie rozporządzam płcią nadobną.

- Doprawdy? - spytała szyderczo księżna Idalia.

- Niezawodnie - odparł z uśmiechem, który miał być lekki, a był smutny i blady.

Gentleman, ubrany bez zarzutu, z twarzą starannie wygoloną, ukazał się we drzwiach i przystąpił do krzesła księcia.

- Książę mię potrzebował? - rzekł po francusku.

- Podaj mi lupę, Bernardzie.

Kamerdyner skłonił się i wyszedł.

- Co do służby, najlepsi są Anglicy - ozwał się hrabia Maszkowski. - Nie używam też innej.

- A ja wolę Niemców - rzekł mężczyzna z twarzą satyra.

- Gdyby baron poznał naszych ludzi, poznałby doskonałość - wtrąciła księżniczka Iza.

- Nie wierzę, by państwo sami nawet znali ich wszystkich. Za pierwszej bytności w Holszy chciałem ich policzyć i dałem pędko za wygraną. Nie pojmuję dotąd, kto i jakim sposobem utrzymuje w karchach to całe wojsko. Na nas, ludziach z Zachodu, robią oni wrażenie hordy średniowiecznej. Całą ich zasługą jest wygląd wysoce fantastyczny.

- Są też uosobieniem wierności, posłuszeństwa i sprawności.

- To dowód ich małej inteligencji, sądzę.

Bernard ukazał się znowu z żądanym szkłem, a jednocześnie siwowłosa, majestatyczna matrona, królująca u góry stołu, dała znak zakończenia biesiady.

Powstali wszyscy oprócz profesora, i parami opuścili komnatę, przez której szeroko otwarte podwoje ukazał się długi ciąg przepysznych salonów.

Towarzystwo minęło ich kilka, nim stanęło w sali zajmującej cały środek pałacu, z jednym wyjściem na taras ogrodowy, a z drugim na pałacowy dziedziniec. Oświetlona rzęsiście, sala ta sprawiała wrażenie czarujące.

Ściany, malowane al fresco, * wypełnione były wieńcami z amorków, bukietami z nimf i bachantek, po niszach i framugach białeły smukłe marmurowe posągi, w środku od kopuły spuszczał się kryształowy pajak jarzący się tysiącem światła.

al fresco (wł.) - technika malarstwa ściennego na świeżym, jeszcze wilgotnym tynku.

Towarzystwo zatrzymało się w salonie.

Matrona w żałobie usiadła na pewnego rodzaju tronie zajmującym środek bocznej ściany. Pary przedfilowały przed nią, nisko pochylając głowy; kawalerowie umieścili swe damy na fotelach i kanapach; zamieniono ukłony, zakończono rozmowy. Ceremonia obiadowa była spełniona.

Księżna Idalia położyła się prawie na kanapie i zdawała się drzemać, wachlując się z lekka. Księżniczka Iza ulokowała się w pobliżu drzwi prowadzących na taras i pożądliwie wyzierała w stronę ogrodu, skąd płynął zapach róż i kwiatów pomarańczowych. Dama w cudacznej sukni, wbrew etykietce, chodziła po sali podśpiewując pod nosem. Mężczyźni wysunęli się nieznacznie na cygara.

Dwóch lokajów, nieruchomych jak kariatydy, oczekiwało u drzwi na skinienia i rozkazy. Z czterech kobiet pozostawionych sobie, matrona na podwyższeniu wyglądała jak bożyszczce syte ofiar; panienka, jak ptak w klatce zrodzony i wyrosły, który ze swego naturalnego kultu swobody zachował tylko nieokreślone marzenia i bierną tęsknotę; dama ekscentryczna robiła wrażenie burczącej frygi, puszczonej dłonią złośliwego chochlika na posadzkę kościoła; a księżna Idalia, zda się, była jedną z malowanych syren czy nimf, która znudzona zaklętą na ścianie pozycją, zstąpiła między żyjących, ubrała się modnie i rozłożyła rozkosznie, z mocnym postanowieniem zamiany swej roli widza na daleko dla niej stosowniejszą - aktora.

Panowie się spóźniali.

W gabinecie tureckim, wśród dymu wirginii i odurzających wonnych cygaret, zrzucili też na krótką chwilkę przymus towarzyski, zdjęli maski słodkiej galanterii i o ile umieli, byli sobą.

Najstarszy towarzysz przy obiedzie matrony - jej brat, a wuj księcia Lwa, mężczyzna jeszcze piękny pomimo siwiejących włosów (były wyśmienicie uczernione) i okazały pomimo

sztynnego chodu i nóg ociężałych, rozparł się w fotelu i usadowiwszy obok siebie siostrzeńca, ściągał z niego kawalerski egzamin.

Baron Amadeusz, brat księżny Idalii, założywszy monokl w oko, z rękoma w kieszeniach spodni, słuchał rozmowy dorzucając niekiedy pieprzny dwuznacznik.

Hrabia Maszkowski usiadł konno na krześle, łokieć wsparł na poręczy i ściskając kolanami drewnianego wierzchowca, używał sportowej "iluzji", pokrzykując czasem po angielsku.

Kilku nieodzownych lokajów czatowało u drzwi.

Oczy ich bystre spoczywały ciągle na delikatnej i szczupłej postaci księcia Lwa, który narkotyzując się nadzwyczaj aromatycznym, damskim papierosem, wytrzymywał szermierkę z wujem ze zwykłą sobie, trochę smutną powagą.

Przed pięciu laty, po dziale z bratem, opuścił był kraj rodzinny.

Z odpowiedzi, które teraz dawał, łatwy był wniosek, że czasu nie tracił, użył wszelkich rozkoszy, doznał wszystkich wrażeń, skosztował wszelkich zakazanych owoców. Miał milionowe środki i używał życia szalenie.

Wuj nerwowym, niespokojnym ruchem zacierał ręce, doznawał zda się opowiadanych rozkoszy, przypominał je w dobrze zachowanej pamięci podstarzałego sybaryty. I stanowczo z tych dwóch ludzi on wyglądał młodszy. Ożywiony, z rumieńcem podniecenia na gładkiej twarzy, stanowił dziwaczną anomalię z siostrzeńcem, którego blade, kobieco delikatne oblicze, zaostrome i zmizerowane wszelakim nadużyciem, nie miało na sobie ani śladu życia, zajęcia, jakiegokolwiek wrażenia.

Przeżyty był zapewne, ale to przeżycie było tak wielkie, że nawet cynizm po nim nie pozostał - nic zgoła.

Byłaby trupia ta twarz, byłaby okropną moralną nicością, gdyby nie ów smutek szczególny, który czasem jak odrętwienie wyzierał ze zmęczonych oczu, i gdyby nie bardzo wprawdzie rzadkie, ale wyraźne zmarszczenie czoła w rys dojmującej bolesti.

Wówczas znać było, że w tym człowieku coś czuje, a raczej że go coś boli - i w takich chwilach dziwnie bywał wyszlachetniony.

- Gdzież dogoniła księcia wieść o katastrofie Alfreda? - zagadnął go nagle baron Amadeusz, przerywając bardzo drastyczną anegdotę, której wątek, cedzony powoli i obojętnie, pożerał wuj książkę łakomie.

- Dogoniła, zdaje mi się, w Palermo.

- I przeraziła zapewne?

- Przerazić, nie; ale był to cios tak nagły, że przez chwilę sądził się ofiarą zmy. Ostatni list od brata był pełen dobrego humoru, otrzymałem go na tydzień przed wypadkiem.

- Ba! Jam go widział dniem przedtem na tej szelmie kobyle i byłem pewien, że się źle skończy! - zawołał Maszkowski, zaprzestając na chwilę sportowych skoków na krześle. - Potrójny wyciąg głupstwa. Wyobraź sobie, klacz bez kropli krwi szlacheckiej, bez tresury, bez tradycji! Szlachcianka wyhodowana samopas na zaścianku, apetyczna, nie przeczę, felowna bestia, ale pod holszańskiego masztalerza, a nie pod pana. Alfred się w niej zakochał.

- Wyobraź sobie: książę w szlachciance! - wtrącił ze śmiechem wuj, zapominając w ferworze, o czym była mowa.

Oczy księcia Lwa, utkwione w hrabiego, przeniosły się na wuja, a ów szczególny skurcz brwi i szcęk przemknął po obliczu. Nie rzekł nic, a Maszkowski perorował dalej, gestykulując gwałtownie.

- Zakochał się i kupił! Klacz, przyprawiona do Holszy, tratowała i gryzła ludzi, nie dała nikomu do siebie przystąpić, nie chciała jeść i pić, rżała bez ustanku dzikim głosem - szatan w kobylej skórze. Ja bym jej za te fochy i chimery w łeb wypalił.

- Chimery i fochy mają bardzo cenny, drażniący wdzięk - zaśmiał się wuj dwuznacznie.

- Hrabia widocznie lubi potulne owieczki - dodał baron.

- Wcale nie, ale tresura, moi panowie, to grunt, to pierwsze i ostatnie przykazanie. Kto tego nie posiada, do stada z nim - na matkę. W krzyżowaniu wady by zginęły powoli, a naturalne przymioty nabrałyby rzeczywistej wartości. Czy księżę dotąd tej klaczy nie zastrzelił? - zwrócił się do wuja, który widocznie nudził się i ziewał.

- Nie, hrabio. Zostawiłem tę sprawę w zawieszeniu do woli Lwa.

- Szczególna cierpliwość! Ale przyszło mi do głowy, że ja bym ją kupił, przed egzekucją naturalnie.

- Szlachciankę... bez tresury! - zaśmiał się baron.

- Do stada tylko, do krzyżowania.

Księżę Holszański poruszył się na krześle.

- Myślałem, że opowiesz mi, hrabio, przebieg owej tragicznej katastrofy - rzekł z cicha.

- Właśnie to czynię. Byłem obecny przy początku. Alfredowi zamarzyło się pojechać na klaczy tej do waszego Czartomla. Masztalerz przejechał parę razy na niej; dla poskromienia wparto ją w bagna za Holszą i spienioną, z dymiącymi bokami przyprawiono przed ganek.

"Człowieku, krzyczę, żaden dżokej Anglik na niej nie siedział, i ty chcesz jej dosiadać?"

Ale Alfred był jak pijany.

"Nie widziałeś nigdy żywcem Holszańskiego Centaura", powiada, "no, to patrz!" I skoczył na siodło.

Zakryłem oczy ze zgrozy! Jaka ta klacz miała złą manierę, moi panowie, to nie koń, ale zwierzę.

- Więc zabiła go? - spytał książę Lew głucho.

- Zmiażdżyła formalnie - rzekł wuj krzywiąc się ze wstrętem. - Masztalerz widział wypadek. Za groblą, koło znajomych ci z tradycji dwóch krzyżów, u zawrotu, uniosła biednego Alfreda w stronę równie ci dobrze znanej enklawy szlachecka Sumoroka. Enfin - cela vous porte malheur, ce nom! (przecież to nazwisko przynosi panu nieszczęście!) Alfred spadł z klaczy i włókł się za nią, nie mogąc wydobyć nogi ze strzemienia. Gdy go wyratowano, literalnie nie miał głowy, tylko korpus skrwawiony.

Książę Lew bardzo nisko pochylił głowę i milczał. Pozostali nie przerywali ciszy i dopiero po długim milczeniu baron Amadeusz drwiąco się uśmiechnął i powstając złożył przed nowym dziedzicem głęboki ukłon.

- Enfin - le roi est mort, vive le roi (Nareszcie - król umarł, niech żyje król) - rzekł.

To powiedziawszy, skierował się do drzwi.

Damy w salonie nie zmieniły pozycji. Księżna matka siedząca na tronie, zatopiona w kontemplacji brązowego Centaura w przeciwległej niszy, zdawała się upajać chwałą swego rodu i stanowiska. Księżna Idalia szarpała koronki wachlarza. Księżniczka Iza, zaplótłszy na kolanach liliowe rączki, wyzierała na taras. Księżniczka ciotka podziwiała z najzimniejszą krwią najmniej odzianą grupę nimf na ścianie.

Baron Amadeusz jednym rzutem oka objął kobiety i ślizgając się bez szelestu po szklistej posadzce, dotarł do kanapki zajętej przez siostrę i usiadł obok niej.

- Więc? - spytała go żywo.

- Więc? - powtórzył.

- Proszę cię, nie dowcipkuj! Wiesz, o co mi chodzi! - rzuciła niecierpliwie.

Barona niecierpliwość ta podniecała do złośliwego wyskoku.

- Ani trochę - odparł obojętnie, skubiąc swój mizerny, nieokreślonego koloru zarost.

- Wybadałeś księcia Leona?

- Względem czego?

- No, względem jego zamiarów co do mnie.

- Czyli, kiedy cię myśli pojąć za żonę?... Moja piękna pani siostró - niepotrzebny trud. Holszańscy tak wiele mają na sobie pleśni nazbieranej przez wieki, że w podobnych kwestiach nie kierują się swoją wolą. - Potem wycedził powoli: - W statutach ich państwa i dynastii są zapewne wymienione rody, z którymi im wolno się łączyć. Przywdziej żałobę. Dostałaś raz tego szczęścia - i musisz na tym poprzestać. Na Lwa czeka inna księżniczka.

- Mais je veux l'avoir - te dis-je! (Przecież ci mówię, że chcę go mieć!) - syknęła.

- Aby ci przypominał tego idiotę Alfreda!

- Jakiś ty teraz dowcipny! Obywałeś się bez przymiotników, gdyś u tego idioty czerpał pełną garścią dla swoich metres.

- Bardzo byłem i jestem logiczny, jak widzisz. Teraz, gdy mi się sprzykrzyły kobiety, a Alfred się zabił, mogę o jednym i drugim wyrazić swój sąd. Wiesz przecie, że nekrologi piszą się po śmierci.

- Free, point de plaisanterie! (Bracie, bez żartów!) Pytam cię stanowczo, co będzie ze mną teraz?

- Z tobą? Zrobisz, co ci się podoba. Ponieważ zaś uważam, że ci mocno podobał się Lew, będziesz się z nim bałamuciła. Ostrzegam cię tylko przed argusowym wzrokiem regentki księżny. Jak uważałem z rozmowy przy cygarach, twój brat mężowski zna się na galanterii i użył wielkiej wprawy. Potrafi grę urozmaicać i to ci rozpędzi forsowane nudy żałoby.

- Tu es imbecyle! (Jesteś głupcem!) - syknęła tupiąc nóżką. - Ja chcę go za męża, a nie dla zabawy. Ja chcę, rozumiesz?

- Że chcesz go za męża, bardzo wierzę i zgadzam się w zupełności, a raczej nic mi na tym nie zależy i moje błogosławieństwo daję ci z góry! Staraj się tylko, aby w konieczność twej chęci uwierzył Lew, co łatwiej, i księżna matka, co będzie, jak sądzę, trudniej.

Księżna Idalia zagryzła wargi i zdawała się chwilę namyślać.

- Chcę przede wszystkim wyjechać stąd - powtórzyła powoli. - Mnie ta Holsza zabija, mnie potrzeba naszego świata i powietrza, wiesz Amadee - Wiednia, salonów, dworu!

- Kladderadatsch! (Hałas, skandal!) - zaśmiał się baron.

- Ach ten Alfred! Pomieszał mi wszystkie szyki. Było rzeczą postanowioną, że przeniesiemy się do dóbr galicyjskich. Mieliśmy zimować w Wiedniu i Paryżu na przemian. Ach, że ten człowiek nawet w porę umrzeć nie potrafił! A teraz trzeba znów cierpieć.

- Per aspera ad astra! (Przez cierpienie ku gwiazdom!) - rzekł sentencjonalnie baron. - Właściwie dotąd nie rozumiem, po co mnie sprowadziłaś tutaj i po co trzymasz tak długo?

- Czemu się nie starasz o Izę? - szepnęła niecierpliwie.

- Czemuż mi tego wcześniej nie powiedziałaś! Ileż ona ma posagu, ta nimfa holszańska?

- Dwakroć!

- Phi - cette misere! (jaka nędza!) Moja droga, mam czterokroć lichwiarskich długów, nie licząc przyjacielskich.

- Co ty robisz z pieniędzmi?

- To samo, co ty, ma belle! (moja piękna!) Rzucam je w błoto. Na nieszczęście, idiota Alfred nie dawał mi dziesiątej części tego, co tobie! Hm!... kosztowałaś go pewnie z parę milionów. No i proszę! Powiadają, że kochanki rujnują!

- To nie ma nic do rzeczy! Robisz się wprost niemożliwy ze swym cynizmem. Siedzisz tu trzy tygodnie i nie wyrozumiałeś, co myśli księżna i wuj Proński!

- Owszem, wyrozumiałem. Regentka myśli o trzech rzeczach: o swym kapelanie, który haniebnie się starzeje, o niebotycznej chwale swej dynastii i o zjedzonym obiedzie. A wuj Proński także o trzech: o sposobie dostrojenia swych starych sił do młodych chęci, o wypchnięciu za umitrowanych paniczów swych starzejących się cór i o jak najszerszej sławie jego czortowieckiej obory.

- Imbecyle! Pytam o mnie!

- O tobie, moja piękna siostró - nikt nie myśli. Odegrałaś już w Holszy swoją rolę.

Tu baron pochylił się do ucha siostry i bardzo cicho zaśpiewał:

Otez vos habits roses et vos jolis souliers,

Monsieur Malbrouck est mort, est mort et enterree.

(Zrzućcie wasze odświętne stroje i piękne buty, Pan Malbrouck umarł, umarł i został pochowany.)

- Zastosuj się do tej rady - dodał. - Ładnie ci w żałobie, dostrój do niej twarz i fryzurę. Za parę lat tron regentki śmierć dla ciebie opróżni. Czy ten tron cię nie nęci? Bardzo będziesz efektownie wyglądała!

Księżna wstała gwałtownie, odrzuciła tren żałobnej sukni i majestatyczna, rozdrażniona skierowała się w stronę tarasu.

W tejże chwili stara księżna skinęła na pokojowca.

- Poproś tu księcia! - rzekła.

Jakiego - nie dodała, a sługa nie spytał. W Holszy był jeden tylko książę dla całego dworu.

Po chwili wezwany się ukazał i przystąpił do tronu matki, pozdrawiając ją bardzo etykietalnym i głębokim ukłonem.

Nikt by nie zgadł, że ten młodszy syn, lubo z winy swego spóźnionego urodzenia mało uważany w rodzinie, od sześciu lat, po raz pierwszy dzisiaj, wracał pod dach ojcowskiego domu, przed kilku godzinami zaledwie powitał matkę dotkniętą okropną stratą.

Nie przemówili do siebie ani jednego serdecznego i poufnego słowa, nie dali znać po sobie, czy cierpią, czy się cieszą z widoku najbliższych. Byli księstwem na Holszy i Czartomlu - nie matką i synem.

Księżna skinęła nań, by się zbliżył, i wskazała miejsce obok siebie, na małym taburecie, gdzie zwykle siadywała jej lektorka.

- Zapominasz się, Leonie - rzekła sucho.

- W czym, księżna matko? - zapytał spokojnie.

- W formach, mój drogi. Od godziny nie widzę cię na sali.

- Proszę darować. Istotnie zapomniałem.

- Książę na Holszy powinien zawsze o swym stanowisku pamiętać.

- Tak niedawno otrzymałem tytuł, że moje roztargnienie dziś proszę wybaczyć. Jutro będę na swoim miejscu.

- To konieczne i liczę, że choć nie masz rutyny, tradycja z krwią odziedziczona zastąpi ci brak wprawy. Jutro też goście się rozjadą i pomówię z tobą o ważnych sprawach. Dziś chcę się tylko spytać, czy spotykały cię po drodze deputacje?

- Tak. Na przepręgach prezentowała mi się nasza służba i urzędnicy, a przed miasteczkiem przyjmowałem delegację mieszczan, Żydów i chłopów.

- Z mowami?

- Tak. Mówił burmistrz i rabin.

- Ufam, żeś im nie odpowiadał.

- Nie, zmęczony byłem drogą, zresztą to mnie nudzi.

- Bardzo słusznie zrobiłeś. Zapewne zanosili do ciebie skargi i prośby?

- Doprawdy nie wiem. Nie słuchałem.

- Rozumiem cię doskonale. Dzień taki jak dziś każdy nowy książę Holszański razy kilka w życiu odbyć musi. Okoliczności po temu są, gdy zjeżdża, tak jak ty dzisiaj, do Holszy lub gdy przywozi sobie żonę. Dawniej witano go podobnie, gdy wracał z dalekiej podróży, ale obecnie podobne wypadki zbyt spopolitowały się. Zatem ty odbyłeś ów ważny dzień jeden. Zostaje ci tylko do odbycia jeszcze drugi - ostatni. Mam nadzieję, że prędko nastąpi.

Książę milczał nieporuszony. Maską apatii i chłodu nie zdradzała najmniejszego wrażenia. Siedział wyprostowany, elegancki i ręką kobieco białą o arystokratycznych kształtach gładził delikatne, płowe wąsiki. Księżna matka doszedłszy w swej perorze do punktu, skąd wyjść chciała, pochyliła się trochę i łagodząc ostry głos mówiła dalej:

- Jesteś ostatnim męskim przedstawicielem swego rodu. To wkłada na ciebie wielkie i ważne obowiązki. Wierzę, że im sprostać potrafisz.

Książę, nie zmieniając pozycji i nie przestając gładzenia wąsów, potakująco skinął głową.

- Wierzę w to również - potwierdził ze słabym odbłyskiem dumy w głosie.

- To tylko miałam ci dzisiaj powiedzieć. Jutro pomówimy obszerniej. Tymczasem dłużej cię zatrzymywać nie będę. Masz gości. Możesz odejść. Przyślij mi tutaj Izę.

Wyciągnęła do niego rękę ruchem biskupa, gdy do ust wiernych podaje swój pasterski ametyst.

Książę pochylony głęboko, dłoń tę ucałował. Audiencja była skończona.

Sala tymczasem zaludniła się. Baron Amadeusz, pomimo pogardy dla marnego posagu księżniczki Izy, rozmawiał z nią żywo, modyfikując grymasy twarzy i swawolę języka. Maszkowski, kiwając się na cienkich i pałakowatych nogach, zabawiał piękną Idalię genealogią swych ulubionych koni - naturalnie po angielsku.

Wuj Proński i panna Lawinia Holszańska oglądali marmurową grupę Amora i Psyche komentując, dowcipkując, rzucając sobie na przemian francuskie kalambury.

- Jesteś! - zawołała stara panna, klepiąc synowca poufale po ramieniu. - Wiesz co? Wyjdźmy trochę na świeże powietrze. Bardzo tu ciasno w tej sali.

Podał jej ramię i wyprowadził na taras, reszta towarzystwa podążyła za nimi.

Na tarasie biła fontanna, obryzgując mgłą wonne pomarańcze w kwieciu i masę cieplarnianych roślin. Rozpoczęto przechadzkę po żwirowanej ścieżce.

- Papierosa mi nie ofiarujesz? - zawołała księżniczka Lawinia i obracając się dodała: - Monsieur! on fume ici! (Panowie! pali się tutaj!)

Panowie spiesznie skorzystali z pozwolenia; tylko książę Lew podał ciotce swą papierośnicę i sam nie zapalił.

- Nie żenuj się. Mama nie widzi, a ja - wiesz, tyle dbam o wasze ceremonie, co o stary pantofel.

- Dziękuję, ciotko. Nawyknięcia pewne form są silniejsze niż nałóg. Nie zwykłem palić przy damach.

- Więc i tyś Chińczyk z parawanu! W takim razie pakuję się i zmykam. Chciałam u was zabawić do września, ale cóż będę robiła?

- Każda chęć ciotki będzie spełniona.

- Ja nie mam chęci, mój drogi, tylko fantazje.

- Będą zatem spełnione ciotki fantazje.

- A więc przede wszystkim zapal papierosa.

- To już nie fantazja, ciotko, ale przywrodozenie bliźniego do grzechu.

- Phi, phi! Jakiś ty święty! Przypomnij no sobie, czy nie masz na sumieniu ani jednego grzechu przeciw tradycjom książęcych form i zabobonów?

Utkwiła weń żywe, drwiące oczy, oczy łobuza na twarzy czterdziestoletniej kobiety.

Na lice księcia wybiegł nieznaczny rumieniec i ów skurcz dojmującego bólu.

- Nie podaję się za świętego tej religii, ale za wyznawcę o tyle, o ile sumiennego - odparł.

- Brawo, odpowiedź ściśle salonowa. Lwie Holszański, podobasz mi się. Jesteś ładny chłopiec, elegancki kawaler i masz coś pociągającego dla kobiet. Padaj na kolana, pasuję cię na mego rycerza!

Spełnił rozkaz z całą galanterią, a stara panna uderzyła go parasolką po ramieniu i przypięła do ramienia odjętą od stanika ciemną kokardę.

- C'est fait! (Stało się!) Bądź mi wierny, bo trzeba ci wiedzieć, że jestem zazdrosną jak tygrysyca.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odparł swobodnie - będę odtąd niewierności popełniał tylko za ciotki plecami.

- Ach ty cyniku! Mówię ci, zemsta moja będzie okrutną.

- A miłość jaką? - zagadnął.

- Co, co, miłość? - zawołał książę Proński podbiegając.

- Jak to! Książę nie wie, co to miłość? - zaśmiała się stara panna.

- Czekam od pani objaśnienia.

- A zatem po kolei. Niech każdy powie swe zdanie.

Tu księżniczka Lawinia wskoczyła bardzo zręcznie na ławkę i stentorowym głosem oznajmiła:

- Panowie i panie! Ogłasza się konkurs na najdokładniejsze określenie miłości w dziesięciu najwyżej, a w trzech najmniej słowach. Nagrodą kwiat pomarańczy, sąd na głosy, większość rozstrzyga. Namysł nie dłuższy od trzech minut. Skończyłam.

W tej chwili książę Lew poczuł, że ktoś mu wsuwa rękę pod ramię. Obejrzał się i spotkał utkwione w siebie oczy siostry z wyrazem nieśmiałego błagania.

Zdziwiony pochylił się do niej i spytał:

- Czym ci mogę służyć, Izo?

- Daruj, że cię utrudzam. Wracam właśnie od matki. Chcę cię prosić o coś.

- I owszem, Izo, ale nie w tej chwili przecie! Mamy gości, nie rozporządzamy swym czasem - upominał z cicha.

Księżniczka opamiętała się widocznie. Cofnęła się nieco i dziwnie roztargniona odpowiadała na zapytania Maszkowskiego.

Panna Lawinia nie schodząc ze swej trybuny perorowała dalej:

- Panowie i panie, termin namysłu upłynął. Książę Proński jest proszony o głos.

Wuj zatarł ręce i składając półokrągły ukłon całemu towarzystwu wygłosił:

- Miłość jest to wieczna młodość i piękno!

- Komunał! - mruknęła księżniczka Lawinia.

- Proszę o głos! - zawołała księżna Idalia. - Miłość to największa pamięć i największe zapomnienie! - wymówiły karminowe usta, gdy wzrok szukał uparcie oczu Leona.

Czy to wskutek magnetycznego wpływu, czy wypowiedzianego aforyzmu książę spojrział na bratową.

- Księżna będzie miała mój głos przy sądzie - rzekł z uśmiechem przymuszonym.

- Hrabia Edwin Zymbram Maszkowski, herbu Słońce - wołała zupełnie swą rolą przejęta panna Lawinia.

- Co takiego? - odparł zagadnięty, przerywając półgłosem prowadzoną rozmowę z Izą.

- Co jest miłość? pytam pana.

- Miłość, słowo daję, nie wiem. Tak mnie to nagle zaskoczyło.

- Uczucie czy zapytanie? - wtrącił baron domyślnie.

- Wszystko, słowo daję. No cóż... Miłość to dobra rzecz - dodał po namyśle.

- Mogę panu zaręczyć, że za to określenie nie dostaniesz pan pomarańczowego kwiatu.

Baronie, słuchamy!

Baron to nawijał, to rozwijał sznurek od szkiełka na palec. Przymrużył oczy i kołysząc się wdzięcznie, rzekł ze zwykłym, złośliwym uśmiechem:

- Miłość jest to szyld sklepu, w którym sprzedają cnotę na grosze, zasady na fenigi, honor na szelągi.

- Należysz pan widocznie w tym sklepie do stałych kundmanów! - zaśmiała się stara panna.

- Księżniczko Izo, proszę o słówko w tej kwestii. Znasz miłość przecie, w twoim wieku kochałam na zabój.

Dziewczyna cofnęła się wylękła.

- Ach, nie, ciotko, nic nie wiem i nic powiedzieć nie potrafię.

- Niezawodnie - wtrącił książę Lew - wolimy posłyszeć zdanie samej projektodawczynie.

- Właśnie! Właśnie! - zawołano chórem.

- Chcecie, słuchajcie - strojąc komiczny grymas odparła zagadnięta. - Miłość to wodewil, który mógłby robić furorę, gdyby nie posiadał czwartego aktu. Znam trzy i oklaskuję i zachęcam was, młodzi państwo: idźcie na to widowisko, wystawiajcie tę sztukę na wszystkich amatorskich scenach - ale tylko, tylko trzy akty!

- Ciotko - zaśmiał się dyskretnie książę Lew - czy ten wstręt i odradzanie nie jest czasem natury żółciowej?

- Co? Jak to rozumiesz?

- Czy ciotka sama w tej chwili nie bierze na siebie roli owego legendarnego lisa i...

- Kwaśnych winogron? Ba, ba, ba! Jesteś nie lada impertynent i monstrualnie naiwny. Czwartego aktu nie widziałam dlatego tylko, że za wiele słyszała o nim od mężatek. N'est ce pas (nieprawdaż...), księżno Idalio?

- Głos mój już dałam w obecnym konkursie - odparła piękna pani. - Odbiegamy od przedmiotu.

- Bardzo dobrze, ma belle, odpowiedziałas mi. Mowa o małżeństwie jest odbieganiem od przedmiotu miłości. - Oto masz, Lwie Holszański, oto masz zdanie jedynej mężatki w naszym gronie. Czyś przekonany?

- Najzupełniej - ja! - odparł za księcia baron, zakładając monokl w oko.

- O pana mi bynajmniej nie chodzi.

- Ale ja ginę z niecierpliwości otrzymania od pani pomarańczowego kwiecica. Głosy zebrane. Ja głosuję za sobą.

- Nikt pana o zdanie nie pyta. Cierpliwości. Nie słyszeliśmy jeszcze jednego głosu. Lwie Centaurze Holszański, prosimy o twe prześwietne, bogate doświadczeniem zdanie.

- Czy mam odpowiadać jako Lew, czy jako Centaur, ciotko? - zagadnął księżę żartobliwie.

- Wybierz sobie stosownie do upodobań i gustu.

- Dziękuję, mam w takim razie odpowiedź gotową, bez utrudzania myśli: jako Centaur nazywam miłość palącą szatą Dejaniry.

- Nieznośny! - zaburczała ciotka, która jego zdania właśnie czekała ciekawie. - Poczkaż, odpłacę ci za ten zawód. A teraz, panie i panowie, prędko, piszcie na kartce imię autora najlepszego wedle was określenia i składajcie wota w moje ręce. Papieru, służba!

Kartki welinowe znalazły się po chwili w pogotowiu.

Śmiejąc się, dowcipkując rozbawione grono zaczęło gryzmolić na nich. Przed kniazem swoim kozak Siła przyklęknął, na jego szerokich plecach oparł Leon swą kartkę i bez namysłu nakreślił imię bratowej.

Księżniczka Lawinia czytała powoli zdania, śmiejąc się jak szalona.

- Raz, dwa, trzy, cztery - rachowała ubawiona.

- Czekamy wyroku! - wołano.

- Słuchajcie: jeden głos ma Iza, która nic nie powiedziała, cha, cha, cha! Jeden głos ma księżna Idalia. Jeden głos mam ja - bardzo dobrze! Małoletnia Iza nikogo nie wybrała - ślicznie, a trzy, trzy całe głosy ma...

Tu panna Lawinia zeskoczyła nader zwinnie ze swojej trybuny, zerwała cały pęk pomarańczowych kwiatów i ostentacyjnie podała je na wachlarzu najmniej się tego honoru spodziewającemu hrabiemu Maszkowskiemu.

- What's? (Co takiego?) - wrzasnął tenże, nagle zaskoczony, głosem, jakim chyba musztrował swoich dżokejów.

- That's! (To!) - odparła naśladując jak mogła jego ton księżniczka Lawinia.

- Słowo daję, awantura! - wołał laureat biorąc wonną nagrodę i oglądając się wokoło, jakby pytał o radę, co ma z tym fantem zrobić. - Moją siwą hunterkę nazwę na pamiątkę Fleur d'orange (Kwiat pomarańczy). Słowo daję!

- Ten wyrok się nazywa: honneur ~a la simplicit~e! (chwała prostocie) - wtrącił baron w ucho Lwa.

Panna Lawinia bawiła się wyśmienicie.

- Cóż pan teraz zrobisz ze swym bukietem? Czy także dostanie się klaczy?

Hrabia oprzytomniał, zamrugnął oczyma i począł składać porządnie kwiaty.

Miał już cel dla swego fantu, wyglądał uszczęśliwiony.

Noc tymczasem otuliła mrokiem gąszcze parku, puszyste murawy, a fontannę przeczuć tylko można było po monotonnym srebrnym szeleście.

Pałac i taras, gdzie się bawiło świetne grono, królowały nad łagodnymi stokami góry. W dzień roztaczał się stąd bardzo daleki widok; teraz mrok wszystko pokrył i tylko na tle owym szarym występowała od niejakiego czasu dziwna jasność, zabarwiająca wysoko niebiosy.

Księżniczka Iza pierwsza ją spostrzegła.

- O, jak pięknie księżyc wschodzi! - zawołała.

- Ach, prawda! - potwierdziła księżna Idalia. - Votre bras (Pańskie ramie), książę Leonie. Nudzi mię to długie stanie. Przejdziemy się trochę i przyjrzymy tej nowej dekoracji.

- Kiedym była raz ostatni w Hiszpanii... - zaczęła panna Lawinia.

Nagle potknęła się o kogoś i urwała.

Był to kozak Siła. Pochylony naprzód, ręką przysłaniając oczy, wpatrywał się w tę jasność okiem rozszerzonym bezmierną trwogą i zgrozą. Był jak pijany i na nic niepomny. Z cienia i ubocza, gdzie stał dotąd, wyglądając rozkazów pańskich, wyszedł aż na środek tarasu, a trącony przez pannę Lawinię ani się poruszył, ani usunął, ani opamiętał.

Szczególnie bo też wschodził dziś księżyc.

Jasność owa stała wysoko nad ziemią i zalewała szybko cały widnokrąg. Pod nią było jeszcze bardzo ciemno, ciemniej niżeli gdzie indziej.

Panna Lawinia spojrzała na pokojowca i zwracając się do idącego za nią barona Amadeusza zauważyła:

- Ten człowiek cierpi widocznie na lunatyzm. Patrz pan, ani słyszy, ani rozumie.

Baron końcem laseczki dotknął ramienia pokojowca.

- Cóż, drabie, może dasz nam przejście! - zawołał.

Siła, zwykle tak żywy i uprzejmy, teraz zaledwie o krok się usunął i nie zmienił postawy.

W tejże chwili zatrzymał się książę Leon.

- Zdaje mi się, żeśmy się zawiedli - rzekł. - To widowisko przechodzi w coś niecodziennego. To pożar!

- Pożar! tym lepiej! - zawołano chórem. - Ce sera plus grand rose! (Będzie bardziej czerwono, będzie lepsza zabawa!)

- Ale co się pali, Lwie? - zawołała księżniczka Iza.

- Tego nie wiem, ale możemy posłać na zwiady, jeśli cię to zajmuje. Siła!

Kozak na dźwięk głosu pana oprzytomniał.

Zbliżył się, lecz ani giął się w ukłonie, ani w oczy patrzył. W jasność tę wbił wzrok i myśl.

- To pożar? - zagadnął Lew.

- Pożar - odparł głucho.

- Gdzie?

- W Krasnych Sadybach, miłościwy kniaziu.

- Skądże wiesz?

- Bo tam moja chata.

- Więc to wieś?

- Wieś, miłościwy kniaziu; wieś wasza, na drodze do Czartomla.

- Nie będziemy zatem mieli żadnego osobliwego widoku - zauważyła księżna Idalia. - Te lepianki ich palą się prędko i nisko.

- Wieś się pali! - zawołał baron. - Ja bym je wszystkie popalił, bo są szpetne, brudne i psują najpiękniejszy krajobraz.

- Masz słuszność, baronie. Chłopi zresztą tak przywykli do życia na powietrzu, że im strata tych dymnych nor wyjdzie chyba na użytek - dodała panna Lawinia.

- To tak poetycznie być musi zasypiać pod cieniem drzew, przy śpiewie słowików - rzekła księżniczka Iza.

- Czy pani raczy przyjąć ode mnie ten bukiet? - szepnął jej Maszkowski podając wiązanek pomarańczowych kwiatów. - Niech pani mnie uszczęśliwi.

Panna zarumieniła się nieco i zawahała.

- Nie chcę pana pozbawiać konkursowej nagrody.

- Słowo daję, nic mi ona nie znaczy - zawołał.

- Ach, w takim razie mogę uwolnić pana od niepotrzebnego fantu - odparła z uśmiechem.

- Palnąłem głupstwo, co? Bardzo być może! Daruje pani. Chciałem powiedzieć, że teraz te kwiaty nic nie są warte, ale skoro je pani weźmie, staną się naprawdę cenne. Słowo daję.

- Ale ciotka Lawinia nierada będzie, widząc swój dar w drugim już ręku.

- Obrazi się? Et, co tam! Przecie księżniczka Lawinia nie może myśleć, że się z nią ożenię!
Co?...

- Chut! (Sza!) - szepnęła Iza. - Któż mówi podobne rzeczy?

- Znowu palnąłem głupstwo. Tam do diaska! A prawda, tak mi się wysnęło. Ale panna Lawinia nie słyszała. Głupstwow!

- Nie słyszała, ale widząc kwiaty u mnie pewnie by się obraziła. Zachowaj więc je pan.

- Doprawdy? Szkoda! Ułożyłem sobie, że je pani ofiaruję. Hm, teraz doprawdy nie wiem, co robić.

- Przyłączyć się do reszty towarzystwa i admiirować pożar.

- Kiedyż ja pani powiem pewną rzecz... - westchnął zakłopotany.

- Może jutro? - szepnęła z przymusem.

- Ba! Jutro rano muszę wyjeżdżać, bo widzi pani, miałem depeszę właśnie co do wyścigów wrześnieowych. Biegać będą trzy moje konie: kary wałach Ring of Poetry; (Pierścień Poezji) gniada klacz po Michiganie i Red Maid, (Czerwona Panna) Simple; (naturalny, prostoduszny, głupkowaty) mój faworyt i największa nadzieja, ogier trzyletni po R"oder-Fife'ie i Gypsy, (Cyganka) Kasztelan Maszkowski... To ja sam go tak nazwałem - czy dobrze?

- Bardzo dobrze - odparła księżniczka machinalnie.

- Doprawdy? Dziękuję pani! Hurtle, mój dżokej, krzywi się na tę nazwę, bo nie angielska, ale ja przeprowadziłem Kasztelana. To wprawdzie trochę commun (zwyczajne), ale z rzadka - bywa oryginalne. Słowo daję.

- Zapewne - potwierdziła Iza zapatrzona w lunę.

Złączyli się z towarzystwem.

Pożar ogarnął już niebo i ziemię. Z dymu potworzyły się bure obłoki i wzbijały słupami nad pogodny horyzont. Na ziemi ogień, jak morze spienione, rzucał wściekłe bałwany, fale, bicze płomieni.

Książęcy goście uzbroili się w lornetki i zabawiali przepyszną grą światła i cieni, dowcipkując po francusku.

- Królewski fajerwerk!

- Na cześć nowego pana!

- Wolałbym inne zakończenie dnia - wtrącił baron tłumiąc ziewanie.

- Na przykład? - wtrąciła szyderczo księżniczka Lawinia.

- Z kim? - odpowiedział książę Proński.

- Et, pewnie z aktorkami - objaśnił Maszkowski.

Damy zakryły uśmiechnięte usta wachlarzami, zgorszzone. Proński zaklaskał w dłonie, uszczęśliwiony, Maszkowski, rad z konceptu, śmiał się głośno.

Leon wzdrygnął się i oczy pełne przerażenia i zgrozy podniósł na sportsmena.

On, człowiek form wyrafinowanych, wyznawca konwenansów i manier wielkoświatowych, wyskok Maszkowskiego odczuł jak policzek.

Poczerwieniał i zbladł, ręką powiódł po czole i zająknął się w gładkim frazesie skierowanym do bratowej.

- Mylisz się hrabio - odparł baron. - Resztę wieczoru chciałbym spędzić na zielonej łące, w towarzystwie czterech królów, ich małżonek i paziów.

- Baccarat! Niech żyje! Miewasz kapitalne projekta, baronie! - krzyknęła panna Lawinia. - Izo, idź zobacz, czy księżna już odeszła do swych apartamentów. Siła, stoły i karty! Książę, proszę o ramię. Będziemy grali do białego rana. To mi przypomni Wiesbaden i Hamburg.

- All right! (W porządku!) - dodał Maszkowski.

- A księżna zechce nam towarzyszyć? - spytał Leon bratowej.

- Jeżeli jako partenaire (partnerka) dla pana, to i owszem.

- Księżna jest uosobieniem łaskawości.

Panna Lawinia upewniona przez siostrzenicę, że pani domu od dawna udała się na spoczynek, objęła energicznie komendę.

Ujrzawszy karty w wielkiej sali, oburzyła się na służbę.

- Do tureckiego gabinetu z tym! - rozkazała.

Leon poskoczył przerażony.

- Ciotko - szepnął - w gabinecie męskim? Niepodobna.

- Dlaczego, proszę?

- Ależ ciotko, przecież damy nie mogą tam być! Przy kartach. Chyba ciotka nie zna Maszkowskiego i wuja, gdy się rozbawią?

- Cha, cha! Jakiś ty naiwny! Właśnie to mnie nęci. Znam takie noce przy kartach. Mężczyźni są wyśmienici, gdy zaczną bredzić. Cóż to, nie grywałeś tak w baccarata za granicą?

- Owszem, ale nie było tam ani mojej ciotki, ani bratowej, ani siostry.

- Ale były ciotki i bratowe innych. Zresztą Izę wyprawimy spać. Milcz, Lwie, i słuchaj mojej dobrej rady.

Zostawiła go na środku sali i pobiegła.

- Stoczyłem na próżno walkę z ciotką o miejsce turnieju - wytłumaczył bratowej zakłopotany. - Lękam się, żeby paniom nie było przykro w otoczeniu rozbawionych panów.

- Pozostaje nam przecie swoboda opuszczenia zabawy - uśmiechnęła się księżna Idalia - a ponieważ nie lubię samotności, zabiorę z sobą księcia na przechadzkę.

- Lwie! Lwie! - wołała z daleka panna Lawinia. - Czeka na ciebie krzesło prezydującego. Ciągnij!

Posłuszny, nie zdradzając żadnego wyrazu i chęci, książe zajął miejsce i gra się rozpoczęła.

Okazałe stosy złota i asygnat zjawiły się na stole.

Leon i księżna grali najobojętniej, panna Lawinia i Maszkowski hałaśliwie; książe kłócił się z losem i wykonywał mnóstwo zabobonnych formułek, baron po kwadransie miał na policzkach wypieki, a w oczach nieprzyjemny blask namiętnego gracza. Szczęście, dość nierówno, ale sprzyjało wszystkim. Leon tylko co chwila sięgał do kieszeni.

Po godzinie zabrakło mu pieniędzy.

Sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął pugilares. Gdy wyjmował zeń zwitek banknotów, wysunął się przypadkiem błyszczący przedmiot i potoczył się pod stopy księżniczki Lawinii.

Schylił się poń szybko, ale ciotka go ubiegła i triumfująco podniosła do światła nowiutki, srebrny, czarno emaliowany medalionik.

- Co to takiego? Spowiadaj się zaraz! - wołała.

- Jest to, ciotko, moja własność - odparł wyciągając rękę.

- Z powodu której przegrywasz tak haniebnie. Życzę ci dobrze, więc dlatego zatrzymam go u siebie. Lubię takie żałobne breloki. Naturalnie darujesz mi go.

- I owszem. Nic nie mam ciotce do odmówienia. Tylko, ponieważ mamy gust w tym razie wspólny, pozwoli mi ciotka ten drobiazg na parę dni, abym mógł kazać dla siebie zrobić podobny.

- Dowcipnyś! Zatrzymam go od dziś na zawsze, razem z tym, co zawiera... boć pewnie coś tam jest w środku. Chyba mi powiesz, skąd pochodzi?

- Od jubilera, ciotko.

- Przecie nie w mówisz we mnie, że od jubilera przeszedł wprost do ciebie. Książe Holszański nie kupuje podobnych rzeczy. Dostałeś to od kogoś.

- Księżniczko! - zawołał baron Amadeusz - nim książe opowie nam, gdzie i jak doszedł do posiadania tej blaszki, stracimy dużo drogiego czasu.

Leon podniósł oczy na mówiącego.

- Mylisz się, baronie - odparł - ja opowiadać nic nie będę.

- Zdaje mi się, że się ośmielasz mnie opierać - zawołała panna Lawinia. - Ustąpisz, gdy zajrzę do środka tej pamiątki.

Książę już usiadł na powrót. Gruby pęk asygnat położył przed sobą i pochylając głowę przeprosił towarzystwo za zwłokę.

Na ostatnią zaczepkę ciotki podniósł oczy.

Pomimo panowania nad sobą w źrenicach jego błysnęło złowieszcze światełko, chociaż ton i odpowiedź były niezachwianie uprzejme.

- Daruje ciotka, ale nie mam nic do opowiedzenia, tym mniej pod naciskiem groźby, której ciotka nie spełni.

- Dlaczego?

- Bo ciotka nie potrafi popęlić niedyskrecji.

- Radzę ci zbytnio w to nie wierzyć. Jestem kobietą. No, pełń swój obowiązek. Grajmy o medalion.

- Gdy mi zabraknie pieniędzy, to i owszem.

Rzucił spokojnie karty. Ale siedząca obok niego księżna Idalia widziała, jak przez maskę światowej uprzejmości i swobody delikatne jego rysy kurczyły się i drgały. Przegrywał ciągle.

- On vous adore! (Uwielbiają pana!) - zaśmiała się zalotnie.

- Żałuję, że nie wiem kto - odparł.

- Dama z medalionem, naturalnie.

- Mała pociecha.

- Dlaczego? Książę przecie musi ją kochać.

- Ja, księżno, kocham wszystkie kobiety - zakończył skłaniając się ku niej.

Pannę Lawinię gra pochłoneła zupełnie. Na stole przed nią ubożuchny klejnocik żalobny dziwnie odbijał od pogiętych kart, kreślonych kredą rachunków, resztek papierosów i damskich rękawiczek.

Nie otworzyła go pomimo groźby. Malutki i skromny, krył w sobie może kwiat pierwszego szczęścia dwojga serc, a może ostatnie ogniwo dawno potarganego łańcucha uczuć. Szczelnie był zamknięty, brzydki i niemy. Cały świat mógł nań patrzeć i nic nie zobaczyć, i nic nie posłyszeć. I tylko z całego świata dwojgu ludziom powiedziałby, czym był, co zawiera, co znaczy i jakim sposobem dostał się - tak ubogi - do wytwornego pugilaresa milionowego pana.

Zapomniano o nim. Pannie Lawinii zaczęło szczęście nie dopisywać; książę ani razu nie spojrzał w jej stronę; świece się dopalały w kandelabrach; księżna elektryzując sąsiada spojrzeniami i przyciszonym głosem, wiodła go na śliskie ścieżki salonowej kokieterii; Maszkowski kłął po angielsku; baron uśmiechał się spazmatycznie, ilekroć przegrał.

Na stole stosy papierów i srebra rosły a rosły, przechodząc z rąk do rąk. Lecz przed panną Lawinią zapas malał.

Ostatnią sumę postawiła i - przegrała.

Wówczas oczy jej napotkały medalion samotny.

Trąciła go wachlarzem, aż się potoczył w stronę księcia.

- Cette horreur! (To brzydactwo!) - zawołała. - Zabierz go sobie. Jestem pewna, że to mi nieszczęście przyniosło. Za nic nie dotknęłabym go teraz!

Leon Holszański wyciągnął dłoń i własność swą szybko wsadził do kieszeni kamizelki.

- Ach, jakże księciu ręka zadrżała! - zaśmiała się szyderczo bratowa. - Chodzi wam bardzo o tę blaszkę!

- Istotnie, księżno. Należę do ludzi, którzy o mało co się starają i dbają, ale raz czegoś zapragnąwszy lub posiadłszy, zachowują...

- Czy książę sentymentalny?

- Jestem takim, jakim mnie księżna zechce mieć...

Nad zielonymi gąszczami parków poczynało ostrzej i wyraźniej rysować się niebo.

Pożar przy tym oświetleniu budzącego się poranku bladł i opadał - może strawił już wszystko. Pokojowiec Siła sam jeden tylko przyglądał mu się jeszcze, rozgorączkowany i ponury.

Gdy panowie siedli do kart, on poskoczył do marszałka dworu, a swego zwierzchnika, i prosił, by go uwolniono na parę godzin, ale marszałek spojrział na niego jak na wariata.

- A nie wiesz ty, że książę ciebie jednego zapamiętał z dawnych czasów, a gdy woła, to tylko ciebie? Ani mi się ruszaj od progu!

Siła został, ale niepokój wyganiał go co chwila na krużganek, skąd ku tej łunie biegły jego myśli, jego trwoga i głuche stękanie.

Nie zauważył dopalających się świec u stołu grających, nie zauważyli ich też gracze. Dopiero gdy połowa zgasła, panna Lawinia, zdziwiona pomroką, spojrzała w okno.

- Wszak to już dzień! - zawołała. - Zmykajmy, księżno! Do czego będziemy dzisiaj podobne po takiej nocy!

- Et, pobiela się panie - zauważył Maszkowski.

Ale książę Leon złożył karty, a baron zgarnął pieniądze. Otrzeźwili się widokiem perłowego świtu. Zaczęto się żegnać. Gospodarz podał ramię bratowej i podprowadził do progu jej apartamentów.

Panowie pod eskortą służby zmierzali do swych pokoi; w tureckim gabinecie gaszono resztki świateł i sprzątano ślady szulerki.

Książę Leon pozostał sam, dopełniwszy sumiennie obowiązków, i skierował się ku lewemu skrzydłu pałacu, gdzie na długim korytarzu miał mieszkanie.

Był bardzo blady i wyczerpany. Maską salonową nagle znikła, ustępując teraz miejsca śmiertelnej nudzie i martwocie. Zdawało się, że to trup zagalwanizowany kroczy automatycznie za złocistym sługą, świecącym mu na ciemnych przejściach.

Gdy wszedł do sypialni, zbliżył się do okna i otworzył je. Kłęb balsamicznego powietrza ogarnął go i otrzeźwił. Pozostał oparty o ramę, patrząc zamglonym okiem przed siebie na dziedziniec.

Dniało coraz wyraźniej.

Z przeciwległego skrzydła wyszedł właśnie profesor. Spojrzał na niebo i uśmiechnął się dobrotliwie, jakby za światło i ranek dziękował.

Miał na sobie wyszarzały surduty i rude buty, na łysej głowie dziwną czapkę, a w rękę trzymał puszkę zieloną, rydelek, parę starych ksiąg i dzbanek gliniany.

Zbliżył się do trytona, który w środku dziedzińca bezustannie zionął wodą, napełnił dzbanek i tak obładowany wyruszył za bramę.

Widział go jeszcze książę, jak u domku odźwiernego dziecko małe pogładził po głowie i coś do niego z uśmiechem przemówił; potem utonął w zieleni wysady. Książę rękę przesunął po czole i usiadł ciężko na fotelu. Dopiero wtedy spostrzegł Siłę.

- Zawołaj mi Bernarda! - rozkazał. - Ciebie w tej chwili nie potrzebuję.

Po dość długim oczekiwaniu kamerdyner się ukazał i zabrał się w milczeniu do rozbierania pana.

Książę ziewał nerwowo, a chwilami dreszcz nim wstrząsał. Kamerdyner zapuścił firanki i podał wody sodowej z szampanem, ale książę zaledwie umoczywszy usta odsunął szklankę. Położył się nareszcie i zdawał się drzemać, blady, z zamkniętymi oczyma, bez śladu życia na twarzy.

Po chwili skrzywił się i poruszył.

- Daj mi, Bernardzie, chloralu - rzekł z cicha - zapomniałeś!

- Nie, książę panie, ale myślałem, że po dzisiejszym zmęczeniu...

- Myślałeś, że wyzdrowieję i zasnę normalnie. Byłaby to osobliwość nie znana od trzech lat.

- Dlaczego książę pan nie spróbuje morfiny? - zagadnął sługa z cicha.

- Może kiedyś... potem - odparł biorąc z rąk lokaja przyrządzonego proszek.

Cisza zaległa sypialnię.

Słońce podniosło się zupełnie i obejrzało ciekawie pałac. Głuchy był, niemy i jakby zaklęty. Okna pozasłaniane, dziedziniec pusty, spało wszystko ani troszcząc się o boży dzień.

II

Zadudniał most pod cudacznym amerykańcem Maszkowskiego, opadł kurz spod kół faetonu księcia Prońskiego, znikły nareszcie siwosze holszańskie, uwożąc do dalekiej stacji barona Amadeusza. W pałacu zostali sami domowi.

Księżę Leon korzystając z chwili samotności zapalił papierosa i przechadzał się po tarasie; damy odeszły dla zmiany stroju do obiadu.

Pierwsza ukazała się Iza, spostrzegając brata podeszła spieszenie ku niemu.

- Nie przerywam ci myśli? - zagadnęła,

- O, bynajmniej - odparł rzucając papierosa i podając jej ramię.

Rodzeństwo mówiło do siebie tylko po francusku i nie nazywało się nigdy po imieniu. Znało się tylko w salonie, nie obcowało nigdy bliżej, nie bawiło się razem.

Iza wzrastała za granicą w klasztorze i przed rokiem zaledwie wystąpiła jako dorosła osoba. Młodszego brata widywała chwilowo tylko na wakacjach; nie zamienili z sobą nigdy trzech słów poza koniecznością towarzyskich stosunków.

Teraz wsunęła mu rękę pod ramię i zaczęła nieśmiało:

- Chciałabym cię spytać o coś.

- Słucham.

- Wiesz? Matka miała wczoraj list od hrabiny Maszkowskiej.

- Nie, nie wiem.

- W liście tym prosi o moją rękę dla syna.

- Ach, tak! Tr~es correct! (Bardzo poprawnie!) - rzekł spokojnie.

- Chciałam cię spytać, co mi radzisz w tym razie?

- Jak to? Matka zostawiła ci wybór odpowiedzi?

- Matka mi przeczytała ten list tylko.

- Zdanie ma zapewne gotowe. Wedle niego się stanie.

- A ja?

- Ty się poddasz!

- Kiedy ja nie chcę! Nie kocham go. Gdy na mnie patrzy, zdaje mi się, że on mnie ogląda jak swego wyścigowca. Uczono nas, że małżeństwo to związek dwojga dusz miłości.

- Bardzo cię źle uczono. Małżeństwo, u nas - tu położył nacisk - jest związkiem imion sobie równych lub dwojga fortun. Miłość jest prerogatywą plebsu.

- Ja bym tak chciała kochać! - szepnęła księżniczka.

Spazm nerwowy, właściwy księciu, skrzywił jego rysy.

- Zachcianki co najmniej niestosowne. Radzę ci o nich przed matką nie wspominać - rzekł chłodno.

- Więc ja nie mogę nawet swoją osobą, swym życiem rozporządzić! Dlaczego? Czy brat i matka żałują mi holszańskiego powietrza? Pozwólcie mi zatem do klasztoru powrócić. Gdziekolwiek, bylebym nie widziała Maszkowskiego. Ja go nienawidzę!

- I nienawiść jest prerogatywą plebsu. Zresztą mnie do niczego nie mieszaj. Trzy rzeczy są nam dozwolone: nie czuć, nie myśleć, nie pracować. Chcę tego używać. Znajduję, że Maszkowski jest dla ciebie partią zupełnie stosowną; zresztą zależy osoba twoja od matki, a ode mnie tylko posag, który wypłacę w chwili zawierania kontraktu. Z kim, to rzecz najmniejsza.

- Więc ty mi nie pomożesz? Nie wstawisz się do matki? W klasztorze mówiono mi, że brat to najlepszy opiekun i obrońca...

- Twój klasztor musiał być bardzo demokratyczny.

- O! Alfred był lepszy od ciebie! - zawołała ze łzami, wysuwając mu rękę spod ramienia.

- Zapewne, słyszałem to bardzo często w moim życiu - odparł z jednakowym spokojem, idąc dalej obok niej.

- Więc mnie zmuszą do małżeństwa? Powiedz - spytała żałośnie.

- Nie zmuszą, ale zmusisz się sama. Noblesse oblige (Szlachectwo zobowiązuje), moja droga. Bez śmieszności nikt nie zbacza od utartych prawideł. Nie zmienisz porządku świata, ale się poddasz jak wszyscy!

- Więc noblesse oblige do nikczemności!

- Tylko do szanowania tradycji konwenansów. Moja droga, nie bądź tragiczna. Maszkowski nie jest gorszym od innych, a posiada wszelkie wymagane warunki na dobrego męża. Mogłabyś trafić daleko niefortunniej.

- Ale ja go nie Kocham! Jest mi wstrętnym! - powtarzała płacząc. - Ja mu to powiem!

- Mam nadzieję, że w czas wspomnisz, kim jesteś, skąd pochodzisz i wstydzisz się bezowocnego skandalu. Jeśli matka odpisze zezwalająco, uszanujesz jej powagę, jej wolę i domowe tradycje.

Iza spojrzała w twarz brata chłodną i nieporuszoną. Mróz jej przeszedł po kościach, beżmierna żałość ścisnęła serce. Poczuli się zgubioną, osądzoną, skazaną - umarłą już.

W tej chwili ciotka Lawinia ukazała się z bocznej alei.

- Co robicie? Iza płacze, mój rycerz ma minę kaznodziei metodystów. Co się stało?

- Ach ciciu, chcą mnie wydać za Maszkowskiego! - szepnęła księżniczka rozpacznie.

- Nie może być! Co? Oświadczył ci się? Sam? Jakże to było? Opowiedz. Quelle farce! (Cóż za farsa!)

- Matka jego pisała do mamy.

- Tak! - zawiedziona rzekła ciotka - przez rodziców! Oh! que c'est juif! (O! jakież to żydowskie (zaściankowe)!)

- Ależ ciotko! U nas podobne sprawy nigdy się inaczej nie załatwiają - wtrącił książe Leon.

- Niegdyś w starych dokumentach znalazłem kilkanaście listów podobnej treści.

- Tiens! (No,no!) Czytywałeś stare szpargały?... Czy to były rekolekcje dla pokrzepienia w wierze?

Książe poprzestał na milczącym ukłonie.

- Ciociu, ale ja nie cierpię Maszkowskiego! - wtrąciła Iza.

- Czemu? Zakochałaś się może w baronie Amadeuszu?

- Ach nie! Ja nikogo nie kocham...

- W tym wieku! O młodzieży! - patetycznie westchnęła księżniczka Lawinia.

- Ale bym chciała pójść za mąż z miłości - zakończyła Iza.

- Jakże? A tylko co mówiłaś, że nikogo nie kochasz.

- Ale może kiedyś pokocham.

- No to Maszkowski ci nie przeszkodzi.

- Jak to?

Stara panna mrugnęła w stronę Leona, drwiąco i cynicznie wykrzywiła się jej twarz.

- Zobaczysz, moja droga, zobaczysz! Tymczasem idź za Maszkowskiego. Im głupszy mąż, tym lepiej.

Oszołomiona biedna dziewczyna spoglądała pytająco to na ciotkę, to na brata, ale oni mówili już o czymś innym: o Włoszech, skąd książe wracał, o Szkocji, gdzie zimą polował, o Egipcie, który zwiedzał. Znała to wszystko, bo jej życie było ciągłą włóczęgą, wagony domem, hotele ojczyzną.

Po chwili zapomnieli o Izie strapionej i smutnej. Nie rozumieli zapewne jej pragnień dziwacznych; uważali ją za dziecko.

W sali jadalnej rozmowa toczyła się dalej o zamorskich cudach i osobliwościach, tylko że pieprzne uwagi ciotki Lawinii i obosieczne dwuznaczniki francuskie księżny Idalii hamowała obecność księżny matki.

Nikt oprócz Leona nie spostrzegł nie zajętego miejsca na szarym końcu stołu.

Zrazu sądził, że profesor zjawi się jak zwykle nie w porę, ale gdy wniesiono czarną kawę, a starego wciąż nie było, zwrócił się do Siły.

- Profesor nie przyjdzie? - spytał.

- Prosiłem trzy razy, miłościwy kniaziu, ale nie porzucił robaków.

- Podać mu obiad w mieszkaniu.

- Natychmiast!

Po skończonej uczcie księżna Idalia pociągnęła szwagra na przechadzkę i wymykali się właśnie na taras, gdy uroczysty głos księżny matki przykuł syna na miejscu.

- Księcia Leona proszę z sobą do gabinetu.

Przeprosił bratową ukłonem i poszedł na wezwanie. Iza na skinienie matki, blada jak śmierć, szła także.

W gabinecie usiedli wszyscy i panowała chwila milczenia.

Matka przy biurku, w fotelu, przyglądała się swoim alabastrowobiałym rękom ociągniętym do połowy w koronkowe futeraliki. Iza trzęsała się i mieniła na twarzy. Księżę skubiąc wąsiki czekał, co nastąpi.

Na biurze wreszcie zaszeleściały papiery.

- Odebrałam wczoraj list od hrabiny Zymbram-Maszkowskiej, proszący o rękę mojej córki dla jej syna. Wezwałam was dla podzielenia się z treścią odpowiedzi... Sądzę - zwróciła się do syna - że przeciw tej propozycji i zgodzie na nią nic nie masz.

- Nic. Znajduję tylko, że i propozycja, i zgoda nie wypadły w stosownej po temu chwili, po tak świeżym i bolesnym ciosie.

Księżnie widocznie nie podobała się uwaga. Była zupełnie trafną - a nie wychodziła od niej. Spostrzegła w tej chwili, że popełniła błąd, ale w takich razach stawiała się jeszcze despotyczniejszą i wynioślejszą.

Spojrzała na syna ostro i niechętnie.

- Ja tego nie znajduję i nie o to pytałam. Przeciw Maszkowskiemu nic nie masz?

- Nic - odparł sztywniejac jeszcze bardziej.

- Ród wprawdzie niższy od naszego, ale kobietom często należy zstępować. Iza wychodzi z Holszy.

- Mamo, ja bym tak chciała jeszcze w domu pozostać - szepnęła dziewczyna.

Matka spojrzała tylko na nią bez słowa i dalej mówiła do syna:

- Fundusz zupełnie dostateczny. Przy posagu Izy wystarczy na życie porządne. Wskutek tego daję na związek ten w swoim i twoim imieniu zezwolenie, naczynając ślub na dzień drugi lutego, w Paryżu, dokąd dla wyprawy udamy się niebawem. Z powodu żałoby uroczystość odbędzie się w najściślejszym kółku krewnych... Oto jest to pismo.

Sięgnęła po wielki herbowy arkusz i odczytała uroczystie, w wielkiej ciszy.

Nawet Iza łkać głośno nie śmiała.

Skończywszy, księżna wyrok ten wsunęła do koperty i zadzwoniła.

- Oddasz to masztalerzowi - rzekła do wchodzącego pokojowca - z rozkazem natychmiastowego dostarczenia hrabinie Maszkowskiej w Zabuzu.

Oczy Izy przeprowadziły kopertę. Złamana była, bezradna, znękana.

- Moja córko, możesz mnie uścisnąć - odezwała się księżna, z daleka wyciągając rękę.

Iza milcząc podeszła i wargi jej zimne spoczęły na tej dłoni, której pieszczoty nie znała, a teraz poznała bezwzględność.

I było po wszystkim.

Księżę, nie mając za co dziękować, czekał tylko uwolnienia z gabinetu. Nie lubił, gdy mu przeszkadzano po obiedzie wypalić parę papierosów.

Ale matka tylko Izie pozwoliła odejść, wiadomość o związku zanieść ciotce i bratowej. Leon pozostał na miejscu.

Księżna dobyła z biurka dwa klucze i podała synowi.

- Jeden otwiera pokoje Alfreda, drugi jego biuro w głębi korytarza. Weź je - i władzę. Alfred zostawił wszystko w porządku i chwale. Och! on był z krwi i kości Holszański! Bez skazy i zarzutu.

Leon tę uwagę kryjącą ostrze przyjął, jak wszystko, czym go częstowano.

- Ja rychło stąd wyjadę. Potrzebuję trzech tysięcy miesięcznie za granicą, a dwóch w kraju. Księżna Idalia otrzyma połowę tego i swobodę wyboru miejsca zamieszkania. Księżniczka ciotka resztę swoją ma ulokowaną w bankach zagranicznych. Posąg Izy ma być kompletnie wypłacony w dzień ślubu. To wszystko, czego wymagam od ciebie w sprawach pieniężnych.

- Stanie się - rzekł Leon.

- W Paryżu zawiążemy mało stosunków. Czy znasz księżnę Caraman-Capet d'Orléans?

- Nie.

- Trzeba, żebyś poznał - rzekła z naciskiem.

- Uboga krewna koronowanych głów.

- Właśnie.

Syn nie wyraził swej zgody, a ona więcej nie nalegała.

Rozmawiali o interesach i stosunkach swego świata. Wyliczała mu domy, gdzie miał złożyć wizyty, ludzi, których miał poznać i zaszczycać swą obecnością, urzędnika prastare, które miał utrzymywać.

On, wstrząsany nieznacznym dreszczem, tłumiąc nerwowe ziewanie, rozdrażniony brakiem tytoniu, odpowiadał monosylabami.

Znać było, że męczyło go to bezmiernie. Nareszcie wniesiono światło do gabinetu i kapelan księżny wsunął się na codzienne wieczorne czytanie nabożne.

Wówczas księżna uwolniła go łaskawie.

Gdy się sam znalazł, był blady, wyczerpany, niezdolny do dłuższych obowiązków towarzyskich.

- Damy są w ogrodzie - objaśnił go sługa.

Nie poszedł do nich, ale zapaliwszy nareszcie papierosa wyszedł na ganek i wsparty o grzywę kamiennego lwa przy schodach, pozostał sam, ziewając bez ceremonii i narkotyzując się dymem.

W pałacu rzęsiście oświetlonym, gwarnym od służby, tylko cztery okna były szczelnie zamknięte, pajęczynami osnute, nieme.

W jednym z nich słabe tylko błyskało światełko - reszta była ciemna.

Księżę Leon patrzył w tę stronę tak zamyślony, że nie posłyszał szelestu sukni za sobą.

- Tak samotny? - rozległ się przyciszony głos księżny Idalii, gdy łabędzi puch wachlarza musnął go po policzku. - O czym pan marzy? - dodała siadając na kamiennej, niskiej balustradzie. - O, proszę palić, bo odejdę, nie chcąc być natrętną.

- Skończyłem już. Dziękuję. Przerwano nam zamierzony spacer, ale już teraz jestem na rozkazy.

- A więc zostaniemy tutaj. proszę, jest miejsce na dwoje między tymi kolumnami.

Uklonił się, ale pozostał przed nią.

- Czy pan się boi tego miejsca tak bliskiego przez wzgląd na mnie czy na siebie? - spytała drwiąco.

- Nie chcę korzystać z łask, aby ich potem nie stracić.

- Ach, pan taki przewidujący! O, nie ma czego! Łaski raz dane - pozostawiam.

Usiadł. Dotykali się prawie ramieniem.

- Czy los mój już zdecydowany? - spytała nagle.

- Jak to?

- Ano, odbyła się przecie rada gabinetowa. Musiała w niej być mowa i o mnie, po Izie. Zapewne mam opuścić Holszę?

- Ależ księżno! To przecie najzupełniej od księżnej zależy.

- Taak. Jakże wspaniałomyślnie! A panu czy już wybrano bogdankę?

- Wcale nie. O losach naszych nie było mowy.

- Do czasu, do czasu! - zaśmiała się nerwowo. - Parions (Założmy się), że nim rok minie, na świecie przybędzie trzecia księżna Holszańska.

- Parions - ~a discr~etion! (Założmy się - o ile pani chce!)

- Zgoda! Wzajemnie.

Teraz dotknęły się ich dłonie i tak pozostały.

- Więc gdy wyjedzie matka z Izą do Paryża, któż w Holszy zostanie gospodynią? Może ciotka Lawinia?

- Ciotka? - uśmiechnął się. - Miała zabawić przez miesiąc, ale już dziś zapytywała mnie o najciekawsze punkty w Szkocji. Wątpię, czy dotrwa do końca tygodnia. Kraj jeszcze nie znajomy, drażni ją jak rozrzutnika ostatni pieniądz.

- Któż zatem osłodzi księciu samotność? Może ja? Skoro będę pewna miłego towarzystwa.

- Księżno! Za tyle łask!

Pochylił się i ruchem markiza w peruce, zginając kolano, dłoń jej do ust podniósł.

Byłże to żart czy rzeczywiste uznanie?

Tego nie zdradziła jego maska.

- Za wczesny hołd i podzięką! - sztucznie uśmiechnęła się księżna. - Może robię to w celach bardzo samolubnych. Podobasz mi się pan!... Zresztą nie sądzę, by ksiązę długo pozostał w Holszy. Nieprawdaż?

- Zapewne spędzić tu będę zmuszony parę miesięcy.

- A potem?

- Potem podobny mus zatrzyma mnie czas jakiś w dobrach galicyjskich.

- A wreszcie?

- Odwiedzę matkę w Paryżu.

- Wtedy mój zakład będzie wygrany. Czeka tam na księcia bogdanka o tyle biedna i brzydka, o ile wysokiego rodu i świetnej paranteli. Proszę, po co ten ruch zdziwienia? Przecie to rzecz od dawna ukartowana.

- Od dawna? Nie sądziłem, aby osobą moją zajmowano się w Holszy.

- Gdy mówię od dawna, rachuję od śmierci Alfreda.

- Ach tak, nie zrozumiałem.

- Cóż, ksiązę? Zadowolony?

- Żałuję, że zadowolonym być nie mogę.

- Wolałby ksiązę mniej antenatów, a więcej wdzięków i kapitału?

- Ja, księżno, nic nie wolę.

- Jak to? A dama z medalionem? Czerwieniejesz pan?

- Złudzenie! Moja błękitna krew już nigdy nie czerwienieje.

I znowu przez jego maskę poznać nie było można, czy drwił, czy mówił poważnie.

- W każdym razie coś tam było. Nie będę pytała jak ciotka Lawinia, ale będę wiedziała.

Ksiązę się skłonił w milczeniu.

Piękna dama zagryzła wargi. Drażnił ją nieznośnie ten spokój, ta chłodna galanteria. Czy on jej oprócz zdawkowej monety nic więcej nie da?

Wstała rozgniewana.

- Idę spać - rzekła - pan nie umie bawić. Proszę na przyszłość się poprawić, bo zemknę i ja z Holszy, a pan zardzewieje w pustce, jak wasz Centaur nad bramą w ruinach.

Przyjęła jednak jego ramię i nim doszła do progu swych apartamentów, zmieniła projekt.

Bardzo późno widzieć ich jeszcze można było w cienistych szpalerach parku, przechadzających się powoli, rozmawiających z cicha. Księżna się śmiała srebrzyście, on się do niej pochylał w dyskretnym szepcie. Tylko ta jego maska zimna, nagłymi kurczami bólu niekiedy krzywiona, pozostała bez zmiany, gdy usta mówiły komplementy.

III

Od śmierci księcia Alfreda milczący dzwonek z jego gabinetu rozległ się pewnego popołudnia i zelektryzował beczynną zgraję hajduków w sieni.

Pierwszym, który stanął przed nowym dziedzicem na progu komnaty, był, jak zwykle, Siła.

- Grzymałę do mnie! - rzucił pan przez ramię, nie przerywając przeglądania jakichś papierów w biurze.

Pokojowiec chwilę nieruchomy pozostał z wyciągniętą szyją i wpółotwartymi ustami do słowa.

Chciał, wbrew etykietce, coś rzec, ale się rozmyślił, cichutko drzwi przytknął i odszedł.

Księżę Lew, skwaszony, zły, nadąsany, dalej przerzucał papiery.

Minuty mijały. Parę razy oczy pańskie podnosiły się na drzwi, mars na jego czole się pogłębiał.

Niecierpliwym ruchem targnął znów dzwonek.

Pokojowiec znowu się zjawił, ale już nie Siła.

- Cóż tam? Wołaliście Grzymałę do mnie?

- Siła konno galopem poleciał, miłościwy panie.

- Konno? Na folwark?

- Na folwarku nie ma jego.

- A gdzież?

- On już cztery roki jak odstał z Holszy.

Księżę Leon zwrócił się do sługi, wyprostował.

- A któż na jego miejscu jest zarządzającym?

- Niemiec, miłościwy kniaziu, pan Butner.

- Więc gdzież Siła pojechał?

- Do pana Grzymały, do jego dworu.

- Kretyny! - zamruczał księżę widocznie rozdrażniony. - Wołać do mnie pana Butnera. Siłę zawrócić z drogi!

- Natychmiast.

Pokojowiec zniknął, a księżę wstał, krzesło gwałtownie odsunął i poruszony, począł żywo chodzić po pokoju.

Baron Amadeusz słusznie nazywał tę służbę stadem. Ładnie wykierowała swego pana ślepym posłuszeństwem!

Narazili go na śmieszność wobec dawnego rządcy, a obecnie niezależnego obywatela.

Książę stanął przy oknie i, zapatrzony w jeden punkt, którego nie widział wcale, pomyślał nagle, że istotnie nie wczoraj pożegnał Holszę, ale przed pięciu laty, że służba się zmieniać musi, że Grzymałę zapewne oddalono za nieudolność i zastąpiono Niemcem, zdolniejszym.

Ziewnął nerwowo.

Bądź co bądź, jeśli Siła pogoń uprzedzi, stanie się gorzej niż grzech: stanie się niestosowność; zmiana zarządzającego przyczyni mu tylko roboty. Tamtego znał przynajmniej z widzenia. Znał, zapamiętał, a nawet uczuł przykrość niejaką na myśl, że go już nie ma.

Na korytarzu rozległy się kroki ciężkie, potem skrobanie do drzwi, nareszcie ukazał się człowiek mały i tłusty, łysy, z wielką rudą brodą, zasapany od prędkiego kroku, z pliką ksiąg pod pachą.

- Na rozkazy... Ritter von Butner - zameldował się skrzeczącym głosem, zielonawe swe, biegające oczy wlepiając w twarz dziedzica.

Książę obejrzał go przelotnie i zajmując swe zwykłe miejsce u biura, zaczął:

- Pan jesteś zarządzającym tutaj?

- Tutaj i w Czartomlu, i w Zaoreckim kluczu. Od czterech lat piastuję ten urząd. Cieszyłem się całym zaufaniem świętej pamięci jaśnie oświeconego księcia Alfreda i uznaniem jaśnie oświeconej księżny.

- Zająłeś pan miejsce pana Grzymały?

- Jaśnie oświecony książę, tu nie było co zajmować! - zawołał patetycznie Ritter von Butner. - Kiedy na rekomendację barona Lichstadta książę Alfred na Holszy wezwał mnie tutaj, zastałem wszystko w ruinie. Wszystko: kulturę ziemi, sprawy sądowe i graniczne, stosunki z chłopstwem, dochody, bogactwa mineralne dóbr, gospodarkę leśną - wszystko.

Szeroko rozłożył ręce i jakby z nich coś otrząsał.

- Robactwo obsiadło Holszę! Folwarki były w dzierżawie u ludzi niewypłatnych, rola w rękach nieudolnych ekonomów, służba rozprzężona, dochody żadne. Zacołanie i bezład na każdym kroku!

Książę z przymkniętymi lekko oczyma, których powieki przy głośniejszym słowie lub gwałtowniejszym ruchu mówiącego drżały nerwowo, podobny był do posągu. Zapewne nie słuchał wyrazów i treści, tylko niemile hałasem dotknięty, a bez woli, by ten potok przerwać, poddawał się biernie torturze, starając się ogłuchnąć tylko.

A Niemiec machając rękoma, trzęsąc brodą jak chorągwią, przewracając oczy mówił i mówił.

- W Holszy ów Herakles miałby tyle roboty, co ongi przy Augiaszowej stajni. Ja się niczego nie zląkłem i dobrawszy sobie inteligentnych pomocników wziąłem się do dzieła. Tuszę, że odpowiedział położonemu we mnie zaufaniu jaśnie oświeconej rodziny.

Tu się skłonił na trzy strony.

- Książę pan znajdzie rygor, porządek i dochody potrojone rozumną administracją. I śmiem twierdzić, że polskie gospodarstwo na zawsze jest wygnane z dóbr. Na zawsze, jeśli utrzymam i nadal zaufanie książęce, i siły do tytanicznej pracy.

Odetchnął i splunął hałaśliwie.

Książę Leon zadrzał na fotelu.

Ritter von Butner podszedł do biura.

Buty miał prawie po pas, stukające i skrzypiące jednocześnie. Knaster czuć od niego było mocno. Książę zadygotał, sięgnął do bocznej kieszeni tużurka i wonnym batysem otarł twarz zbladłą. Swąd tytoniu podziałął nań morderczo. Wyprostował się i rozwarłszy oczy, patrzył.

Butner dobył spod jednego ramienia cztery księgi, spod drugiego pięć, mniejsze począł wyciągać z kieszeni spencera.

Znalazło się ich na biurze czternaście, wszystkie przesiąknięte tłustym kwasem, knastrem albo spichlerzową wilgocią.

Książę się z fotelem odsunął na środek, mnąc chusteczkę w rękę.

- Oto są dokumenta mych starań i pracy - wydekłamał Niemiec. - Przejrzawszy je, książę pan wyda swój wyrok i zdanie o Fryderyku von Butner.

Wówczas książę Leon wstał jak ruszony sprężyną. Tego już było zanadto.

- Mój panie, nie trzymałbym urzędników, gdybym to miał przeglądać! - zawołał usuwając od siebie księgi. - Cieszę się, widząc w panu taki zapas sił, energii i ochoty; cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdybyś pan mnie jak najrzadziej i jak najmniej utrudzał sprawami wewnętrznego zarządu. Co dzień o południu poświęcę godzinę na konieczne podpisy. Zresztą żądam, byś pan załatwiał wszystko jak dotąd. Proszę sprzątnąć te księgi.

Sięgnął po papier zapisany kobiecym pismem.

- Wezwałem tu pana w celu wydania następujących rozporządzeń.

Pochylił się i czytał:

- Ma być jak najprędzej zrestaurowany pawilon przy kaplicy dla księdza kapelana.

- Stanie się, książę panie!

- Ma być rozszerzony zimowy ogród i połączony z apartamentami księżny Alfredowej Holszańskiej.

- Stanie się, książę panie!

- Ma być urządzona przystań na rzece i dwa baciki do spaceru.

- Stanie się, książę panie!

- Kasa wypłaci mi jutro trzy tysiące rubli.

- Może zaraz, książę panie?

- Jutro po południu!... Na zakończenie polecam panu odebrać w tejże kasie dwieście rubli na sporządzenie sobie cieńszego obuwia i zapasu lepszego tytoniu.

- Książę panie - tyle łaski!

- Nie mówmy o tym. Zalecam pośpiech w nakazanych robotach - i żegnam pana.

Niemiec uklonił się dziesięć razy, wycofał się frontem, w progu się potknął, narobił hałasu, drzwi sobą otworzył i wreszcie został po nim tylko zaduch tytoniu i juchtu.

Książę okno na oścież otworzył i półciałem wychylił się na świeże powietrze.

Uczucie, jakie go napełniało, była to rozpacz, później rozdrażnienie, wreszcie atak minął i tło równe, szare jak noc, mdłe jak zmydlona woda powróciło wielmożne.

Maska wróciła na twarz, niemoc i apatia do wnętrza. Był znowu sobą.

A tymczasem z podwórza muskały jego twarz powiewy letnie, pieściły uszy szmery fontanny, a wprost jego oczu groźnie i majestatycznie rysował się profil ruin starego zamku, przez których bramę potężną szła droga z miasteczka do nowożytnego pałacu.

Niegdyś, przed sześciu wiekami, pierwszy Lew na Holszy niewolnikiem tatarskim i tysiącem poddanych wzniósł te olbrzymie mury na zamek dla swej wielmożności.

W starych dokumentach rodu był opis szczegółowy rozmiarów i kształtu warowni, rysunki tajnych przejść w murach i pod murami, historia każdej baszty, wyliczenie bitew i narodów, które zbryzgały szkarpy i wały posoką, były imiona wszystkich Holszańskich kniaziów aż do ostatniego wojewody i senatora za Sasów, który opuścił zamczysko wojnami zniszczone, a z niesłychanym kosztem nowy pałac wystawił.

Został tedy olbrzym pusty i z roku na rok stawał się coraz dzikszy, coraz czarniejszy.

Mchy i zielska rozpanoszyły się po szczelinach, wały porośla murawa, dziedziniec zasypały gruzy, obrywające się sklepienia odkryły tajemne korytarze, w basztach osiadły tysiące sów i kawek, a po najwyższych ścianach, pozębionych fantastycznie, uwijały się jaszczurki i łasice.

Ostatecznie starzec ten, co swoje czasy przeżył, zaczął zawadzać młodemu pokoleniu.

Już dziad obecnego właściciela marzył o rozebraniu ruin, bo zakrywały widok na miasteczko i rzekę, ale usunął tylko niecałą narożną basztę i dał za wygraną niewdzięcznej robocie. Tę pracę tytanów - tytany tylko mogły zniszczyć.

Syn jego próbował prochu z równie małym skutkiem. Książę Alfred wziął się do dzieła przy pomocy Żydów, którym za bezcen sprzedawał cegłę, ale i ci zaniechali się prędko twardością materiału.

Starzec jakby drwił z tych pigmejów; szkarpy jego, baszty, wieżyce, miewały jakby śmiech zuchwały i wyzywający, gdy tak szczyrzyły swe rozpadliny i rysy potężne, wśród których wicher chodził i chichotał do wtóru z puszczykami.

Wprost pałacu brama wjazdowa trzymała się zupełnie krzepko, a nad nią, pod krużgankiem strażniczym, widać było wyraźnie herbowego Centaura Holszańskich malowanego na blasze dziś rdzawej. Kilka kul poszarpało klejnot, inne tkwiły w mur wryte, tworząc na gładkiej ścianie szramy i wypukłości.

Dziedzic klejnotu zmęczone i blade oczy utkwiał w tej blasze symbolicznej. Nie było we wzroku jego ani dumy, ani próżności, ale raczej jakiś tępy smutek.

Zwykły kurcz ściał mu twarz; zapewne myślał o czymś sobie tylko wiadomym, o jakichś bojach, które skończyły się klęską.

Łagodny wietrzyk muskał mu lica bezbarwne. Naniósł mu wreszcie trochę rumieńca, a może to blask zbliżającego się zachodu tak się łamał o szyby pałacu.

Książę nieporuszony przechodził teraz nierówne linie strzelnic w murach, wrócił znowu do owego krużganku nad bramą.

Jak tu się nic od lat pięciu nie zmieniło w rzeczach, w otoczeniu, w przedmiotach!

W murach były pewnie i teraz schody ciasne i wąskie, wiodące na ten krużganek nad Centaurem.

Z galerii tej strażnicy wypatrywali wroga, rozpoznawali hasło, otrębywali wschód słońca i godzinę wieczornej modlitwy.

Z galerii tej książę Leon niegdyś spoglądał na pałac u stóp swoich.

Było wtedy lato.

Po murach kwitła macierzanka i dzikie nieśmiertelniki, a w szczelinach ćwierkały świerszcze. Pięć lat minęło. Dużo ruin przez te lata zwierdził książę w swych podróżach bez celu i bez przyjemności.

Ale już nigdy nie znalazł tego zapachu w macierzance i nieśmiertelnikach, nie dosłuchał się w świerszczę piosence takiej melodii.

Rzecz szczególna, jak on to wszystko zapamiętał! Czy tylko sam, czy nikt więcej? Przecie we dwoje byli wtedy na krużganku i dla dwojga były wonie kwiatów i śpiewy owadów.

Białą, wypieszczoną ręką, na której od niedawna sygnet herbowy jaśniał, książę powiódł po oczach. Zaćmione były prawdziwie ludzką zadumą i żalem.

W ów dzień był jeszcze młodym i zdrowym. Myślał, czuł, pragnął.

Teraz wszystko za nim było i jedyną miał ulgę, że mógł nie myśleć - tylko czasem, z rzadka, i wtedy cierpiał.

Było cicho w powietrzu, tak cicho, że doleciał z drogi cwału końskiego tętent i zbudził księcia z zadumy.

Spod sklepienia bramy, jak motyl biały i złoty, wynurzył się pokojowiec na koniu.

Był to Siła na spienionym wierzchowcu. Pan go oczyma poprowadził aż do dziedzińca. Znać było po nim niecierpliwość.

Gdy sługa się zbliżył, księżę się za okno wychylił.

- Siła! - krzyknął.

Kozak aż się przeraził na ten niespodziany wybryk.

- Skądże wracasz?

- Z Zabuża, od pana Grzymały, miłościwy kniaziu!

- Jak śmiałeś! Czemuś mnie nie objaśnił, że pana Grzymały nie ma w Holszy?

- Książ nie pytał, a dla mnie rozkaz święty. Skoczyłem do Zabuża.

- I cóż?

- Pan Grzymała kazał miłościwego kniazia przeprosić i powiedzieć, że skoro będzie mógł, to się stawi.

- Ruszajże zaraz znowu do Zabuża i powtórz panu Grzymale, że go przepraszam i skoro czas znajdzie, osobiście to ucznię. A drugi raz nie narażaj mię na podobne przykrości!

Siła skonfundowany konia zawrócił, zgrabił się i pognął z kopyta. Za chwilę już go widać nie było.

Księżę odstąpił od okna, wypalił jedden po drugim kilka papierosów, przeszedł do swoich apartamentów, gdzie się kazał Bernardowi wyperfumować i wystroić na obiad do dam.

Kiedy wspomniiał Butnera, zdawało mu się, że dokonał dzieła równającego się pracy pokoleń.

IV

Kawalkada była świetna. Damy w obcisłych amazonkach, każda z różą na klapie, panowie w rajtrokach i botfortach, za nimi tyluż liberyjnych hajduków.

Folbluty, którym tylko Maszkowski miał coś do zarzucenia, szły równo i z fantazją; towarzystwo było ożywione i dowcipne.

Tak, był i Maszkowski, już jako aprobowany narzeczony, rozpromieniony wygraną swego Kasztelana, którego też co trzy słowa miał na ustach.

Księżniczka Iza, już pogodzona z losem, zasypana prezentami, zajęta wspaniałością wyprawy, słuchała o koniu cierpliwie, z uprzejmym uśmiechem. Uśmiech ten, podobnie jak martwota na twarzy brata, stał się jej maską, pod którą Bóg wie ile ukryła młodych pragnień i dziewiczych marzeń.

Uśmiechała się do matki, gdy ta jej opowiadała o świetności rodu Maszkowskich; uśmiechała się podobnie do ciotki na jej żarty i dwuznaczniki.

Taki uśmiech miewają niewolnice i lalki.

Maszkowski raczył jej oświadczyć, że księżniczka dosiada konia przepysznie i że, widząc ją na siodle, zakochał się powtórnie. Nie zarumieniła się nawet i jadąc w milczeniu, głaskała jedwabistą grzywę wierzchowca patrząc obojętnie na drogę.

Blisko tej pary jak psotny chochlik uwijała się księżniczka Lawinia.

Ta, niepomna lat i powagi, wybrała sobie najswawolniejszego wierzchowca, harcowała wpadając między pary, mieszając się do rozmów, drażniąc ludzi i konie.

Maszkowski, ilekroć próbował zbliżyć się do Izy, spotykał ciotkę drwiącą w żywe oczy; księżna Idalia, gdy tylko zniżała głos, by wyraz jaki posłyszał sam książę Lew, słyszała tenże wyraz powtórzony przez bezczelną starą pannę, z tysiącem komentarzy.

Dokuczanie było żywiołem księżniczki Lawinii, bawiły ją złe spojrzenia Maszkowskiego i mars na czole pięknej pani, a gniewał niestychanie spokój siostrzeńca.

Kawalkada zjechała z góry, minęła misteczko, rzekę, wnrzyła się w las przecięty błotami i strumykami.

Raptem Maszkowski obejrzał się tu i tam.

- Zdaje mi się, że jedziemy śladem biednego Alfreda - zawołał. - Książę Leonie, co się stało z tą kłaczą?

Książę machinalnie ściągnął cugle i spojrzał na bratową.

- Przepraszam, może zawrócimy? - rzekł z cicha.

- Dlaczego? Nie jestem wcale nerwowa! Owszem, ciekawam zobaczyć miejsce wypadku.

- I ja też - wtrąciła księżniczka Lawinia. - Lubię takie miejsca samobójstw i mordów!

- To jest szczególnie przez los uposażone! - rzekł książę Leon.

- Doprawdy! Powiedz no! Powiesił się tam kto?

- O, i nie jeden! Zdaje mi się, że wisiało tam czterech Sumoroków i jeden Holszański.

- Jak? Co? - krzyknęła panna Lawinia.

- Sam dobrze nie wiem, ciotko. Niegdyś na polowaniu opowiadał mi strzelec. Były to zapewne zwykłe dawniej epizody procesu granicznego.

- Więc to był proces! Myślałam, że może erotyczna historia! - zaśmiała się panna Lawinia.

- Książę Leonie, co się stało z kłaczą? - pytał uparcie Maszkowski.

- Nie wiem, hrabio. Zapewne oddano ją do stada.

- Słusznie. Pyszna będzie matka. Co za łopatka! Sprzedaj mi ją, książę.

- Daruje hrabia, ale takie konie nie na sprzedaż.

- Szkoda! Hm, hm!

Maszkowski się zamyślił, coś nucąc pod nosem. Nie mógł na razie pojąć, dlaczego się takich koni nie sprzedaje.

Wyjechali z lasu. Okolica była równa, stanowiła jeden łąn zbóż dojrzałych. W oddali widać było folwark murowany holszański.

Droga podnosiła się nieco i nagle dobiegła tysego wzgórza, na którym leżało kilka głazów i stał krzyż drewniany, pochylony wiekiem, a przy nim brzoza płacząca.

Od tego miejsca w lewo zwracała się drożyna pełna wybojów i wiodła do jakiejś osady pod lasem.

Na wzgórzu książę Leon, jadący z bratową na czele, stanął.

- To tutaj - rzekł wskazując krzyż oczyma. - Zowie się to Karawika.

- Coś z tatarska - rzekła księżna Idalia.

- A może tylko skrócone: kara od wieku - z cicha zauważył Leon.

Maszkowski wjechał z koniem między głazy; pani Idalia zsiadła i oglądała miejsce uważnie, obchodząc ze wszech stron i szukając na kamieniach napisów.

Tak za granicą zwiedzała podane przez Baedekera osobliwości i pamiątki.

Iza się także zatrzymała, ale nie zbliżała się zbytnio. Opuściła ręce i oczyma, w których widniała groza, patrzyła na ziemię, jakby szukała na niej śladów krwi brata.

- Książę jest bardzo wrażliwy - ozwała się księżna Idalia dotykając ramienia szwagra końcem pręta.

- Skąd to przypuszczenie?

- Ze wstrętu co do celu naszej przejażdżki, a teraz z nagłej bladości. Czy ksiązę kochał brata?

- Bardzo mało go znałem. Wychowywano nas z osobna i kształcono inaczej. Sądzę, że był to dobry człowiek i nie lubię dziedziczyć z wypadku.

- Nad dobrocią jego nigdy się nie zastanawiałam, a co do dziedzictwa, ksiązę, jeśli nie można inaczej - dobry i wypadek.

Wyjęła żółtą różę z pętelki i musnęła ją ustami. Ksiązę patrzył na to.

- Ta róża wypadkiem moją pierwiej była, czy dlatego ksiązę będzie nierad ją odziedziczyć? I kiedy on wciąż patrzył, kwiat zawirował w powietrzu, musnął jego rękę, upadł na ziemię.

- Niezręczny! - zaśmiała się piękna pani.

Leon już zeskoczył z konia, schylił się po różę, ręka mu drżała nerwowo.

Róża leżała w pyle drożnym, a obok na ziemi zdało mu się, że widzi plamę ciemną, czerwono-brunatną i mimowolnym wstrętem zdjęty, pomyślał o bratniej krwi, tu, tak świeżo wylanej.

Kwiat palił dłoń jego; gdyby mógł, złożyłby go na gałęzi pod krzyżem, ale galanteria kazała inaczej.

Skłonił się z podziękowaniem i wsunął wonny dar do bocznej kieszeni na piersi.

Zmrużone zalotne oczy i mocno karminowe usta obiecywały mu więcej niż ten kwiatek.

Z boku scenie tej przyglądała się Iza. Zdziwienie widać było na jej twarzy.

Może pierwszy raz ujrzała flirt i pomyślała, że po ślubie i jej wolno będzie w ten sposób się bawić.

Tylko ona by chciała, żeby jej różę całowano, a potem jej ręce, i mówiono z cicha, gorąco - o miłości. Leon był taki sztywny, taki zimny!

Nareszcie panna Lawinia i Maszkowski zaspokoili swą ciekawość.

- Nic osobliwego! - zdecydowała ciotka wsiadając na konia przy pomocy masztalerza. - Zresztą w tym kraju nie umieją w niczym korzystać z okoliczności. Oho, za granicą! Byłaby kapliczka, źródółko, stróż fantastycznie ubrany, opowiedziano by, gdzie, kto, kiedy się powiesił, jak wyglądał, byłyby postronki, autografy, księga dla gości, altana, wszystko z komfortem i względnością dla zwiedzających. A tu nikt mnie nawet nie objaśni, kto to Sumorok.

- A! przepraszam ciotkę, ja to wiem. Sumorok jest to szlachciura władający od dwóch wieków nieprawnie enklawą naszą.

- Co to jest enklawa?

- Ten oto pas gruntu na lewo, wąski na pół wiorsty, długi na trzy mile, dzielący najhaniańniej holszańskie pola. Tam pod moim lasem widać dworek szlachcica.

- A kiedyż, mówisz, że on się powiesił?

- Jego czterech przodków zapewne! Zresztą nie wiem, co się z procesem dzieje. Może tam już nikt nie siedzi.

- Nie jesteś ciekawy?

- Nie, ciotko, ale mogę kazać podać sobie wszystkie akta procesu od plenipotenta. Zrobią z tego wyciąg w zarządzie i jeśli ciotkę ta sprawa zajmuje, będzie można ją odczytać.

- Naturalnie, że mię to zajmuje! Pomyśl no, cztery samobójstwa! To śliczne!

- Będę tedy służył streszczeniem.

- Księżno Idalio, a gdzież ta róża? Zgubiona?

- Prawdopodobnie! - wycodziła wdowa.

Świdrujące oczka panny Lawinii latały z niej na Leona - oboje ani mrugnęli.

- Hm, hm! - zamruczała trzęsąc głową.

Kawalkada jechała dalej, minęła folwark, dobiegła wreszcie wsi czarnej, świeżo spalonej.

- Ach! tośmy to widzieli któregoś wieczora! Pamiętacie tę łunę za lasem? Ach, jakież to straszne!

Podjechali bliżej. Wśród zgliszcz ruszali się chłopi milczący, zbiedzeni, rozgrzebując rumowiska. Gromadki dzieci przypatrywały się temu bezmyślnie. Gdzieniedzie płacz kobiet się rozlegał. Na widok jezdnych ruch powstał. Może myśleli biedacy, że jak aniołowie ci jaśni zstąpili umyślnie z pomocą i wsparciem.

Zaczęto się kupić, wylegać na ulicę, chylić się do ziemi, kobiety padały na kolana zawodząc.

- Tiens! (Patrzcie no!), czego oni chcą, ci dzicy? - zawołała panna Lawinia.

- Zapewne wsparcia - obojętnie odparł Leon wyjmując portmonetkę z kieszeni i rzucając ją w tłum.

- Jaki tu swąd! - skrzywiła się księżna Idalia.

- Za granicą tych ludzi pokazywano by w cyrku. Widziałam w Paryżu bardzo podobnych Czypajów Indian - dodała księżniczka Lawinia.

- A, nieprawda! - po swojemu, bez ceremonii zaprzeczył Maszkowski. - Widzi pani tę kobietę? Zupełnie ładna, a jak zbudowana!

Dobył także portmonetkę i począł kiwać na młodycę.

Iza zbladła, Leon się skrzywił, księżna Idalia puściła cugle koniowi, rada się wyrwać ze swędu; tylko księżniczka Lawinia, rada z konceptu Maszkowskiego, została, przez roztargnienie wołając na kobietę po francusku.

Tymczasem przed Leonem tłum mężczyzn gęstniał. Kłaniali się ciągle, twarzami prawie ziemi dotykając; wypychano naprzód najstarszych.

Wreszcie tłum zaległ, okrył całą ulicę - koń stanął przed ludzkimi piersiami.

- Czego chcecie? - zapytał znudzony.

- Miłościwy kniazia, poratowania! - poczęli wołać, obejmować jego nogi, klękać na ziemi w pyłe. A starzec jeden zgarbiony i prawie oślepy chude ramiona do niego wyciągał i głosem błagalnym, drżącym, przeciągłym opanował gwar.

- Miłościwy panie nasz, dosyć kary nam, dosyć pokuty. Zgrzeszyli ojce nasze, a my dotąd nędzarze nieszczęsne. Ni zarobku, ni paszy, ni drew, ni siana nam nie dają. Zdejm karę, kniazia, panie, zdejm! A zdejmie ci Bóg każde strapienie i chorobę, da ci dzieci i wnuki oglądać, rozhoduje twe dostatki, rozmnoży twoje moce! Już my teraz bez dachu, a któż nam węgiel odbuduje bez twojej pomocy?... Zmiłuj się, zlituj, kajanie nasze wysłuchaj!

Książę się odwrócił. Krzyk ten niemile działał na jego nerwy. Czoło zaczęło się mroczyć, a usta przybrały rys wyniosłości.

- Przepraszam, księżno, za mimowolną przykrość. Siła, rozpędzić tych ludzi. To nie miejsce i czas na podawanie prośb. Jest na to zarząd w Holszy!...

Hajduk wpadł między tłum.

- Miejsce dla kniazia! - krzyknął doniośle.

Chłopi zaczęli się cofać oniemiała i wylękli. Koń Siły rozpiecał ich, odtrącał; on sam miotał się i krzyczał, jak zwykle ścisły wykonawca pańskiej woli.

Chłopi dawali się popychać i deptać, tylko jakaś kobieta, trącona brutalnie, ozwała się żałościwie:

- Synku, nie bij!

Siła umilkł nagle. Poznał matkę, zaledwie teraz poznał opodał komin ojcowskiej chaty. Spuścił głowę i już nie krzyczał groźnie. Zresztą droga już była wolna, kawalkada minęła spaloną wieś, rozwinęła się na drodze.

Maszkowski zaproponował wyścigi - i cwałowano pokrzykując po angielsku.

Prym najniespodziewaniej utrzymała księżniczka Lawinia. Uniosła ją kapryśna klacz, przyprawiła o niemały strach i szkodę, bo za jej śladem zbierano fałszywe włosy, grzebyki, szpilki, w końcu warkocz i szpicrutę. Nareszcie udało się jej pohamować niesforne zwierzę, ale straciła humor i chęć do dalszego spaceru.

Maszkowski mścił się homerycznym śmiechem, księżna Idalia zjadliwymi dowcipami, a ona sama nie miała na kogo się gniewać, bo klacz wybrała sobie sama, pomimo perswazji masztalerza.

- Może wrócimy? - zaproponował Leon grzecznie.

Panna Lawinia, nadaśana, poprawiła naprędcę włosy i w wymownym milczeniu jechała na szarym końcu, trawiąc bezsilny gniew.

Maszkowski przysunął się do Izy i prawil jej nieudolne czulości, a na przodzie Leon z bratową jechali tak blisko, że prawie z ust do ust podawali sobie uśmiechy i znaczące słówka.

Znowu minęli wieś i, sobą tylko zajęci, nie zauważyli, jak chłopstwo schodziło trwożnie z drogi, jakie głuche na ich widok zapanowało milczenie.

- Więc księżę naprawdę utrzymuje, że o miłości nie ma pojęcia?

- Zdaje mi się, że tak mówiłem.

- Żałuję księcia!

- Jako upośledzonego?

- Nie, ale że tej sztuki uczyć się będzie musiał dla lub od księżniczki Caraman-Capet.

- Sądzę, że się obejdzie!

- Obchodzić będą imieniny księcia w dzień świętych Młodzianków... Dlaczego księżę nazwał miłość palącą szatą Dejaniry?

- Pozwoli księżna zapytać: dlaczego ją nazwała największą pamięcią? - odparł z przekąsem.

- Powiedziałam też: największym zapomnieniem.

- Ach, była zatem prawda w połowie.

- Nie, była do wyboru ~a discr~etion! (do woli!) Co by księżę wybrał?

- To drugie, jeśli łaska.

W tej chwili koń księcia rzucił się tak gwałtownie w bok, że omal go z siodła nie wysadził.

Przeraził go tak człowiek siedzący na głazie pod Karawiką.

Człowiek ten dawno tam był i patrzył nieruchomie na jezdnych. Gdy się zbliżyli, wstał nagle i znalazł się przed księciem, który niespodzianie zaskoczony, przyglądał mu się, zapewne myśląc o czym innym.

Starzec to był, tak wysoki i chudy, że robił wrażenie upiora.

Twarz jego też trupa była, bez ciała i barwy, pomarszczona, skórą okryta, z jakimś osłupieniem i desperacją w oczach, które w głębokich, bezdennych jamach świeciły jak błędne próchna blaski.

Starą siwą opończą okryty, nieruchomy, wpatrzony w twarz Holszańskiego, był straszny. Ale siłę dziwną miał ten niemy wzrok, bo nikt go nie objechał, nie minął.

Stanęli wszyscy i milczeli, mimowolnie przejęci. Księżę pierwszy nieco się opamiętał.

- Potrzebujesz czego ode mnie, człowieku? - spytał.

Widmo otworzyło usta blade i głosem, co jakby z bezdennej próżni szedł, odparło:

- Czy ty nowy kniaź na Holszy i Czartomlu?

- Jakeś rzekł!

Wówczas człowiek powoli rękę kościstą do czoła podniósł i zdjął czapkę wielką, pomimo lata barania, i odkrył czaszkę łysą, lśniącą, żółtawą jak kość słoniowa.

- Jestem Bazyli Sumorok! - wymówił głucho.

- Sumorok! - powtórzyła z cicha panna Lawinia zapominając o swej katastrofie i podsuwając się bliżej.

Książę, który przy ruchu starca rękę też do czapki podnosił, opuścił ją usłyszawszy nazwisko.

- Szukałem ciebie w tym pałacu, ale tam Sumoroków nie puszczają - i słusznie! Więc czekałem cię na drodze, bom chciał zobaczyć, do kogoś podobny? I spytać chciałem, jaki ty będziesz? Czy jak ci dawni, czy może prawdziwie nowy - inny?

- Il est fou! (Jest szalony!) - szepnęła księżna Idalia.

Starzec na księcia bez przerwy patrzył, magnetyzował go, w osłupienie wprawiał.

- Zobaczyłem ciebie, ale twarz twoja nic nie mówi! Dziwisz się mej śmiałości!... Mam prawo! Sumorok jestem. Holszański wie, co to znaczy! Przez trzy wieki wy nam nie daliście być dobrymi - my wam spokojnymi. Teraz, gdyście nas zgnębili, powiedz będziecież wy inni - dobrzy?... Ja mam prawo powiedzieć tobie: bądź ty inny - bo dość na ród jeden jednej krzywdy, dość na szali waszej naszych mordów i krwi, a mało do końca świata będzie pokuty i poprawy!

To powiedziawszy starzec oczy z księcia zdjął i z tym jakby urok prysnął.

Leon zadygotał, stał się papierowobiały.

- Z drogi! - krzyknął.

Sumorok usunął się w milczeniu. Wrócił na głąz pod krzyżem, o drzewo się oparł i zapatrzył w przestrzeń. Wyglądał jak umarły.

Kawalkada ruszyła dalej.

- Słowo daję, ten wariat chciał, prosił, żeby go do kompanii wisielców zamieścić - śmiał się Maszkowski.

- Alfred by pewnie tym chęciom dogodził - wtrąciła oburzona księżna Idalia.

- Żałuję zatem, że odziedziczywszy po nim sprawy podobne, nie dostałem w spadku usposobień - odezwał się chłodno Leon.

- Za granicą tacy ludzie siedzą za kratą. Tylko tutaj wariatom wolno grasować po drogach. Ale to ciekawy okaz! Ręczę, że mi się przyśni - wołała panna Lawinia.

- On tam jeszcze siedzi! - szepnęła drżąca Iza.

- Sumorok, Sumorok! Można tak konia nazwać! Nieprawdaż, księżniczko? - krzyknął Maszkowski uszczęśliwiony, zapisując sobie w pugilaresie upolowaną niespodzianie nazwę.

Nastrój uroczysty prysnął. Zaczęto żartować z wypadku, oceniać go z wesołej strony. Księżna Idalia przypomniała sobie, że mąż często wspominał o tej sprawie. Panna Lawinia starała się swej impertynenckiej i żywej twarzy nadać rysy i wyraz starca, i grobowym głosem powtarzała:

- "Jestem Sumorok!"

- Proszę dodać: "Bazyli" - dopowiadała już uspokojona Iza.

- Bazyli! Doprawdy! Nie dosłyszałam. Znałam w Paryżu księcia Bazyla! Ach! co za tancerz, et causeur, et vaurien! (jaki elokwentny i łobuzerski!) Nazywano go Dido.

- Kuzyn margrabiny P.?... - spytała księżna Idalia.

- Tiens, znasz go zatem. Słyszałaś o awanturze z Niniche?

- Słyszałam.

- Jaka awantura? - zagadnął Maszkowski.

- Nie sportowa, hrabio! - z przekąsem rzuciła piękna pani.

- Och! znam się i na tamtych. Więcej miałem kobiet niż koni w życiu. Słowo daję!

Panie przy tej niebotycznej szczerości spojrzały na Izę, czekając słowa lub chociażby grymasu. Ale księżniczka miała ten sam co przedtem uśmiech zdawkowej uprzejmości na ustach. Nie rozumiała, czy nie dosłyszała.

Zaczęto tedy opowiadać awanturę o tyle słoną, o ile pieprzną. Sumorok poszedł w niepamięć.

Księżę Lew jechał milczący. Z przyzwyczajenia do form nie ustąpił na jotę. Uśmiechał się, w porę potakiwał, uważał na wierzchowca księżny, ale wewnątrz wzbierał w nim głuchy bunt i niezadowolenie.

Czasem drgały mu powieki i kąty ust, to znowu koń, ściągnięty nerwowo, boczył się i skakał. Księżę miał złość natur chłodnych i refleksyjnych - cichą, niewidzialną, straszną.

Dotknięty był do żywego jako magnat nie znoszący krytyki i sądów niższych, jako mężczyzna, którego prawie spoliczkowano wobec kobiet, jako człowiek nie znoszący gwałtów, hałasów, stoczony apatią i lenistwem, gdy go coś, ktoś, zmusza do czynu i energii.

Na naturę jego potrzeba było musu. Dotąd nigdy nie czynił ani źle, ani dobrze; dawał się popychać okolicznościom. Zresztą do dobrego nie ma musu. Teraz ten człowiek bez woli będzie czynił złe. Maską jego przez to w niczym się nie zmieniła. Była takąż jak w chwili, gdy Sumorok mówił, że twarz jego nic nie znaczy - nie zdradziła też niczego wesołej kompanii, której rozmów i żartów słuchał z całym zajęciem.

Wyjechano z lasu - i oto w całej okazałości roztoczyła się Holsza.

Na wysokim moście nad rzeką stanęli chwilę, podziwiając krajobraz.

W dole miasteczko, czerwone kryte, z daleka dość malownicze, nad nim ruiny zamku, a w głębi wspaniały front pałacu w gęstwinie zielonych parków.

Nad jedną z wież powiewała herbowa chorągiew, czerwone pole z czarnym Centaurem. Nad drugą błyszczał krzyżyk domowej kaplicy.

Jeszcze dalej, na wzgórzach i wyżynach rozpięte czerniały sławne puszcze holszańskie.

Na skraju właśnie tych gór i borów, mając przed sobą niziny, równiny, pola, stał stary zamek. Główna jego masa czerwono-szara wyglądała jak korpus; mury, wały jak ramiona; główna baszta jak głowa, w której strzelnice stanowiły oczy.

Oczyma tymi patrzył w niziny, szukał Tatarów, Szwedów, a ramiona te wyciągał na przyjęcie swoich, którzy gnani, zmęczeni, za zasłonę jego siły biegli, tulili się, prosili ratunku.

Stary gościnny był dla swojej krwi, przyjmował, zamykał, a potem z ramion tych, z korpusu, z oczu sypał wrogom przekleństwa, groźby, ognie, plwał na nich kulami.

Nie znosił cudzej krwi wewnątrz swego serca i domu.

Tak było niegdyś. Teraz ramiona starca zwisły, korpus się skurczył, a oczy na baszcie były czarne, wielkie, łzami czy ogniem wyżarte.

Towarzystwo krytykowało ruiny. Niezgrabne były. Brakowało im bluszczów, róż i kokieterii podobnych zwalisk nad Renem lub w Tyrolu.

Przypominano sobie widziane: Trautmannsdorf-Taxis, jakieś Fleten, jakieś Falkenhorst. Stanowczo mieli rację Holszańscy: brzydotę trzeba było bądź co bądź zrównać z ziemią.

Opadnięto Leona. Musi tego dokonać! Na wstyd tamtym, którzy zaczęli, a nie skończyli.

On powiódł okiem po murach. Krużganku nad herbem ułamek tylko stąd widać było. Tam stanęły jego oczy i pozostały sekundę dłużej, niż potrzeba było do dania odpowiedzi.

- Mylą się panie - odparł wreszcie, pozornie lekkim tonem. - Nie moje imię taką się chwałą okryje.

- Co? Uważasz to straszdyło za coś bardzo szczególnego? - przerwała ciotka.

- Zapewne. Nie znalazłem nigdzie podobnych, chociaż, zdaje mi się, że wszystkie w Europie widziałem. Unikat - zachowam w poszanowaniu.

- Jesteś barbarzyńca! - oburzyła się panna Lawinia.

- Pasowany przez ciotkę na jej rycerza!

- Cofam! ofam, aż nie zostanie szczątku po tej kupie rumowisk.

- Jestem niepokieszony!

- Jesteś brzydki. Zaledwie cię poznaję... Uprzejmość twa i rycerskość jest płytką jak twoja Holsza, a upór bezdenny jak Atlantyck! Tak, tak. Nauczyci cię jezuici!

- Ciotka mnie przygnębia swą niełaską.

- Ale ruin nie zburzysz?

- Niestety, ciotko, ani jednego głazu.

- Właśnie, właśnie! Kiedy czego chcesz, albo nie chcesz, stajesz się źle wychowanym i upartym jak wszelkie nisko urodzone kreatury.

- Dla zrównoważenia, na szczęście, rzadko i mało czego chcę.

- To jest impertynencja wobec nas wszystkim kobietom wyrządzona! Przepróż!

- Patrz, książę! - zawołał Maszkowski. - Tam się znowu jakaś tłuszcza zbiera i dąży w naszą stronę! To pewnie znowu jakaś petycja. Słowo daję, to awantura! Urządźmy wyścigi z przeszkodami. Niech szkapy sadzą im przez głowy.

Książę obejrzał się, groźnie ściągając brwi.

- Znowu! Trzeci raz! Nie można więc z domu wyjechać. A ba - to trochę za wiele.

Zbliżająca się gromadka była niewielka: kilkunastu mieszczan z odkrytymi głowami; odziani odświętnie. Kawalkada spotkała ich zjeżdżając z mostu. Stanęli, wypychając naprzód mówcę.

- Czego chcecie? - rozdrażnionym, złowróżbnym głosem zapytał książę.

Ton ten i postawa onieśmieliły mówcę. Zapomniał wyuczonej perory.

- Wapniarkę nam odebrali, miłościwy kniaziu - wyjąkał nareszcie.

- Jaką wapniarkę? Waszą?

- Nie naszą, kniaziowską. Ale my ją trzymaliśmy od wieków. My z niej żyli. Teraz nie ma.

- Cóż to? Myślicie, że to ja zrobiłem, i że z wami tu gadać będę? Mam rządcę na to! Siła! pokaż tym ludziom drogę do kancelarii.

- Dziękujemy miłościwemu panu za to słowo! Ja mówił, że nie z kniazia woli ta krzywda nam się stała, ino z wymysłu Niemca! Książ nasz nam nie da zginąć!

Książę zrozumiał, że ludzie ci odprawę jego wzięli za łaskę i nadzieję.

- Rządca mnie zastępuje. Powinniście go szanować i słuchać - rzekł.

- Rządca to ręce, a książ serce i głowa! Nie zrobią ręce źle, kiedy głowa się nie zgodzi - nabierając otuchy odezwał się mówca.

Kawalkada przejechała wśród radosnych okrzyków. Książę obrócił się do bratowej i uśmiechnął z widocznym przymusem.

- W spadku moim dotąd widzę same ciernie, słyszę nieproszone morały. Sądzę, że Alfred w grobie drwi ze mnie!

- Trzeba się starać, żeby zazdrościł - dwuznacznie odrzuciła wdowa.

- W każdym razie należy mi się więcej róż!

- Ludzie chcący rzadko i mało, mogą ich długo i daleko szukać - rzekła z uśmiechem na ustach, a gniewem w oczach.

Lica księcia lekkim nabiegły rumieńcem. Nie zrozumiał obrazy; myśl jego inny przybrała kierunek; zupełnie inaczej, niż miały trafić, słowa te trafiały do niego.

Jechali właśnie pod sklepieniem bramy. Podniósł oczy, a wtem cień od krużganka omroczył i pogłębił blade źrenice.

- Wiem o tym, księżno - rzekł - daleko i długo!

- I zwykle niczego nie dostają - szepnęła.

- Dlaczego, księżno?

- Bo ich ubiegnie własne głupstwo. Car ce sont des imbéciles! (Ponieważ to głupcy!) - zakończyła, stając u podjazdu.

Jak człowiek budzący się ze snu księżę popatrzał na nią przerażony, czy mimo woli w roztargnieniu nie uchybił formom.

Na razie nie umiał zdać sobie z tego sprawy, a ona nie czekając przeprosin znikła pod portykiem.

Księżę zsiadł z konia i tak, jak był, ze szpicrutą w ręku, w odzieniu zakurzonym, poszedł wprost do swego urzędowego gabinetu.

- Zawołać mi natychmiast Butnera! - rzucił służbie po drodze.

W gabinecie nie usiadł, ale chodził ciągle wkoło, mnąc w ręku rękawiczki. Z każdą minutą stawał się bardziej rozdrażnionym.

Gdy ciężki chód rządcy rozległ się w sieni, wtedy dopiero zapanował nad sobą.

Butner nie usłyszał wybuchu. Głos pana był jak zwykle cichy, chłodny - głuchszy nieco.

Stanął przed Niemcem, z daleka przecie.

- Dzieją się nieporządki u pana - rzekł.

- Jaśnie oświecony księżę... być nie może!

- Może, bom ich doznał przy pierwszym wychyleniu się z pałacu. Chłopi z jakiejś spalonej wsi opadli mnie, prosząc o pomoc i skarżąc się, że im nie dają wygód i zarobku.

- To Krasne Sadyby, jaśnie oświecony księżę.

- Nie chodzi mi o nazwę, ale o rzecz.

- Nazwa właśnie temu winna. W rozporządzeniach, które otrzymałem, stoi wyraźnie: "Chłopom wsi Krasne Sadyby, z wyjątkiem chaty Laszków, nie dawać opału, pastwisk i żadnych wygód i pomocy, jako też nie przyjmować ich w najem." Jutro dokument ten ośmielę się złożyć księciu panu.

Leon słuchał zdziwiony. Stał przed jakąś starą tajemnicą rodową, którą mu chyba odwieczne kroniki wyjaśnia.

Butner z zadowoleniem się uśmiechał.

- Od tego nie odstępiałem na jotę i tuszę, że obecny pożar dokona tam zguby.

- A chata Laszków?

- Stanowią ją teraz rodzice lokaja Siły. Tym wydano kwit do leśnictwa i cegielni.

Książę znowu parę razy przeszedł się po gabinecie.

- Nie koniec na tym. Opadli mnie też mieszczanie ze skargą o pozbawienie ich jakiejś wapniarki.

- Nie chcieli jej dalej dzierżawić, gdy im podniesiono opłatę roczną o kilkaset rubli. Sumę tę jednak zapłacił chętnie rodak mój, człowiek fachowy i pieniądze. Usunęło się mieszczan, bo mi nad spokój i wygodę miłsze dobro książęce. Te kilkaset rubli tu, tam uczyniły pięć tysięcy rubli wyżej objętych przeze mnie dochodów. Jutro złożę księciu panu dla porównania stary i nowy kontrakt.

- Na przyszłość jednak żądam, aby pan oszczędził mi podobnych scen. Proszę zastosować środki zapewniające mi swobodę ruchu.

- Stanie się, jaśnie oświecony panie.

- Proszę mi też kazać w zarządzie opracować wyciąg z dokumentów dotyczących się sprawy Sumoroka. Sądziłem, że sprawa ta skończona.

- Urzędownie tak, książę panie.

- Dlaczego zatem Sumorok dotąd włada enklawą?

- Wskutek dobroćliwości i łaski zgasłego księcia Alfreda. Rozkazał wstrzymać wykonanie sądowych wyroków. Jutro złożę księciu rzeczony rozporządzenie.

Znów książę przeszedł się tu i tam po pokoju.

Butner stał i czekał, łypiąc oczyma i przestępując z nogi na nogę. Widać było, że zrazu zaniepokojony, teraz triumfował.

- Możesz pan odejść! - rzucił mu Leon wreszcie, nie przestając spaceru.

Chodził jeszcze długo, zapomniawszy przewietrzyć pokój po rządcy, nie dbając o damy i Maszkowskiego.

Wezwanie na obiad spadło nań całkiem nie w porę. Z przestachem spojrzął na swój strój i stało się raz pierwszy w życiu, że do stołu przyszedł ostatni, nie śmiejąc spojrzeć w oczy matki i bratowej, przywitany milczeniem brzemiennym krytyką.

Stara księżna odzywała się zwykle mało, uwag nie czyniła w towarzystwie, ale oczy jej ostre i zimne spoczęły na synu z wyrazem nieopisanego lekceważenia. Pomyślała zapewne, w jak niegodne i nieudolne ręce dostał się rodu honor i reprezentacja.

Książę Lew wiedział zresztą, że u matki nigdy nie był w łaskach, z tą różnicą, że dawniej był lekceważony, a teraz ostro sądzony.

Ale też dawniej czuł to i może bolał; teraz nie czuł i nie dbał już.

Zachowywał się względem niej, jak względem reszty świata - *très correct* (bardzo poprawnie) i chłodno.

Obiad przeminął w nastroju sztywnym, jaki zwykle stara księżna rozlewała na otoczenie. Z pewną ulgą wstano od stołu.

Książę starał się swój błąd zatrzeć. Nie odstąpił dam, rozmawiał, żartował, opowiadał anegdoty, bawił towarzystwo, flirtował z bratową. Był "idealny", zdecydowała ciotka rozpromieniona, "niebezpieczny", raczyła przyznać piękna pani.

Matka milczała na swym tronie, ale on wiedział, że jej nie przejednał.

Zauważyła to księżna Idalia.

Przechadzali się sami po tarasie. Panna Lawinia, ukryta w gęstwinie, oddawała się ulubionej czynności - podsłuchiwała gruchania Maszkowskiego i Izy, siedzących na ustronnej ławeczce.

- Musiał niegdyś książę ciężko zadrasnąć matkę - rzekła zniżając głos i patrząc mu w oczy.

- Skąd ten wniosek, księżno? - zagadnął z uśmiechem.

- Ze sposobu jej obejścia się. Alfreda traktowała łaskawiej.

- To bardzo naturalne. Matka ma mnie dziś za intruza. Alfred był jej dumą i chlubą. Nie grzebie się chętnie swych nadziei, swego dzieła, a na niespodziewanego dziedzica nie patrzy się mile. Alfreda matka kochała. Był jej pierworodnym, urósł pod jej wpływem, urobiła go, jak chciała. Lęka się, czy we mnie, nie przygotowanym i starym, znajdzie podatny dla swej woli materiał. Lęka się i nie wierzy.

- Czy słusznie?

- Nie wiem, księżno. Jestem przygotowany do wszelkich możliwych ustępstw.

- Możliwych? A zatem książę przypuszcza niemożliwe?

- Nie przypuszczam, rachując na jej takt i rozum.

- To nie odpowiedź, to tylko zręczna gra słów. Ja pytam: czy jest rzecz, w której książę na matki "tak" odpowiedziałby "nie"?

- Przypuszczam, księżno, ale jestem pewien, że to przypuszczeniem zostanie.

- Bo?

- Bo matka jest na tyle dumną, iż się na to "nie" nie narazi.

- Ja myślę, że ona nie rozumie oporu jej woli. Alfred jej słuchał ślepo. Więc też nigdy nie zadawałam sobie trudu żądania czegokolwiek od niego. Załatwiałam to przez matkę i umiem sobie z nią dać radę. Teraz postaram się o zwyczaj papierów księcia i rękę za wyborny rezultat.

- Mille graces (Stokrotne dzięki), księżno. Szkoda trudu, tym bardziej, że ja swój los znoszę spokojnie, niczego lepszego nie pragnąc.

- Za wczesna przechwałka. Książę nie zna obmyślanej bohdarki, ale ja ją znam i żałuję księcia dla niej.

- Proszę mi zatem wybrać inną.

- Spuszcza się książę na mój gust?

- Najzupełniej.

- A zatem opiszę ją księciu.

Powoli zeszli z tarasu. Postacie ich rozplynęły się w cieniach szpaleru, głosy w szmerze liści i ćwierkaniu usypiających ptasząt.

O księżnie matce nie było nawet mowy.

Północ była, gdy Leon znalazł się nareszcie u siebie, sam tylko z Bernardem.

Kamerdyner krzątał się po pokoju i chrząkał, chcąc zwrócić na siebie uwagę, ale pan wcale się do snu nie kwapił.

Rzucił się na fotel u okna i nieruchomy, z zamkniętymi oczyma odpoczywał. Twarz mu się krzywiła w spazmie zwykłym, jak zwykle też ziewał nerwowo. - Jasny pan pozwoli sobie przyrządzić proszek? - spytał nareszcie lokaj.

- Nie. Nic nie pomagają.

- Jasnemu panu trzeba trochę rozrywki - jeszcze ciszej szepnął Bernard. - Tu, w tej pustce i jednostajności, można się rozchorować.

Nie wiadomo, czy książę słuchał. Oczu nie otwierał.

- Nuda i mnie rozdziera - mówił poufale dalej sługa. - Szukałem towarzystwa, znalazłem szczęściem dom zarządcy. To człowiek, co się zowie. Śliczną ma córkę - sam pączek! - Jaśnie oświecona księżna starsza bierze ją na lektorkę na czas swego tu pobytu.

Umilkł i chrząknął.

Oczy księcia rozwarły się powoli.

- Daj mi tu świec parę i książkę, tę z wierzchu. Możesz odejść. Nie położę się dzisiaj wcale, bo nie zasnę; może trochę zdrzemnę się w fotelu.

Bernard spełnił rozkaz, drzwi bez szmeru zamknął i odszedł coś mruczając niechętnie.

Książę nie czytał.

Chory był fizycznie i moralnie.

Fizycznie czuł niemy rozstruj. Wydelikaczone jego nerwy szalały. Słyszał za każdym oddechem szmer powietrza w płucach, słyszał wszystkie pulsa i słabe, leniwe uderzenia serca.

W ciszy nocnej szmery te i odruchy sprawiały mu nieznośne udręczenie, chciał je przerwać, głos inny posłyszeć, a nie miał mocy nad sobą, by otrząsnąć się z martwoty.

Moralnie torturowała go nuda. Nuda bezbrzeżna, rozpaczna, bez najmniejszego już oporu woli, bez żadnego punktu stałego, gdzie by ten opór mógł się wyrobić. Wstręt do życia, czynu, wstręt nawet do przyjemności, niemożność dogodzenia sobie, bo niczego, nawet rozkoszy i zabawy, nie pragnął.

Przez zamknięte powieki nie widział już żadnego obrazu, tylko jakieś pary, jakieś mgły, jakieś szare, monotonne przestrzenie.

W takich razach nie zdawał sobie sprawy z istnienia, nie rozumiał, czym jest i czy nawet żyje. To tylko wstrzymywało go od samobójstwa.

Stan taki nie przyszedł nagle, ale wzrastał szybko. Ataki niemocy, dawniej rzadkie i słabe, przeszły w chroniczne objawy, ilekroć sam pozostawał.

W towarzystwie podtrzymywał go nałóg form i obyczajów w świecie jego przyjętych, a od dzieciństwa zaszczepionych.

Za zbrodnię poczytałby sobie uchybienie najmniejsze. Ale wreszcie i to spełnianie obowiązków farsą mu się stało, wysiłkiem, za który choroba się mściła po nocach, stale już prawie bezsennych.

Dzieje tej choroby były długie: liczyła pięć lat rozwoju; jemiola tak niszczy dęby!

Zrodził ją bunt - poznał, że jest bezsilnym i przeszedł w gorycz. Od goryczy tak mało do zniechęcenia, od zniechęcenia krok do obojętności i znieczulenia. Potem potwór już sam rośnie, wszystko oplątuje i niszczy...

W duszy księcia pożarł był już wszystkie moce - oprócz jednej., Na straży tej jednej stał honor; wokoło niej skupiły się niedobitki historycznego uporu Holszańskich.

Może zresztą czasem, w chwilach jaśniejszych, ten duch chory i nieszczęśliwy zdawał sobie sprawę z powodu obecnej niedoli - i zrozpaczony, o zemście za krzywdę rozmyślał. Wtedy tę jedną moc wspominał i zamrzeć jej nie dopuszczał...

Przed powiekami księcia, zamiast szarej mgły, zapanowała nagle nieprzejrzana ciemność.

Wzdrygnął się. Nie cierpiał czarnej próżni, bał się nerwowo nocy w swym udręczeniu.

Otworzył oczy. Ostatnia świeca dopaliła się i zgasła, nurząc pokój w mroku.

Przy tym poczuł książę chłód i nieznośny ból głowy. Drżącą ręką sięgnął po zapalki, zapalił, spojrzął na zegarek.

Późno było - i nigdzie pod ręką świecy.

A jednak nawet nie próbował zasnąć. Powietrze wydało mu się dusznym więc otworzył drzwi i wyszedł na chłodny korytarz.

Otworzył parę okien i przechadzał się jak dusza pokutująca, sam jeden w uśpionym olbrzymim pałacu. Nie, nie był sam: naprzeciw świeciły dwa okna w skrzydle. Zauważył to i przechodząc spoglądał w nie.

Czyż i profesor tak był chory, zmęczony, a niezdolny odpocząć? Bez trosk, a nieszczęśliwy. Myśli tej - pierwszej, która się zbudziła - książkę chciwie się uchwycił. Zajął go coś, drobiazg, ale czasem żdźbło ratuje.

A gdyby tam pójść, na to nikłe światełko? Zobaczyć tego, który je zapala? Doczekać, aż zgasi? Tymczasem dzień przyjdzie, jeden mniej przed sobą, jedna noc przebyta.

Był to przecie jego nauczyciel. Nie odwiedził go dotąd po nagłej zmianie, która go niespodziewanie przygnała pod dach rodzinny, po pięcioletniej nieobecności. Przed pięciu laty bywał często, za często może, jak się w skutkach okazało.

Książę stanął u okna. Światełka pociągały go. Nie pierwszy raz doznawał tego uczucia. Ale go jakiś nieokreślony wstyd wstrzymywał. Może się wstydził tych ścian, które widziały go młodym, a zobaczą ruiną!

Tym razem nie opierał się długo. Cicho przymknął okno, przeszedł korytarz, schody - znalazł się na podwórzu.

Profesor mieszkał w końcu skrzydła na dole.

Drzwi nigdy nie zamykał na rygle, na pukanie nie odpowiadał. Mógł przyjść do niego, kto by chciał - nauka nie boi się zbójców, a profesor nie bał się też natrętów, bo był na rzeczy tego świata głuchy i niemy.

I teraz, na skrzyp drzwi o tak niezwykłej porze, nawet się nie obejrzał.

Pracował w pierwszym od wejścia pokoju, przy stole, pod wiszącą lampą, która oświecała jego poważne i dobrotliwe zarazem oblicze, otoczone srebrnymi włosami.

Pisał z brulionu pokreślonego mnóstwem notatek i dopisków.

Pokój był zarzucony mnóstwem gratów. Walały się stosy kości i kamieni, kawałki drewna i surowych minerałów. W kącie stał tapczan - łóżko rzadko używane, istne łoże anachorety. Na końcu stołu, na srebrnej tacy, stał obiad skrzepły i nie tknięty.

Przez dalsze drzwi otwarte widać było długi szereg komnat.

Były to zbiory książęce, którymi profesor zarządzał od lat przeszło trzydziestu, zarządzał, dopełniał, klasyfikował. Było to jego państwo, kraj, rodzina, dom i kochanie.

W głębi leżała biblioteka i archiwum; zupełnie na końcu zbrojownia.

Książę wszedł i rozejrzał się. Pięć lat ubiegłych nie zapisało się tutaj najmniejszą zmianą.

Stał jeszcze dotąd pod oknem stołek drewniany, na którym on dzieckiem siadał do nauki, młodzieńcem do gawędki z nauczycielem; stał drugi podobny pod ścianą. Na tym on nie siadywał, ale swój czasem do niego zbliżał, stały tedy blisko siebie, zupełnie blisko.

Wszystko to objął jednym rzutem oka. Potem chciał się odezwać, przywitać starca, wytłumaczyć to najście szczególnie, ale nie uczynił nic z tego.

Cichutko obszedł uczonego, stołek swój zajął i ze zdziwieniem poczuł, że mu tutaj bardzo dobrze, że atak minął, że go ta cisza nie męczy, oczy nie zamykają się gwałtem.

Profesor pisał, w pewnych odstępach czasu przewracając kartki. Trwało to może pół godziny.

Nareszcie snąc dobiegł rozdziału, odłożył pióro i oczy podniósł na księcia.

Dobrotliwy, dziecinny uśmiech okolił jego milczące wargi.

Leon myślał, że rad go tu widzi i wita tym uśmiechem, ale uczony rzekł spokojnie:

- Skończyłem na dzisiaj.

- Profesor nie zauważył, że wszedłem - ozwał się młodzian z uśmiechem.

- Owszem.

- I nie zdziwił się profesor?

- Zdziwić się! Czemu?

- Mym odwiedzinom o tak niezwykłej porze.

- A cóż to za pora?

- Ano, godzina druga po północy.

- Doprawdy! Nie znam się na zegarkach. Jaka to strata czasu obmyślać i wykonywać taki zawiły mechanizm i rachunek na taką prostą rzecz!

- Cóż więc profesor pomyślał, widząc mnie wchodzącego?

- Nic nie pomyślałem. Wszedłeś - ano, to pewno wiesz, po co. Jeżeli czegoś ode mnie potrzebujesz, to powiesz; a nie - to sam załatwisz.

- Profesor, widzę, nie jadł obiadu.

- A prawda! Nie uważałem. Teraz zjem, bom robotę skończył.

Złożył papiery i zamknął do szuflady.

Ułamał kawałek chleba, nalał kubek wody i jadł przeglądając przepisane bruliony.

- Czy profesor nie może sypiać po nocach?

- Spałbym, gdybym się położył, ale nie mogę się położyć, gdy pracuję.

- Po cóż tyle pracować? Ach, gdybym ja mógł spać! Czy w składach profesora nie ma morfiny?

- Po co pracować? - powtórzył stary nie zważając na dalsze słowa. - Bom wiele czasu stracił. Człowiek rodzi się na lat kilkadziesiąt najwyżej. Gdybyż to pamiętał od początku! Ale wtedy tyle sił i żądź nosi w sobie, że mniema się być nieśmiertelnym. Marnuje lata, bo nie wie, jak potem te lata staną mu się wyrzutem i wstydem. Potem dni rad by przedłużyć, godziny pomnożyć, kradnie czas od snu, od jedzenia. Ale cóż to znaczy, te dni starości, te godziny uwiędu, wobec tamtych lat i siły i potęgi!... Teraz ja spieszę, spieszę, ale prędzej od mej myśli i sił starych - spieszy koniec. Żebyż z tym końcem i robotę skończyć!

Profesor mówił spokojnie, wyczierając w okno, ażali już nie świta.

Księżę już po raz drugi nie spytał o morfinę.

- Profesor pisze zawsze swą monografię pajaków? - rzekł po chwili milczenia.

Uczony skinął głową. Nie chwalił się nigdy swą pracą.

- Może przeszkadzam? - zagadnął Leon.

- Przeszkadzasz? W czymże? - bardzo zdziwiony odparł starzec. - Nie rozrzucasz mi przecie zbiorów.

- Ale profesor spocząłby zapewne.

- Nie; spałem dużo wczoraj. O świcie wyjdę do lasu.

Spożył chleb i dopił wody z kubka.

- Syt jestem! - mruknął z zadowoleniem.

- Profesor nic nie jadł oprócz chleba.

- To był chleb? Uważałeś? Ano, to dobry chleb - odparł obojętnie, widocznie roztargniony.

Usiadł w fotelu i milczał, rozmyślając, co by mógł jeszcze zrobić do świtu.

Leon bolącą głowę ręką podparł i spod brwi patrzył z zazdrością na twarz tę tak dobrotliwą i spokojną.

- Czy dawno profesor nie widział Grzymały? - zagadnął wreszcie z cicha.

- Dawno. Mydłek to był i blagier! Powiada mi: "Jest gatunek ziemnych pajaków, czerwony." Osobliwość, myślę. Obiecał mi znaleźć i pokazać, i wyobraż sobie: przysłał pospolitego świerszcza. Zgryzłem się. Chciałem go zobaczyć i rozmówić się, aż ktoś mi powiedział, że umarł. Nie wiem, czy to uczynił umyślnie, czy z prawdziwej nieświadomości.

- Grzymała umarł?... Chyba stary?

- Młodszy był ode mnie, ale pił dużo i jadł podobno trzy razy na dzień. To niezdrowo.

- Ja pytam o młodego.

- O młodego? Nic nie mówiłeś! Młody pewnie żyje.

- Profesor nie bywa u nich? Wszak to krewni?

- Zdaje mi się, że coś podobnego. Nie znam się na tym. Czegóż bym tam bywał? Gdyby stary naprawdę coś wiedział o tym pająku, tobym go odwiedził. Ale to blagier był.

- I Grzymała młody nie odwiedza profesora?

- Widziałem go tutaj. Podobno służył u was. Był i potem raz jeden, ale byłem bardzo zajęty. Preparowałem okaz do zbiorów. Posiedział niedługo. Coś mi powiedział o jakimś małżeństwie. Obchodzili jakieś wesele.

- Może na swoje zapraszał?

- Nie przypominam sobie.

- A może siostry?

- Gabryni? Naprawdę, nie przyszła mi ona na myśl, a spytałbym. Szkoda by jej było.

Mówiąc to twarz miał rozpromienioną.

- Gabrynia nie blagier. Ona by mi świerszcza za pająka nie przysłała. Zna się na rzeczy, a oczy ma do zazdrości. Miałem z niej pociechę!

Pokiwał w zamyśleniu głową.

- To jednak dziwne, że jej teraz nie widuję. Gdzie ona się podziała? - spytał, ciekawie oczy podnosząc na księcia.

Leonowi spazm skurczył twarz. - I jej już nie ma w Holszy - odparł głucho.

- Ale nie umarła?

Księżę się wzdrygnął.

- Boże broń! - rzekł prędko, czując strach niepojęty.

- No, to dobrze. Mówię ci, szkoda by jej było dla nauki. Ona ma żyłkę do obserwacji. Lubię ją!...

Uśmiechnął się łagodnie. Może wśród pająków i łacińskiej terminologii na chwilę stanęła mu przed oczyma ta, o której mówili, bo ręką zrobił ruch, jakby coś gładził, i dodał:

- Dobra Gabrynia.

Naprzeciw siedzący poruszył się także, ręką po zmęczonych oczach przesunął wstał i przeszedł po pokoju parę razy.

Nie wrócił już na swe miejsce, ale w cieniu na drugim stoliku usiadł, głowę o ścianę opierając.

Nie odezwali się więcej do siebie. Profesor się zamyślił, może zadrzemał na chwilę. Księżę nie wiedział, co się z nim działo, aż do czasu, gdy świt różowy, złoty, uderzył o szyby, a potem o jego twarz. Wtedy się ocknął i zrozumiał, że zasnął tak, siedząc i marząc.

Profesor już się krzątał po izbie. Zbierał swe siatki, flaszeczki, motyki.

Księżę się porwał przerażony.

- Wszak to już ranek, profesorze! - zawołał.

- Czas do lasu! - burknął stary.

- Nie dokuczyłem swą obecnością?

- Jakim sposobem? Gdybyś nawet chciał, tobym nie przerwał roboty.

- Więc nie będę natrętnym, gdy tu się kiedy zjawię jak dzisiejszej nocy? Sypiać nie mogę.

- Przychodź sobie, kiedy chcesz, tylko mi w zbiorach nie gospodaruj sam, bo się na tym nie znasz i narobisz nieporządku.

- Nie ma obawy, profesorze. Jeżeli stąd się oddalę, to tylko do biblioteki. Dziękuję!

- Za co dziękujesz?

- Za te kilka godzin spokoju...

Profesor głową potrząsnął. Był to ruch zwykły, gdy czegoś nie rozumiał, a badać nie widział potrzeby.

Potem manatki swe zabrał i wyszedł.

Książę zamknął drzwi za nim.

Rozstali się na progu. Uczony udał się w lewo ku puszczy, Leon zawrócił do pałacu.

Chwilę patrzył za starym i widać było, że rad by za nim podążył, ale nie poddał się chęci.

Był to wybryk, na który teraz już nie mógł sobie pozwolić. Nie wypadało.

Była godzina południowa, godzina najcięższego skwaru i znoju. Damy spędzały ją jeszcze w negliżach na balkonie od północnej strony pałacu, spożywając śniadanie, ziewając, rozmyślając, jak czas do obiadu zabija.

Stały baciki na rzece, stały setki koni na stajni, zachęcały do spaceru cieniste parki. Zaczynało im jednak nieznośnie ciężyc życie i pobyt na wsi.

Księżniczka Lawinia przeczytała trzy romanse o Szkocji, straciła humor i swobodę; lada dzień miała odjechać, marzyła tylko o Szkotach. Iza, znękana obecnością Maszkowskiego, rwała się do Paryża, byle się go pozbyć na chwilę. Księżna matka może jedna pamiętała i szanowała powód przydługiej bytności w Holszy, wspominała starszego ukochanego syna, z ciągłym buntem na los i przeznaczenie ślepe, które rzuciło jej znowu przed oczy tego drugiego, niepojętego, nieznanego, który wszelkie jej życzenia spełniając, był zawsze obcy, zawsze podejrzany.

Księżna Idalia nudziła się szalenie; pragnęła towarzystwa, zmiany otoczenia. Żałoba doprowadzała ją do rozpacz; pamięć męża obmierzła. Życie nie umiała na wsi, a Leon, zachęcany, ośmielany, zmuszany prawie, był jak wąż gładki i nieuchwytny.

Bez zarzutu grzeczny, uprzedzający jej życzenia, o ile szło o towarzyskie obowiązki, poza tym ani na krok się nie posuwał. Zarzucany dwuznacznikami, drażniony, osypywany względami, na jedną chwilę nie zmienił swej taktyki, swego wyrazu, sposobu postępowania.

Księżna w tej grze niebezpiecznej grzęzła bardziej, niż było jej pierwotnym zamiarem; zapominała się niekiedy aż do gwałtownych wybuchów; pozostawszy samą, żałobę szarpała na sobie. On, pozostawszy sam, na myśl o niej wstrząsał się nerwowo i wyrzucał precz za okno kwiaty, które całowała ofiarując.

Bez wątpienia on był jej mistrzem w sztuce panowania nad sobą.

Przy owym południowym śniadaniu panie rozmawiały przeważnie o wyprawie Izy i o rychłym wyjeździe; debatowano z całym przejęciem o ilości strojów i klejnotów, o wizytach do przyjęcia i oddania, o poślubnej podróży nowożeńców.

Często bardzo wyraźnie napomykano o księżniczce Caraman-Capet i spodziewanym drugim małżeństwie. Z dzienników wyczytywano wiadomości high-life'u, odbierano i wysyłano wonne listy do znajomych różnej narodowości; najwięcej jednak narzekano na kraj i brak stosownego towarzystwa.

Jeden sąsiad, Maszkowski, prawie ciągle przesiadywał w Holszy; matka jego chora i oddana dewocji, nie bywała nigdzie. Czorbowiec Prońskich, pełny panien na wydaniu, nie nęcił kobiet. Więcej nie było nikogo. Rozrzucone wkoło Holszy majątki i ziemie obsiadła zwykła

szlachta, z którą przecie nie można było mieć poufalszych stosunków. Kto oni byli i nawet jak się zwali, nie wiedzano w pałacu. Nie spotykano się nigdzie.

- Co to za ludzie? Bardzo nieokrzesani? - spytała Iza nieśmiało.

Myślała o nich niekiedy w skrytości, od czasu, gdy Leon powiedział, że miłość jest prerogatywą plebsu.

Wyobrażała ich sobie czasem jako rycerzy średniowiecznych, nucących pod oknem lubej ballady, czasem jako ludzi natury, pasterzy grających w polu na fujarkach i płaszających, jak płaszali winobrańcy na freskach jednej z sal pałacu.

- To są gbury! - odpowiedziała pani Idalia.

- Kąkol w pszenicy! - dodała matka pogardliwie.

- Ludzie, którzy nigdzie nie podróżowali! Kto z nich widział Warszawę, uchodzi za osobliwość. Spotkałam raz w wagonie jegomościa tej kategorii; zasłyszał, że jadę do Paryża. Pyta, czy pierwszy raz? Zaśmiałam się tylko! "To pani widziała i Berlin?" pyta, "i Londyn, i Madryt, i Lizbonę?" Potakuję grzecznie, a on z podziwu mruży i mruży. Potem nagle pyta: "A była pani w Kocku? A widziała pani rabina z Indury?" Nic naturalnie nie odpowiedziałam, zrozumiałwszy, z kim mam do czynienia. A ten jegomość z przechwałką powiada: "A ja byłem i w Kocku, i w Indurze! Widziałem też Złotą Bramę i Antokol! Bo to, widzi pani dobrodziejka, naszej braci nie stać na paszport zagraniczny!" Więcej nie posłyszał ode mnie słowa. Taki człowiek kompromituje swoją obecnością. Wyniosłam się do innego przedziału.

- Moja Lawinio, ty się zawsze narażasz swą popularnością. Każdego należy trzymać na właściwym miejscu. Alfred posiadał w tym niezrównany takt.

- Ja nigdy nie widziałam człowieka z tej klasy - rzekła zamyślona Iza.

- Mam nadzieję, że i nie zobaczysz. Hrabia Maszkowski szanuje swe stanowisko. Zresztą spotykać ich nie potrzeba.

- Ja znałam tylko tego plenipotentą Alfreda, zapomniałam jego nazwiska - wtrąciła pani Idalia. - Po tym jednym nie pragnę więcej. Był to zupełnie dziki człowiek.

Księżna matka szczerzej zacięła usta i milczała.

W tejże chwili złocisty lokaj otworzył drzwi i na progu stanął Lew Holszański.

- Takiś blady! - zawołała panna Idalia, której był dotąd faworytem - niezdrów jesteś?

Księżę przywitał towarzystwo i usiadł na skinienie bratowej przy niej. Podano mu filiżankę bardzo ciemnej herbaty.

- Zdrów jestem, ciotko - rzekł zmęczonym głosem - ale wracam wprost z kancelarii. Załatwiałem bieżące interesa.

- Tak rano! Kiedyż ty spiasz? Co za ochota tyle pracować?

Uśmiechnął się blado, bez odpowiedzi.

- Niegdyś wyraziła ciotka chęć poznania sprawy naszej z Sumorokami. Kazałem wówczas sporządzić wyciąg tego procesu i dziś właśnie wręczył mi to plenipotent. Oto jest właśnie. Przyniosłem go z sobą. Podaj, Siła, papiery.

Pokojowiec złożył przed panną Lawinią stos zapisanego papieru z wykaligrafowanym misternie nagłówkiem.

- "Wyciąg z akt i dokumentów archiwum holszańskiego sprawy o enklawę zwaną Karawika, między J.O. książętami na Holszy i Czartomlu a szlachtą zwaną Sumorok" - przesyłabizowała mozolnie panna Lawinia.

- Mon Dieu, aż tyle! - zawołała. - To nie na moje siły. Lepiej to sam przeczytaj, a potem opowiedz, notabene, jeśli tam są epizody romantyczne...

Księżna matka spojrzała piorunującym wzrokiem na manuskrypt, a potem na syna.

- To hańba Holszańskich, że dotąd jeszcze żyje choć jeden Sumorok! - zawołała ze wzgardą i ohydą.

- Siła - rozkazał Lew spokojnie i chłodno - zanieś te papiery do biblioteki.

Zwrócił się do matki i jakby nie słyszał wybuchu, rzekł, składając jej zapewne raport z otrzymanego rozkazu:

- Wizytę u wuja Prońskiego muszę odłożyć, gdyż właśnie otrzymałem wiadomość, że wyjechał na wystawę inwentarza do Wrocławia.

- Do Wrocławia! Któż jeździ do Wrocławia? - oburzyła się panna Lawinia.

- Może książę Proński zna także Kock i Indurę? - dodała księżna Idalia.

Teściowa rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Mój brat, książę Proński, nie ubliżył nigdy swemu nazwisku... nawet chowem rasowego inwentarza - wymówiła tonem dogmatycznym.

Nikt się więcej nie ośmielił odezwać. Kobieta ta mroziła wszystko i wszystkich.

Po chwili przyciszonej rozmowy z bratową Leon wstał i po dopełnieniu formuły pożegnań miał odejść, gdy go zatrzymała matka.

- Czy odesłano już moją ofiarę na chińskie sieroty?

- Odesłano, księżno matko!

- Oto masz znowu sto rubli na rzecz zanzibarskich Murzynów, wedle adresu.

Książę pakiet przyjął i wyszedł. W progu rozminął się z lokajem, który na złocistej tacy niósł zmięty, wybrudzony papier i podał księżnie matce.

- Co to jest? - spytała.

- To kaleka, miłościwa księżno, przyniósł i prosi o wsparcie. Gada, że ze szpitala wraca. Machina w Czartomlu nogę mu urwała.

- Powiedz mu, że tylko w piątek rozdają wsparcia i to nie tutaj, ale u rządcy. Jak śmiesz przychodzić do mnie z takim brudnym papierem?

Lokaj przerażony zniknął.

Kaleka stał na dziedzińcu blisko fontanny i żałośnie po oknach spoglądał, jakby myślał, z którego mu rzucać pomoc. Człek był strasznie wymizerowany i dzikiego pozoru, już niemłody.

Księżę Lew przechodził koło niego, kierując się do mieszkania profesora. Machinalnie sięgnął do kieszeni i nie zatrzymując się rzucił kilka srebrników.

Człek je pozbierał zaczerwieniony mocno, zabrał też swe szpitalne świadectwo, które mu lokaj, klnąc, rzucił pod nogi, odebrał odpowiedź odmowną księżny i wyszedł, kulami się podpierając, za bramę.

Pod murem zamczyska usiadł w cieniu i odpoczywał, wodząc znękanymi, a zawsze dzikimi oczyma po pałacu i przepychu otoczenia książęcego siedliska.

Skwarno było i duszno. Bolały go nieznośnie źle zagojone rany.

W tejże chwili spod bramy wyjechała bryczka zaprzęzona w parę dzielnych dereszów i stanęła naprzeciw niego. Młody człowiek wysiadł z niej.

- Zostań tu w cieniu - rzekł do furmana - pieszo pójdę do pałacu.

W tej chwili oczy jego, bardzo dobre i rozumne, spoczęły na nędzarzu. I on też do kieszeni sięgał, ale się zatrzymał.

- To ty, Kopko! - zawołał.

- Ja, panie - odparł nędzarz powstając, a twarz jego nagle rozjaśniła się radością na widok i głos przybyłego.

- Co z tobą, nieboraku? - pytał dalej młodzieniec, zdjęty współczuciem i żalem.

- Machina mi nogę urwała w Czartomlu.

- Pewnie byłeś nietrzeźwy?

- Tak, panie! Pan wie, że byłem pijak. Pan wie i więcej. Pan pamięta? - szepnął spuszcżając oczy i wzdrygając się.

- Żeś się na mnie drągiem żelaznym niegdyś zamierzył? Pamiętam!

- A czemu pan nie powie, żeś mnie pan wtedy złapał na kradzieży!

- Nie powiem, bo widzę, że ty pamiętasz! Takiemu przypominać - to się nie godzi.

- A dlaczegoż pan mnie pożałował i zagadał? Trza się było cieszyć, że mnie pan Bóg za pana tak pokarał! - zamruczał człowiek z budzącą się znowu dzikością.

- Kopko, jeśli ci takie myśli przychodzą, toś zły ze szczętem. Wstyd! Możesz być jeszcze użytecznym człowiekiem.

- Ja, panie, żebrak?

- Po cóż żebrzesz? Weź się do pracy, uczciwie. Czy to tak trudno być uczciwym?

- Trudno, kto się Kopko nazywa, szeroko słynie jako pijak i jest kaleką.

Młodzieniec popatrzył mu uważnie w oczy, bliżej przystąpił i rzekł, kładąc mu przyjaźnie rękę na ramieniu:

- Ano, ja nie chcę, żebyś ty żebrał i skończył źle. Poczekaj tutaj, aż wrócę od księcia.

Pojedziesz ze mną.

- Czego, panie?

- Zostaniesz u mnie gumiennym.

- Ależ ja kradłem, panie!

- U mnie kraść nie będziesz.

- Ja pijak, panie!

- U mnie pić nie będziesz.

Nędzarcz popatrzał na niego, jakby nagle olśniony. Dzikość wróciła mu na twarz, ale jakaś inna.

- Panie - rzekł stłumionym od wielkiego wrażenia szeptem - masz pan psa u siebie, co tylko pana zna i oszczędza, a kto by dobra pańskiego chciał, tego rozrywa?

- Mam, Kopko.

- To teraz będziesz pan miał dwóch!

- Tak nie chcę, będę miał służbę, nie najemnika.

- Będzie, panie!

- To szczęście mnie i tobie Bóg!

Poklepał kalekę po ramieniu i odszedł w stronę pałacu.

Wysoki był, barczysty, śniady i ciemnowłosy. Niepiękny, grubych rysów, miał tylko oczy dobre, rozumne i wesołe, co twarz jego czyniło każdemu pamiętną i bardzo pociągającą.

Szorstki był w ruchach i postaci, człowiek czynu i nad siłę branych porywów, nigdy nic nie rachujący samolubnie, nigdy nie ustający w drodze swojej, prosty, szczerzy do szpiku kości.

Na dziedzińcu pałacowym rozejrzał się z wahaniem. Nie wiedział, gdzie iść.

Spod portyku, z daleka zobaczył go Siła, beczynnie oczekujący książęcego dzwonka i rozkazu.

Nawykła do bezmyślnego wyrazu ślepego posłuszeństwa twarz sługi zaśmiała się do niego. Wstał żywo i podbiegł.

- Dzień dobry, panoczku! - pozdrowił przybyłego.

- Dzień dobry, chłopcze, jeszcze urosłeś, widzę. Cieszę się, żeś zdrow i wesół, i że wiernie służyysz księciu.

- My z dziada książęce sługi wierne. Panoczek do księcia?

- A właśnie! Jest w domu?

- Jest. Zaraz oznajmię pana. Mnie się zda, że nasz książę rad panu będzie.

- Ja widzę, że i ty rad do mnie zęby szczerzysz! - zaśmiał się przybyły idąc za nim.

Pokojowiec obejrzał się i uśmiechnął.

- A rad! - potwierdził. - Wspominają panoczka w Holszy jak ojca.

- Chwała Bogu! A ty mnie gdzie wiedziesz?

- Do biblioteki. Książę czyta.

Otworzył drzwi mieszkania profesora i przeprowadziwszy przez kilka pokojów, u jednych drzwi przybrał swą minę urzędową, głos poważny i oznajmił stając w progu:

- Miłościwy książę - pan Grzymała.

Leon pochylony nad stołem żywo się wyprostował, rękopis złożył.

- Prosić! - rzekł spiesznie.

Sługa się uchylił, a Grzymała wszedł, rzuciwszy mu na ręce płaszcz i czapkę.

Drzenie na twarzy księcia przemknęło raz po raz, lekka czerwoność zabarwiła policzki; postąpił krok naprzód.

- Witam, serdecznie witam pana! - rzekł trochę żywiej niż zwykle. - Należało się mnie odwiedzić pana i za monstrualne nieporozumienie przeprosić, ale dotąd nie wyjeżdżałem jeszcze nigdzie. Niech pan nie chowa urazy do mnie! Stało się to najzupełniej mimo woli.

- Uchowaj Boże, żebym do księcia urazę miał - odparł Grzymała i podaną dłoń ścisnął szczerze. - Książę wie, że gdy kto mnie potrzebuje, to rad zawsze staję. Tylkom się bardzo zdziwił, że książę mnie po tylu latach jeszcze zapamiętał.

- Do tego stopnia zapamiętałem, że sobie Holszy bez pana nie wyobrażał. Ongi pan tylko i profesor byliście dla młodszego dziedzica łaskawi. Dlatego też zaraz po niespodziewanym tu powrocie, w tak zmienionej roli, wezwałem pana. Myślałem, żeś pan jak wtedy, jest niedaleko - zarządzającym w Holszy.

- Już dawno mnie oddalono! - zaśmiał się Grzymała.

- Nie popełnię niedyskrecji, gdy spytam: dlaczego? Alfred zdaje mi się, ufał i cenił pana.

Grzymała brwi podniósł i chwilę się wahał; nie umiejący słów ważyć, wołał nic nie mówić.

Leon pochylił się ku niemu.

- Przepraszam pana, jeśli zadałem niepotrzebne pytanie.

- Nie, książę! Ale trudno wszystko opowiedzieć. Zresztą i ja sam dłużej obowiązku spełniać nie mogłem. Ojciec mi umarł, zostawił matkę, młodsze rodzeństwo i tak obdłużony majątek, ztem naprawdę nie wiedział, czy warto go nawet brać i na nim pracować. Trza było na swe własne od Boga przeznaczone stanowisko powrócić.

- Mam nadzieję, że panu się poszczęściło? - zyczliwie, z zajęciem pytał książę.

Grzymała ręką machnął.

- Ot, jakoś idzie! - odparł z uśmiechem. - Chłopcom na szkoły wystarcza, a dziewczętom powoli posagi wypłacam. Dłużej niż do śmierci pracować nie będę.

- Siostry pańskie już zamężne wszystkie? Myślałem, żeś pan jedną tylko miał.

- Pięcioro mam rodzeństwa. Książę może zapamiętał, że moja najmłodsza siostra także w Holszy służyła. Czytywała księżnie matce i wyręczała ją w rozdzielaniu piątkowych wsparć żebrakom.

Leon w milczeniu głowę skłonił, a Grzymała dalej mówił:

- Tej nie wydałem jeszcze za męża. Ta mi do czasu pociechą jest w domu i osłodą. Ciężko mi pomyśleć, że już na nią kolej teraz przychodzi i może rychło mnie porzuci. Takeśmy się zżyli z sobą!

Książę głowę podniósł. Chwilę w zamyśleniu oknem wyglądał, potem z lekka się uśmiechnął.

- Przypominam sobie, że ongi, polując razem, opowiadałeś mi pan o kuzynce, swojej narzeczonej. A ukochana pańska... zapewne już żoną została?

Twarz Grzymały nagle spochmurniała, a słoneczne, dobre oczy cieniem smętnym się powlekły.

- Ukochana... nie moja już... nie moja! - powtórzył. - Innego pokochała, a że sierotą była, więc matka moja jej matkę zastąpiła na weselu. W naszym domu się odbyło - moim staraniem. Już dawno - trzy lata minęło. Stare to dzieje.

Urwał i po gęstych włosach ręką przeszedł.

Wtedy zauważył książę Lwe, że włosy te na skroniach srebrzyły się już przedwczesną siwizną.

Przypomniał sobie, że Grzymała był jego rówieśnikiem.

- Widząc obrączkę na ręku pana myślałem, żeś się pan ożenił - rzekł.

- Ożeniłem się - potwierdził gość.

- Taak? - szepnął zdziwiony Leon.

- Książę się dziwi? Naprawdę, to śmiesznie wygląda! Ale kto kiedy zawodu serdecznego doznał i przebolewał, ten widząc ból cudzy, powodem zawodu być nie chce. Ożeniłem się rok temu. Matki w domu nie stało, gospodyni, głowy, opieki dla Gabryni. Ożeniłem się.

- Więc pan u siebie teraz rządzi?

- Po troszę! U żony też majątek obdłużony, starzy rodzice i drobne rodzeństwo. Oddali mi to w zarząd. Sędzią też jestem honorowym i ludziom, ile mogę, służę. Mało w domu bawię. Tam mi Gabrynia, siostra, pomaga.

- I żona? - spytał zaciekawiony książę.

- Żona słabowita i nie nawykła do pracy. Robi ona, co może - poprawił się zaraz.

- A kuzynka pańska szczęśliwa? Spokojna?

- Boże broń, żeby do niej się nieszczęście dostało; a spokoju, toć bym go dla niej całą krwią kupił!

- Tak pan jej płaci za zdradę?

- A tak - z promiennym uśmiechem odparł. - Kiedy sobie innego wybrała, tom jej rzekł: "Nie płacz, Maryniu, i nie wyrzucaj sobie - mnie. Źle bym cię kochał, gdybym się nie przemógł. Serce swoje oddasz innemu, ale szacunku i wiary nigdy mi nie odbierzesz. Inaczej się roilo - ano, rodzonym bratem ci będę." I tak zostało - i zostanie, da Bóg, do końca.

Książę wstał i dłoń do niego wyciągnął.

- Panie Grzymała - rzekł poważnie - pan jesteś pierwszym szlachetnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Myślałem, że w legendach tylko są bohaterowie.

Grzymała poczerwieniał zawstydzony. Po co on mówił to wszystko tak obcesowo i otwarcie, jakby kolegami byli. Komu? Holszańskiemu księciu! - Książę żartuje - odparł zmieszany.

- Nie żartuję! Rad bym, żebyś pan uważał mię za przyjaciela. Rad bym na to zasłużyć.

Grzymała się zaśmiał. Śmiechem tym dobrodusznym pokrywał on zwykle swe wrażenia.

- Dziękuję księciu za dobre słowo. Mało się takich w życiu słyszy. A księciu jakże te lata zeszły za granicą?

- Cieszę się, że już minęły... oto ich historia - z uśmiechem nieokreślonym odparł Leon.

Grzymała bystro na niego spojrział.

- Zmieniły one księcia i zestarzały. Trudno poznać! Dawno już pewnie książę nie polował?

- Owszem, bardzo niedawno - na tygrysy.

- Ji! albo to polowanie! To już wojna! Dobry koń i sfera chartów, to mi łów! Służyło to lepiej księciu na zdrowie niż tygrysy.

- Dobre konie nie przynoszą Holszańskim szczęścia.

- Książę ma na myśli nieszczęsny wypadek z księciem Alfredem? Albo to koń był winien?

- A cóż?

Grzymała przeraził się swej szczerości i myśli. Mimo woli na drzwi spojrział, czy kto więcej nie słyszy. Leon spojrzenie to przejął i może zrozumiał, bo natychmiast rozmowę zmienił.

- I pana te lata zmieniły, zestarzały! Są rzeczy widocznie, na które nie poradzi bohaterstwo. Są braki, których nic nie zapełni. Osiwiałeś pan przed czasem.

- At, niemocną mam głowę, a że nią często o mur bić trzeba, to się do reszty rozkleiła. Książę tego na szczęście nie doświadcza, co to pragnąć, a nie osiągnąć i pod górę młyński kamień toczyć.

- Pan powiedziałeś "na szczęście" - przepraszam! Wzajemnie powiem panu: że pan na szczęście tego nie doświadczasz, co to niczego nie pragnąć i o niczym nie myśleć. Choroba wieku ominęła pana.

- To dziwne! - odparł Grzymała poważnie i serdecznie. - Mnie się zdaje, że na miejscu księcia ja bym był niezmiernie szczęśliwy. Czego bym ja nie zdziałał!

- Na moim miejscu... byłbyś pan mną! Przedmioty widziane z daleka tracą cienie.

- Może być - odparł zamyślony Grzymała.

- Niezawodnie - potwierdził Leon, zapalając się do tematu. - Panu się zdaje, że ja mogę, co zechcę! Złudzenie! Ja mogę tylko nie chcieć Należę już przez to samo do malkotentów, że to czuję i mówię panu. Ale, w każdym razie, powiedz mi pan: co byś zrobił na moim miejscu stojąc w świetle?

- Ano, a jak się książę rozgniewa?

- Panie Grzymała, ja się nigdy nie gniewam, a tym bardziej na pana. Gdybym słyszeć nie chciał, nie zapytałbym.

- No to powiem - zawołał stanowczo młody człowiek. - Naprzód, gdybym stał na miejscu księcia, to bym się nie czuł na świetle, ale w kraju. Gdybym ja to mógł, gdybym mógł! - powtórzył Grzymała. - Mieliby biedni u mnie chleb, zrujnowani kredyt, skrzywdzeni opiekę. Nie tknęłyby niemieckie ręce mojej ziemi, ale bratnie; nie żywiłyby się pasożyty, ale ludzie uczciwi i potrzebujący na moich folwarkach i urzędach. Nie byłoby lichwy po wsiach i nędzy po miasteczkach, nie wyszedłby grosz z ziemi za granicę, ale do niej by wrócił. Nie widziałyby mnie obce kraje, nie stygłbym przy cudzych ludziach, ale bym się rozpalał, o swoich mając staranie. Syt by był każdy, wesół, spokojny, jak do ojca by szedł do mnie. Tak bym czynił i żadna moc by mnie od takiego celu nie mogła odwrócić i na nic bym się nie oglądał mając przed sobą takie ruiny w pamięci - dziadów chwałę!

Przestał mówić. Blade, przezroczyście czoło na białej, wypieszczonej dłoni wsparłszy, książę Lew go słuchał, już nie przerywając ani przecząc.

Wpółprzymknięte jego oczy były zamglone, rysy nieruchome. Zwykły tylko spazm niekiedy po nich przelatywał. Nie obraził się sądem i krytyką w słowach zapaleńca zawartych, ale i nie rozgorzał rzuconym programem.

Po chwili milczenia ręką po czole przeszedł, głowę podniósł i głosem powolnym i cichym, może tylko nieco gorzkim, odparł:

- Panie Grzymała! Ażeby to uczynić, trzeba być zdrowym, młodym i silnym. A ja niczym z tego nie jestem. Plan pański może by mnie pociągnął przed pięciu laty. Teraz już za późno zaczynać; teraz chciałbym ze wszystkim kończyć. Jestem przeżyty i do niczego niezdolny. Wierzę, że pan byś tak uczynił. Wyglądam przy panu jak karzeł przy olbrzymie. Ano, arystokracja przeżyła swój czas i skarłała inteligencja panować będzie, jej teraz wiek! Nie myśl pan, abym zaślepiiony był i pyszny. Przyznaję wam wyższość.

- Niech książę nam przyzna równość i poda rękę! - rzekł Grzymała serdecznie, ze współczuciem.

- Moją rękę i przyjaźń posiadasz pan od dawna, ale ręką księcia na Holszy i Czartomlu jest ręką niewolnika.

- Nie mogę do nowego tytułu nawyknąć i zawsze mi się zdaje, że mówię do dawnego młodszego księcia - zaśmiał się Grzymała.

- I masz pan rację. Własne swoje uczucia zachował Lew Holszański i tych nie poświęci nowym stosunkom, ani zmieni w żadnej okoliczności. To jedno przeżyło mnie!...

- Da Bóg życie! - dodał Grzymała.

Książę uczynił ręką ruch zupełnego lekceważenia, pogardy i obojętności.

- Opowiedz mi pan cośkolwiek o sobie - rzekł podając gościowi papierosa - i o swoich - dodał ciszej.

- Kto by tam księcia nużyć chciał taką opowieścią! Jedzie się biedą zaprzęzoną w kłopot, a popędza potrzebą. Takie nas wszystkich życie.

- Było panu ongi lżej w Holszy?

- Nie, bom widział, że pracuję jak niewolnik, ślepo. Bom zabijać musiał człowieka w sobie, czynić wbrew chęciom i celom, a słyszeć wokoło skargi... Skargi i teraz słyszę, ale te mnie choć bołą, nie odbierają woli - bo wiem, że w duszy praw.

- Nie sądziłbym, żeś pan tak cierpiał wtedy. Byłeś uosobieniem pogody i spokoju.

- Taką już naturę mam wesołą po wierzchu. Zresztą książę tych czasów nie widział i różnych w Holszy przewrotów. Przyjechał zaś teraz książę na gotowe. Żeby książę wtedy był, może inaczej by się stało.

- Bardzo być może. Wstręt mam do zmian jakichkolwiek. Najlepiej by zaś było, gdybym tu nigdy nie wracał, tym bardziej w tak zmienionej roli. To było dla mnie szczytem nieprzyjemności.

Grzymała triumfująco się uśmiechnął.

- Po tym okropnym wypadku zebrano się u nas kilku sąsiadów. O niczym innym nie mówiono. "To ci los dla młodszego księcia! To ci niespodzianka!" wykrzykiwali. Gabrynia nasza wtedy odezwała się, i co do słowa to samo rzekła, co księżę przed chwilą: "Jestem pewna," powiada, "że księżę Leon śmierć brata odczuł jako boży dopust, a od zajęcia jego miejsca wykupiłby się ceną całego dziedzictwa." Takem i ja myślał, i potwierdził.

Księżę nisko głowę schylił i milczał.

- Oczekują też ludzie po księciu wielkich rzeczy i co dzień po dworach szlachty, po wsiach i miasteczkach pytanie obiega: "Co z Holszy słyszeć?"

- Teraz pan powiesz, że nic nie słyszeć... i nic słyszeć nie będzie.

- Nie. Ja im powiem: Poczekajcie, aż księżę z płuc się pozbędzie cudzego powietrza, z duszy chorobę wypędzi. Wtedy zobaczycie, że dziewczyna ta i ja, cośmy go znali, nie mylimy się w sądzie!... A teraz ja precz sobie pójdę, bom już dość księciu czasu zabrał, a tu jakieś papiery leżą...

Wstał i skłonił się z uszanowaniem.

Księżę rękopis ze stołu wziął i pokazał mu.

- Sumoroków sprawa - zawołał młody obywatel.

- Znasz ją pan?

- Doskonale! Szkoda mi księcia, że to czytać będzie, bo to jakby się na straszną ranę patrzyło. Ale chwała Bogu, że księżę to do rąk wziął. Może się ta rana choć po trzystu latach zagoi.

- Przed parą tygodni miałem przyjemność poznać Bazylego Sumoroka we własnej osobie. Wystąpienie jego nie było bynajmniej gojącym rany.

- Może księżę zmieni zdanie, gdy ten rękopis odczyta. Czego braknie, bieżące czasy, ja opowiedzieć mogę.

- I owszem. Mam nadzieję zobaczyć się z panem niebawem pod pańskim dachem. Tymczasem wdzięczny panu jestem za odwiedzin.

Ścisnęli sobie dłonie i rozstali się na progu biblioteki.

Księżę potem do okna podszedł i oddalającego się oczyma przeprowadził. Potem długo jeszcze na ruiny spoglądał.

Wreszcie z zadumy się otrząsając, spojrzął na zegarek i manuskrypt w ręku zważył.

- Sądzę, że mam zapełnione trzy bezsenne noce - szepnął idąc ubierać się do obiadu.

VI

Zdawało się profesorowi, że o północy ktoś do niego wszedł i cicho minął pokój. Ponieważ zaś nikt się do niego nie odezwał i nie zatrzymał przy zbiorach, więc nie zwrócił na zachowanie spóźnionego gościa żadnej uwagi.

W bibliotece zapaliło się światło olejnej lampy i przy tym blasku ukazała się blada twarz księcia Leona.

Usiadł wygodnie w fotelu, rozłożył rękopis i czytał z pewną trudnością z początku, i bez żadnego zajęcia dla treści. W miarę jednak odwracanych kartek i mijających godzin czytał coraz żywiej i ciekawiej.

"Roku Pańskiego 1546-go kniaź na Holszy i Czartomlu Lew Konstantynowicz, zapędziwszy się w utarczce opodal zamku, opadnięty został przez ómę wrażą - i bliski zguby, gdyż konia pod nim ubito i pętlę już na szyję rzucono. Dосkoczył mu z pomocą, sam jeden przeciwko stu, dworzanin rękodajny Stefan Sumorok, człek nie ludzkiej siły i ryzyka. Tedy najbliższym na karki się zwałił, siedmiu usiekl, a mając ramię prawe strzaskane, lewym księcia uchwycił, w całym rynsztunku z ziemi podniósł, na konia swego wsadził i uszedł z ukropu. A wtem doskoczyli drudzy i osłonili kniazia omdlałego.

A ów Sumorok trzeciego dnia z ran Bogu ducha oddał, na zamku w Holszy.

Kniaź Lew przysługi pamiętny, pytał go w skonania godzinie, czego by sobie lub swoim życzył? A ten dla żony swej brzemiennej o kęs ziemi prosił, a dla synaczka, gdyby się urodził, kniaziewskiej opieki. Tedy książe, gdy spokój wrócił, rozkazał na owym miejscu boju dworzec zbudować dla wdowy, tam ją osadził, opatrzył, a synka, pogrobowca, sam do chrztu podawał i tę mu ziemię wydzielił, wokoło onego dworca, żeby go karmiła, aż w męża urośnie. Nie powiedział: na wieki, ani do śmierci, ale aż w męża urośnie Sumoroکا syn. Taki dokument dał wdowie.

Gdy zaś ów lat doszedł i do zamku na dworzanina, jak ojciec, stanął - tedy prosił kniazia, by ziemię ową i dworzec matce w dożywocie puścił; a niebawem żonę pojął i znowu prosił, żeby zeń niewiast nie rugowano.

A kniaź znowu dokument dał, żeby niewiasty Sumoroکا spokojny żywot w dworcu wiodły i by im nikt przeciwieństwa nie czynił, i tę wolę swoją synowi własnemu zostawił.

Wzrosło tedy na dworcu Sumoroków pokolenie drugie. Ziemi i lasu nikt im nie bronił, rozrodzili się, rozsiedli, powoli zagarnęli długi pas roli, coraz głębiej wdzierali się w puszcze, coraz się stawali możniejszymi.

W trzecim pokoleniu już dawali do zamku dziesięciny i daniny, i za przybraną ziemię obowiązali się rocznie do skarbcza płacić kóp groszy cztery, jako też z czeladzi swojej trzech konnych pacholców dawać w razie potrzeby.

Ze sług tedy i dworzan stali się nieznacznie sąsiadami i bracią szlachtą, których jednak kreski na sejmikach miał książę na Holszy pewne.

Z owego czasu - lat czterdziestu - w papierach, ni w sądach, ni w ludzkim podaniu nie ma śladu żadnej waśni. Sumoroki jak łęg wilczy, sił niepewny, trzymali się gniazda, trzymali się kniaziów na Holszy.

Około roku 1620-go występuje pierwsze hasło niezgody. Jeden z Sumoroków - a liczą ich wtedy pięciu braci - uczynił ku dobru ogólnemu groblę na trzęsawisku, na drodze ku Czartomłowi kniaziowskiemu, kędy szły ładowne wozy, kupcy i zbrojni, ile że inszej drogi nie było w owe czasy, a trzęsawisko omijać nakładało się tydzień czasu. Groblę tedy Sumorok własnym kosztem usypał, ale też na niej rogatki postawił i myto pobierać począł od wozu i konia.

Doniosło się to do księcia, a był nim Konstanty, Srogim zwany - i ten rozkazał zaporę znieść, i Sumorokom owego brania myta zaprzestać, gdyż, rzekł, nie będzie Holszański za przejazd swej ziemi słudze swemu płacił.

Sumorok dobrowolnie usłuchać się wzdragał, tedy zastawę jego dworscy kozacy roznieśli, a jemu samemu, że się sprzeciwiał, słudzy kniaziowscy uszy obcięli.

Nazajutrz brat jego, Rafał, dworzanin holszański, do kniazia na pokoje szedł i gardła owych kozaków za krew szlachecką żądał. Ale książę w złości będąc, owemu Rafałowi Sumorokowi policzek wymierzył i precz go za zuchwalstwo w mowie wygnął. Rafał tejże nocy ze wstydu i hańby na Zaporozie zbiegł, a brat jego, z ran się wylizawszy, na kniazia do trybunału skargę złożył.

Sprawa, przerywana wojnami i ciężkimi dla kraju momenty, ciągnęła się lat dziesięć i wypadła na korzyść Holszańskich książąt. Sumorok ze wstydu i lęku, wnet po wyroku, obwiesił się na miejscu zwanym Karawika, gdzie go też bez chrześcijańskiego pogrzebu w dół koło młyna rzucono.

Wtedy ów wisielec stanął jak straszdyło między zamkiem a dworcem.

Z pozostałych trzech Sumoroków jeden mnichem był, drugi kalwinem został, ostatni partią sobie zebrawszy, jak wrzód kniaziowi szkodził. Długie lata postarzały książę Konstanty owo kąsanie znosił, wreszcie rozkazał Sumorokom z dworca i ziemi swej ustąpić.

Sprawa znowu o trybunał się oparła i po długich korowodach wyrok za sobą otrzymali Sumorokowie. Otrzymali, bo złożyli dwa dokumenta kniazia Lwa Konstantynowicza: jeden, żeby owa ziemia karmiła syna Sumoroka, aż w męża urośnie; drugi, aby niewiasty Sumoroków w

dworcu spokojny żywot wiodły i by im nikt przeciwieństwa nie czynił. Nie było w dokumentach wyrażone, jakiego Sumoroka syn, ani które niewiasty - tylko Sumorok.

Gdy wyrok ten przeczytano kniaziowi Konstantemu, ów się z łoża zerwał, za miecz chwycił i ryknął: "Jelita mi tu Sumoroków dajcie!" A wnet, paraliżem tknięty, padł i skonał.

A był przy nim tylko syn młodszy, ojcowskiej popędliwości dziedzic, gdyż starszy przy wojsku bawił. Ten tedy młodszy, Andrzej Holszański, żalem i gorączką ogarnięty, rodzica miecz uchwycił z martwej ręki i wybiegł wołając: "Jelita ich będzieś miał, ojcze!"

Na podwórzu dworzan zwołał, na konie wsiedli i polecieli. Na dworcu nikt się napadu nie spodziewał: na bezbronnych wsiedli. Służalcy pijani byli i ślepi - wywlekli Sumoroka, żonę jego, dzieci, przytroczyli do konia i u owego młyna wszystkich srodze pomordowali. A w tym impecie czeladź też porznięto, podpalono dworzec, gdzie się też ślepa matka Sumoroków upiekła.

A bawił wtedy u rodziny mnich-brat, i temu się udało wymknąć niepostrzeżenie i chłopaka jednego uprowadzić. Z tym ostatnim w klasztorze się zamknął i tam go chował w tajemnicy.

A po owym zajeździe i mordach gwałt powstał niesłychany. Na pogrzeb rodzica starszy syn zjechał i sam pierwszy sąd uczynił. Słudzy gardło dali, a książę Andrzej musiał z Rzeczypospolitej uchodzić i gdzieś na obczyźnie żywota dokonał.

Ziemi Sumoroków nikt tknąć się nie ośmielił, tak krwią niewinną ociekła; nie rzekł też nic książę, gdy z klasztoru ów sierota Sumorok wyszedł i na zgliszcza znowu się usadowił.

I znowu przez dwa pokolenia cisza głucha, a straszna tajoną nienawiścią, trwała między dworem i zamkiem.

Z okresu tego dokumenta rodowe wzmiankują tyle tylko o Sumorokach, że daniny i owe cztery kopy groszy wnosili do Holszy, a kniazie odsyłali je, nie tykając, do klasztoru Bazylianów w Czartomlu.

Opamiętała obie strony ta krew może, a może powszechne klęski i boje.

Proces wznawia się w roku 1700-ym. Wziął go w swe ręce jurysta kniaziowski, Pietraszka; prowadził, złotem i wpływami drogę sobie ścieląc, Filip, książę na Holszy. Ten zawziętości i uporu rodowego pełne miał serce i ślub uczynił, że ani miodu nie tknie, dopóki Sumoroków nie pognębi.

Odtąd rozpoczęły się szlachty porażki. Pietraszka jak pajak omotał ich, zbiedzonych i zmarniałych. Zresztą bronić się i osłaniać nie mogli skutecznie, gdyż dwóch dokumentów kniazia Lwa nie mieli już w posiadaniu. Nie wiadomo, czy zgorzały w pożarze dworu, czy je podstępnie usunięto. Książęta wygrali sprawę. Sumorokowie nie ruszali się z ziemi. Upadli, a przecie nie ustąpili. Czy książę Filip, triumfem syt, wspaniałomyślność swą im okazał, czy sprawami innymi zajęty o nich zapomniał, dość, że pomimo wyroków zostali w dworcu, który chatą był w porównaniu z dawnym, zostali przy ziemi, która wąskim klinem wrzynała się w holszańskie pola, a

była wyjałowiona, dzika, wyssana kosztami procesu. Wtedy Sumorokowie zupełnie spodleli. Zniknęło ich imię z szeregów wojskowych, z kart historii powiatu, ksiąg parafii nawet. Nikt o nich nie słyszał, nie wiedział, nikt ich nie spotykał. Żyli po swojemu jak wilki w legowisku.

Co czynili, okazało się w pół wieku zaledwie i oto znowu czerwona od płomieni i krwi wystąpiła karta w tej trzywiekowej walce.

Zamek na Holszy przestał być warownią, książęta - strażnikami tej części kraju. Armaty porzuciły, broń zniesiono do zbrojowni, milicję rozpuszczono lub zamieniono w pokojowców. Zwodzony most zastąpiono stałym; żelazne odrzwia bramy stały otwarte. W zamku bawiono się, śpiewano, grano, polowano.

Dziedzic ostatni, książę August, od poddanych swych nie potrzebował usług, ale niewoli; od gubernatorów i dzierżawców nie koni i pachołków do chorągwi, ale pieniędzy. Podniesiono opłaty i czynsze, cofnięto zapomogi. Trzy lata z rządu głód ścisnął okolicę; książę nie pofolgował - nie mógł się ograniczyć. I oto pewnego dnia wybuchła katastrofa: lud powstał.

Powstała wieś jedna, Krasne Sadyby, wieś posiadająca najtwardszego gubernatora i sąsiadująca z Karawiką. W zamku nie przeczuwano niczego.

W noc to było jesienią, wietrzną i czarną. Szara masa ruszyła jak szarańczy głodnej ławica, szła cicho, tajną jakąś organizacją wiedziona - kolumnami przez pola i lasy. Przy zamku skupiła się i jak piorun spadła, zalała dziedzińce, kurytarze, parła się naprzód, bijąc służbę po drodze.

Tak się to nagle stało, że księcia z gośćmi czerń opadła w sali jadalnej przy wieczerzy. Powstał popłoch nie do opisania, sekunda nierównej walki - padł kto nie umknął.

Księcia porwało sto ramion, uniosło z sali, z zamku, za bramę. Czerń rabowała wyjąc, pijana i rozbastwiona, a tymczasem kilkunastu wybranych śnać naprzód za bramą dosiadło koni, kniazia jeden na siodło swe rzucił i jak potępieńcy unieśli w czarną noc, w popłochu wcale nie postrzeżeni.

Na Karawice stał zawsze wiatrak, z daleka na wzgórku przeklętym widny. Gromadka jezdnych tam się zatrzymała, zapalono pochodnie. Wówczas ten, co kniazia wiozł, na ziemię go zrzucił, z konia zsiadł.

Młody był, ale w tej chwili do człowieka niepodobny.

"Powrozów!" krzyknął.

Kniaź na niego popatrzał:

"Ktoś ty, człowieku, co myślisz ze mną uczynić?" spokojnie spytał.

"Jakeś ty z nas w tym miejscu jelita ciągnął, tak ja twoje pociągnę!"

"Tyś Sumorok?"

"Sumorok!" tamten odparł.

"To nie dziw, żeś na kata się zdał!"

I więcej kniaź słowa nie rzekł, ani ust, ani oczu nie otworzył.

Sumorok do wiatraka go przywłókł, za nogi do dolnego skrzydła przywiązał.

"Puszczaj młyn!" krzyknął.

Wicher był straszny. Skrzydła poczęły się szalenie obracać, czasem słychać było głuche uderzenie ciała o drzewo.

"Pal!" krzyknął Sumorok.

A gdy ludzie, nagle zgrozą wytrzeźwieni, stali zmartwiali, pochodnię najbliższemu wyrwał i smolne deski wiatraka od dołu podpalił.

Młyn stanął w ogniu jak świeca i teraz zobaczyli ludzie ciało, podnoszące się ze skrzydłami do góry i spadające do ziemi, łuną pożaru jak w dzień oświetlone.

"Teraz po szczenię na powrót do zamku!" ryknął Sumorok.

Ale nikt już go nie słuchał, pierzchnęli wszyscy, rzucając konie, pochodnie, cepy, kosy, siekiery, ohydą i strachem nieprzytomni.

Ale szczenięcia owego - synka kniaziowskiego - nie znaleziono na zamku. Kozak dworski, chłop z Krasnych Sadyb, Laszko, w ostatniej chwili bunt przeczuł. Już pana ostrzec nie było czasu, więc tylko dziecko pochwycił, tylnymi drzwiami do ogrodu umknął, konia dopadł i jak wiatr pognął do Zabuża Maszkowskich po ratunek.

Tak ci to chłopię przy życiu zostało, a był to kniaź Stefan, pradziad teraźniejszego dziedzica.

A przecie Sumorokowie i wtedy nie zginęli, pomimo że po uśmierzeniu buntu ów morderca na tejże Karawice, przy zgliszczach, duszę wyzionął. Ze skóry mu pasy darto i łamano kości kleszczami na przykład innym.

Znajduje się to nazwisko znowu w papierach i historii holszańskiej po latach. Nie proces już to jest, ale konanie. Trzymają się jednak zawsze ziemi, korzystają z wojen, przewrotów, zmian, powracają uparcie do dworu, w którym nikt osiedlić się nie chce.

Kniazie ich tolerują; może o nich nie wiedzą.

Dopiero przy schyłku życia dziad obecnego dziedzica podnosi swą moc na szlachtę, otrzymuje znowu wyroki. Otrzymuje, ale ich nie wygania. Sumorokowie trafiają do księżny, małżonki jego, niewiasty wielkiej dobroci, i ta wzruszona ich nędzą i pogębieniem wstrzymuje wykonanie wyroków..."

Tyle było w pamiętniku z dokumentów. Resztę książkę Lew dosnuwał już sam sobie.

Sumorokowie dalej wegetują, do ziemi swojej przeklętej przywarci. Tradycją do nich przyrosło bałwochwalstwo dla tych zagonów, taką ceną nabytych.

Ojciec i brat starszy księcia Lwa zostawiają ich na miejscu, wstrzymują się z wypełnieniem swego prawa. Inne czasy, inni ludzie!...

Apopleksja kniazia Konstantego, banicja kniazia Andrzeja, nawet mord księcia Augusta, przesłoniły lata, przesłoniły jeszcze bardziej zmiany wyobraźni, myśli, celów, sposobu życia.

Dawne wspomnienia zostały w pyłe archiwum i dopiero teraz, po latach, jak widmo, jak zmora, z cmentarza czasu wystąpiły przed oczy młodzieńca obcego ziemi, rodowi swemu, historii, tradycji, miejscowym ludziom i stosunkom.

Mylił się książę Lew sądząc, że trzy noce zajmie mu odczytywanie rękopisu. Pierwsza zaledwie dobiegła kresu, gdy oczy jego stanęły na ostatniej karcie.

W bibliotece panowało światło podwójne: budzącego się poranku różowo-złote i gasnącej lampy żółto-brudne.

Książę głowę na poręczy fotelu złożył, ręce odrzucił i przymkniętymi oczyma w próżnię pokoju się zapatrzył. I tak kolejno powtarzały mu się obrazy z rękopisu, który przed nim rozłożony leżał.

A tak były jaskrawe i plastyczne, że sądził, iż nie czytał o nich, ale sam je przeżył, że je widzi, słyszy - zna wszystkich.

Tam po kątach, gdzie mrok wyganiała zorza, przechodzili powoli, ożywieni, w ciało i krew obleczeni. I szli parami, po dwóch: Holszański jeden i jeden Sumorok.

Więc na czele książę Lew i Stefan Sumorok. Niby ojciec i syn, zbratani ofiarą jednego, wdzięcznością drugiego, zespoleni dłonią i sercem.

A potem książę Konstanty i synowie jego, i Sumoroków trzech: ów Rafał spoliczkowany, ów drugi oszpecony przez żołdactwo dworskie i wisielec wreszcie, ów trzeci, którego jelita książę Andrzej wypruć kazał. Tu już zaginęło człowieczeństwo. Nie ludzie to, ale bestie.

Czy wszyscy? Czy i Sumorokowie grosz z myta pobierający pamiętni byli zasług dziada Stefana i w prawie na ziemi życiem zapłaconej się czuli? Czy pamiętali dziada Lwa owi Konstantynowicze i sam Konstanty?

A wreszcie i trzeci moment tych dziejów, upostaciowany w wyobraźni młodzieńca, na tle gasnących mroków wystąpił.

Książę August i Sumorok.

Tu bestia odrodziła się w szlachcie, tu było zrównoważenie! Zrównoważenie, a może logiczna sprawiedliwość wieków!

Ten pałacy się młyn z zawieszonym haniebnie dziedzicem stu folwarków, zamków, wsi, potentatem krajowym i ten motłoch rozbestwiony, ten kat wracający po "szczenię" do zamku, tak

żywo stanęli przed oczyma księcia Lwa, że nagle powstał, rękoma ciężko o stół się wsparł i w tę próżnię, pochylony, roziskrzone źrenice wyteżył.

W tej chwili po raz pierwszy poczuł się tej Holszy dziedzicem, krwi tej wszystkiej synem, rodu swego żywym ogniwem.

Niewyraźne jego rysy i spokojną twarz zmieniła ta chwila nie do poznania. Nieubłagana twardość wyjrzała z kątów ust, zawziętość ze źrenic nagle ściemniałych. Większym się zdał i silniejszym!

Żebyż tu teraz był Grzymała, apostołujący obowiązki księcia względem tej szlachty upadłej i znikczemniałej, której przedstawicielem w stosunkach z Holszą byli Sumorokowie! Teraz Leon by mu potrafił odpowiedzieć.

Ale mroki biblioteki, wypędzane przez słońce, mdlały i nikły, i razem z nimi opadało nadzwyczajne podniecenie i rozstrój młodzieńca. Chaotyczne myśli i gwałtowne wrażenie przechodziło w spokojne postanowienie, w jasny sąd o rzeczy.

Czuł tylko nie znaną dotąd potrzebę rozmowy, usłyszenia głosu ludzkiego, otrząśnięcia z siebie przed drugim człowiekiem nawału zebranych uczuć.

Żeby tu teraz był Grzymała!

Książę odprostował zeszywniałe członki, ręką przesunął po zaognionych oczach i przeszedł się parę razy po pokoju.

W pracowni profesora ruch poranny się zaczynał.

Widział książę starego, jak sprzątał ze stołu przybory do pisania, potem zbierał graty potrzebne do badań na dworze, potem już będąc gotów do drogi, wstąpił do sal ze zbiorami, z lubością przeszedł wzrokiem po szafach i stołach, i wreszcie u jednego z okien przystanął, czemuś się uważnie przypatrując.

Książę podszedł do niego i ujrzał siatkę pajęczą rozpiętą misternie od futryny do ramy. Samotny tkacz siedział skurczony w środku, czatując na zdobycz.

Myślami swymi zajęty, może nie zdając sobie sprawy do kogo mówi, Leon odezwał się znienacka:

- Profesorze, czego wart taki pająk marny, gdy człowiekowi krew wysysa i truje?

Uczony, jakby ze snu zbudzony, oczy naiwne i zdziwione na niego podniósł i chwilę myślał.

- Ano, to zależy od gatunku pająka - odparł wreszcie. - Jeśli okaz rzadki i osobliwy, to się go zachowuje, jeśli użyteczny, to się go oszczędza, a jeśli pospolity, to się go zostawia bez uwagi. Ten tu - ręką siatkę wskazał - jest cenny, bo żyje molami. Hoduję go, bo mole to moja antypatia.

Wrócił do swej obserwacji, ale po chwili, widocznie życzliwie dla młodego człowieka usposobiony, rzekł:

- Cieszę się, że cię pająki zajmują. Mogę ci w tym względzie zrobić przednią satysfakcję. Wczoraj znalazłem przecie okaz czerwony, osobliwość. Grzymała nie skłamał: jest pajak czerwony. Trafiłem nań niespodziewanie w dębince za rzeką. Mogę ci pokazać.

- I owszem, profesorze, ale nie dzisiaj. Zmęczony jestem i mam inne zajęcie.

- Jak chcesz. Tylko trzeba wstać o świcie, bo inaczej nie uda się widowisko. Zdaje się, że i dzisiaj przyjdę za późno.

Po chwili nie było go już w mieszkaniu.

Leon zabawił jeszcze czas niejaki, chodząc wzdłuż i wszerz biblioteki, potem wyszedł i skierował się do biura.

Wezwany pośpiesznie plenipotent zastał go w nie znanym nikomu jeszcze usposobieniu.

- Żądam i rokazuję, aby wyroki sądowe na Sumoroków były natychmiast wypełnione z całą surowością. Zalecam pośpiech i bezwarunkową sprężystość, bez względu na koszta i trudności. Żeby mi ci ludzie zeszli z ziemi i oczu, i śladu po nich nie zostało w zagrabionej enklawie. Rozumie pan! Żadnych ustępstw i ociągań!

Wzrok i ruch, ilustrujący te słowa, był tak dobitny, że plenipotent zrozumiał, że chodzi o byt jego i posadę.

Wyleciał jak kamień z procy.

Los tedy był rzucony. Nowy książę na Holszy zaczął działać.

VII

Pewnego dnia o godzinie, w której wielcy panowie po śniadaniu składają wizyty, a zwykła szlachta spożywa obiad, szóstka siwoszów holszańskich, zaprzężona do kabrioletu, wybiegła spod sklepienia bramy na trakt. W powozie siedział sam tylko Leon.

Zaprzęg książęcy ludzie po drodze witali głębokimi ukłonami, ale książę nie zważał na te hołdy i nie odpowiadał skinieniem. Siedział chmurny i posepny, zapatrzony mgławymi oczyma na frędzle białych obłoków.

Wewnątrz bój się w nim toczył: człowieka z księciem o cel wycieczki.

Człowiek maltretowany i gnębiony od lat najmłodszych podnosił głos cichy i nieśmiały, i szeptał kusząco:

Jedź, Lwie, do Hubina - może twa młodość wróci, może twe zapęły się odezwą. Pamiętasz, wtedy byłeś szczęśliwy.

Ale wnet głos inny, głos pański podnosił pyszny protest:

Należą się pierwsze odwiedziny w Zabuzu Maszkowskich. Do Hubina nie masz po co jechać, to nie twój równi ani twoje towarzystwo. Wizytę Grzymale możesz złożyć, ale na końcu; możesz nawet wcale nie składać. Jedź z uszanowaniem do starej hrabiny Maszkowskiej.

Zaprząg pędził naprzód. Stangret szepnął coś Sile; ten się obejrzał i nieśmiało spytał:

- Dokąd miłościwy książę każecie jechać?

Nie było odpowiedzi czas długi. Wreszcie książę się wyprostował i prawie z gniewem rzekł:

- Ruszać do Hubina.

Po tym rozkazie nagła czerwoność nabiegła jego czoło, jakby się człowiek wstydził przed księciem.

Ale przecie człowiek odniósł zwycięstwo i uzuchwalony ogarniał powoli myśli.

Z uczuciem nieokreślonym: lęku, smutku i gorzkiej szczęśliwości odrzucił pięć lat życia, jakby kart pięć, a z nimi terazniejszą świetność i bezmyślne szaty.

Stał się młodzieńcem swobodnym i niezależnym, z gorącą krwią, rycerskimi porywami i szaloną fantazją. W Holszy, gdzie panował Alfred, on był wtedy małą figurą, a jednak jakże się czuł potężnym i wielkim! Skończył studia dwudziestopięcioletnim pięknym chłopcem. Przyjechał do domu wypocząć, rozejrzeć się, obmyślić zawód.

Zapamiętał ów dzień przyjazdu.

Brata nie zastał w domu. Polował gdzieś w niedostępnych puszczech z gronem gości. Przyjęła Leona matka.

Królowała na swym tronie w wielkiej sali, słuchając czytania młodej dziewczyny siedzącej w pobliżu.

Podawała synowi rękę do pocałunku i spytała o zdrowie. Dziewczyny mu nie przedstawiła wcale, i ta się dyskretnie usunęła na bok i schyliła nad robótką. Przelotnie tylko młodzi spojrzeli na siebie.

Dziewczyna miała ciemnoszafirowe oczy, długie rzęsy, jeszcze prawie dziecienny owal twarzy i usta łagodnie uśmiechnięte. Śliczną była nad wyraz, powabną i wdzięczną.

Parę razy podczas rozmowy z matką ukradkiem na nią spojierał, ale już prawie twarzy nie widział, tylko złote warkocze otaczające pochyloną głowę.

Wyszedł z sali pod wrażeniem tego złota i tych źrenic szafirowych, zaciekawiony: kto by to był?

Do wieczora już zaspokoił ciekawość. Dziewczyna była lektorką księżny, siostrą rządcy holszańskiego, córką obywateli gdzieś o mil parę.

Obowiązki jej były pół służebne, pół towarzyskie. Czytywała księżnie, chodziła z nią na spacer, rozdawała w jej imieniu piątkowe jałmużny, odwiedzała chorych, załatwiała drobniejszą korespondencję, wyszywała ornaty lub sporządzała misterne kościelne koronki. Poza tym była swobodną, wobec gości nie pokazywała się w salonie, wieczory miała dla siebie.

Zobaczył ją drugi raz Leon przy obiedzie, na końcu stołu obok profesora. Nie odzywała się wcale i nie podnosiła oczu, może onieśmielona jego obecnością.

Potem spotykali się prawie ciągle; na dziedzińcu, w ogrodzie, przy fotelu księżny, i milczeli.

Trwało to dość długo. Z czasem oswoiła się z nim i parę razy spotkali się oczyma. Przy jednym z tych niemych spojrzeń on poczuł jakby ból, jakby drżenie w piersi, zapałały mu oczy, zabiło szalenie serce, zamroczyło się w głowie.

Odtąd czatował na nią, ścigał z daleka, pilnował każdego kroku. Wówczas zaprzyjaźnił się z Grzymałą.

Z dziewczyną jednak dotąd nie zamienił był trzech wyrazów, skrępowany niejasną pozycją, aż wreszcie pewnego wieczora ujrzał ją wchodzącą do mieszkania profesora.

W pałacu było pusto; księżna cierpiała na migrenę, nie znosiła w takim razie nikogo przy sobie.

Leon przemknął się przez podwórze, drząc cały, otworzył drzwi pracowni uczonego.

Przy stole przez lupę badał jakieś okruchy ziemi czy próchna, dziewczyna przyglądała mu się, coś nucąc półgłosem. Wcale inną była niż w pałacu.

Na widok wchodzącego cofnęła się w cień, nagle przerażona i zawstydzona; znikł swawolny, młody uśmiech; przybrała postawę urzędową.

- Wuju, książę! - szepnęła do profesora.

Ale uczony ani drgnął: co go mógł książę obchodzić? Nie był przecie pajakiem.

Książę dotknął z lekka jego ręki.

- Witam, profesorze, i proszę o przedstawienie mnie swej krewnej - rzekł niepewnym głosem.

- Czego? - gniewnie burknął stary nie przerywając roboty.

- Proszę mnie swej krewnej przedstawić.

- Co ty gadasz?

- Proszę profesora, żeby mnie ze swoją krewną zapoznał...

- Z Gabrynią chcesz się poznać! Toż ona gdzieś tu jest, czy była niedawno! Aha, oto jest! Możecie się poznawać, przecie, kiedy jesteście oboje. Tylko mi zbiorów nie ruszajcie, bo zrobicie nieporządek.

Leon do rozpaczy doprowadzony, sam się przedstawił.

Dziewczyna zapłonioma i onieśmielona zrazu, po chwili odtajała. Było to stworzenie wesołe i dobre, ufne i wdzięczne.

Po półgodzinnej rozmowie dowiedział się Leon, że ma rodziców i pięcioro rodzeństwa, że w tym roku skończyła wychowanie w klasztorze, że jest w Holszy od dwóch miesięcy, że ją tutaj Jurek przywiózł, że lubi nade wszystko poezję Krasińskiego, ptaki i kwiaty, że w domu śpiewała po całych dniach i że nigdy nie była karana w klasztorze.

Wszystko to opowiedziała mu coraz swobodniej, siedząc na krześle pod ścianą i bawiąc się medalikiem srebrnym u szyi, zawieszonym na czarnej aksamitce.

On przysunął sobie stołek i wpatrując się w nią słuchał głosu śpiewnego jak piosenka, wesołego jak ptasze świergoty. Nie mówił sam nic, bo zbyt wiele miał do powiedzenia, bo lękał się zerwać czar tej chwili.

Chwilą mu się to zdało, a jednak trwało godziny. Na rozstaniu, wśród ciemnego i pustego podwórza, on milcząc dotknął rozpalonymi ustami jej ręki. Wówczas ona też umilkła, wyrwała rękę i uciekła. On, zataczając się jak pijany, ledwie trafił do mieszkania.

Odtąd rozpoczął się okres drugi. Ona stała się ostrożniejszą i nieufną; unikała go widocznie. W nim uczucie rosło i potężniało, ogarniało wszystkie myśli i wrażenia. Całymi dniami snuł się za nią z daleka, pożerał oczyma, sechł i marniał. W nocy nie spał, zapatrzone w okno jej pokoiku, obok gabinetu księżny, lub wałęsał się samotny po pustym ogrodzie...

Ten pocałunek ręki odkrył jej myśli jego, może własne także. Ten pocałunek stał między nimi jak zhora; stał też jak pamięć im tylko wiadomej tajemnicy. Ten pocałunek rozdzielał ich i jednoczył zarazem.

Wokoło nikt na nich nie patrzył i nie zważał. Alfred zajęty był polowaniem, księżna jego małżeństwem projektowanym, profesor robakami, Grzymała gospodarstwem i sprawami olbrzymich dóbr. Byli tak swobodni, jakby żyli na bezludnej wyspie.

Pewnego razu na łowach Leon zbłądził. Myśliwi wrócili do Holszy bez niego, zostawiając dla odszukania go dwóch czy trzech strzelców. On tymczasem zmęczony długim, bezowocnym poszukiwaniem zbornego punktu, gdy już zmrok padał, położył się pod dębem i postanowił czekać ranka.

Nie myślał, aby spostrzeżono jego nieobecność, i zajęty czym innym, mało się troszczył o noc w puszczy spędzoną.

Wtem doleciały go odgłosy trąbki, nawoływania, krzyki; po chwili, na jego odpowiedź, zbliżyły się i wreszcie ujrzał się otoczonym przez gromadę dojeżdźaczy i różnej innej służby z Grzymałą na czele.

Ruszyli do Holszy i rządcą, na którego otwartej twarzy znać było rzetelny niepokój i radość, opowiadał po swojemu, szorstko:

- Wrócili, siedli jeść, i ani dbają, że księcia samego zostawili. Ja nic nie wiedziałem, aż tu do mnie Gabrynia przybiegła. Musiała ją pewnie księżna wysłać. Zebrałem tę gawiedź i ruszyłem co tchu.

Leon poczuł przejmującą szczęśliwość. Nie księżna to zajęła się nim, bo posłałaby do rządcy pokojowca, ale dziewczynka sama jedna spostrzegła jego nieobecność i do brata po ratunek pobiegła. Jej to samej zabrakło go wśród wszystkich obecnych.

Wrócili około północy i pałac był już uśpiony, tylko zauważył Leon, że jedno okno nie było zamknięte, jakby za nim ktoś czuwał stroskany.

Nazajutrz, jakby oboje nieprzeparta moc ciągnęła ku sobie, jakby oboje niezdolni już byli dłużej milczeć, spotkali się i nie uciekali od siebie.

Księżna wyjechała do Czorbowca na dni parę w odwiedziny do brata, a lektorce swej pozwoliła odwiedzić rodziców.

Ale Grzymała obiecał dopiero nazajutrz towarzyszyć siostrze, więc dzień ten spędzała samotnie. W pałacu trudno jej było wytrzymać, zabrała więc książki, robotę i poszła do ruin. Dawno już je zwiedzić chciała.

Tam w jednej z sal, której niebo służyło za dach, a trawy i pleśń za kobierce, spotkali się.

Nie pamiętał, co jej rzekł, ale pamiętał wzrok jej żalony i głos bardzo smutny, gdy mu odpowiadała:

- Nie gniewam się na księcia, że przyszedł... ja się księcia tak bardzo boję... Mnie się zdaje, że to źle!

- Co takiego? - zapytał.

Zapłonila się tylko i z wyrzutem spojrzała na niego; a on się istotnie zawstydził tego pytania.

- Czy to matka moja wysłała wczoraj panią do brata o pomoc dla mnie?

- Nie - odparła cicho.

- Któż więc?

Wtedy odwróciła twarz i uciekła przez rumowiska, przez sklepienia, umykając przed tym pytaniem, przed nim, przed samą sobą.

Znowu ją dogonił i teraz drogę zastąpił, sam prawie nad przepaścią zawieszony, gdy ona, w cieniu sklepionej galerii, nagle zbladła i drżąca słuchała jego słów namiętych, milcząc, nieruchomo o ścianę oparta, nie śmiejąc nań spojrzeć, a potem zapłakała gorzko, jakby wyroku śmierci słuchała.

- Czego płakała? - długo pytał, klęcząc jak przed obrazem; aż wreszcie błagać go poczęła, żeby jej więcej nic nie mówił, żeby na nią tak nie patrzył, żeby jej nie męczył i żeby tam nie zostawał, o włos od zawrotnej spadzistości.

Postąpił krok naprzód, ona się cofnęła - i znaleźli się na krużganku wieńczącym bramę ruin, wzniesieni na szczyt najwyższy i tak sami jak orlęta w gnieździe.

Obiecał jej milczeć i oczy swe rozkochane hamować; ale prosił w zamian o słówko jedno - o szczęście.

Słówko to drogie było: ani ona, ani on nie sprofanowali go ani wymówili w życiu.

Wierzyli, że ze słowem tym oddaje się duszę na całe życie. Dlatego on o nie błagał, modlił, zaklinał przejmującym, serdecznym głosem; dlatego ona długo powiedzieć nie chciała czy nie mogła.

Wreszcie usłyszał je, i słyszał odtąd zawsze w duszy ten szept stłumiony a czysty jak przysięga, słyszał i widział jej oczy barwy nieba, łzawe, jej usta drgające i smutne.

Powiedziała i prosiła żałośnie, żeby nikomu nie powtórzył, żeby nikt o tym nie wiedział, nikt - nikt. Przysięgł i przysięgł też, że ona mu będzie jedyną.

Potem, uroczystością tej chwili owładnięci, milczeli, nad wyraz wszelki szczęśliwi. Nad wyraz, tak: uczucia podobnego, świat cały zbadawszy i skosztowawszy każdej czary rozkoszy,

Leon nie potrafił sobie powtórzyć. Na krużganku tym, zawieszeni prawie wśród błękitów, przeżyli najpiękniejszy dzień życia.

Zdawało się im, że świat cały do nich należy, a tak jest marny, że nie wart kwiatka, który on jej dał, pałowego goździka, ani wart srebrnego medalika, który od niej dostał, że źdźbłem polnej macierzanki wewnątrz.

Gdy zeszli znów między ludzi, dziwił się Leon, jak może ich zajmować przepych, stosunki światowe, formy bezmyślne, jak w ogóle cośkolwiek zajmować może.

Czuł się przy tym dobrym, zdolnym do bohaterstwa, do ofiar, do poświęceń. Pragnął czynu i pracy, pragnął uczynić coś wielkiego, nie mógł patrzeć na niedolę i trud, duszę by oddał za każdego cierpiącego.

Z Gabrynią spotykali się teraz prawie co wieczór. Gdy goście napelniali pałac, przychodziła do profesora, gdzie już na nią Leon oczekiwał. Nie rozrzucali staremu zbiorów i nie wychodzili nawet z pokoju. Siadywali pod ścianą i rozmawiali półgłosem. Przynosił jej książki i kwiaty, ona mu czasem śpiewała piosenki, zwykle roili o przyszłości. Leon miał wkrótce wyjechać, dóbr przecie nie posiadał, Holsza należała do pierworodnego. Miał kapitały; za granicą obierze sobie karierę, wróci po Gabrynię - do Hubina pojedzie, o rękę jej się oświadczy.

Byli pewni siebie i szczęścia.

A przecie nie przyjechał i nie oświadczył się.

Pewnego dnia niespodzianie wezwała go matka do swego gabinetu. Myślał tam idąc, że chodzi o małżeństwo Alfreda, prawie zdecydowane.

Pierwsze zaraz słowo wyprowadziło go z błędu.

- Dowiaduję się, że pokątnie romansujesz z moją lektorką. Wymagam, aby to się skończyło. Nie zwykłam tolerować nieobyczajności w swym otoczeniu.

Leon skoczył jak ranny zwierz.

- Matka się myli. Nie romansuję z panną Grzymalanką, ale ją kocham i ożenię się z nią.

- Ja się nigdy nie mylę, mój drogi. Racz to zapamiętać. Jutro panna będzie wydalona z Holszy i wszyscy będą wiedzieli za co.

Młodzieniec poczuł, że stoi wobec skały, wobec nieubłaganej, pysznej kobiety. Wzdrygnął się.

- Matka chce mojej wybranej uczynić hańbę. Za co?

- Za to, żeś zapomniał, kim jesteś!

- Sądzę, że przede wszystkim jestem człowiekiem.

- Jesteś przede wszystkim Holszańskim i nie ożenisz się z tą panną.

- Dlaczego? Kto mi zabroni?

- Ty sam, gdy się zastanowisz. Jeżeli nie spełnisz mego rozkazu, jutro dziewczyna wyjedzie stąd, wypędzona przeze mnie wobec całego dworu.

- Pojutrze poproszę rodziców o jej rękę.

- Której ci odmówią bez mego zezwolenia. Chyba że się ona z tobą wykradnie jak awanturka. A w takim razie - bon voyage (szczęśliwej podróży).

Wszystkie tortury odcierpiał Leon. Czuł, że matka postawi na swoim, spełni, co postanowiła.

- Czego matka chce zatem? - spytał zgnębiony.

- Chcę, żebyś stąd jutro wyjechał i nie wrócił, aż cię wezwę; chcę, żebyś zerwał ten poniżający cię stosunek, zerwał na zawsze, ostatecznie.

- Matka pozwoli, abym jej chęć powtórzył pannie Grzymalance?

- Nie. Wyjedziesz, nie zobaczywszy jej więcej.

- Tego nie uczynię.

Księżna poruszyła lekko brwiami. Mówiła bez słów, że wtedy ona będzie działała.

Leon dłuższy czas z sobą się pasował.

- Napiszę do niej - rzekł wreszcie.

- Napiszesz, ale ja przeczytam.

Zbyt młody, niedoświadczony, zaskoczony nagle, a przede wszystkim doprowadzony do rozpacz, że z jego powodu ukochana cierpieć będzie, słabł widocznie, nie czując się na siłach do walki.

Ale też desperackie, ostateczne, wściekłe było to jego poddanie się.

- Matka chce mego życia całego i całego szczęścia! - zaczął mówić ochrypłym głosem. - Matka mnie zabija moralnie i rzuca na pastwę honoru domu. Niechże syty będzie ten honor. Wyjadę, nie zobaczę panny Grzymalanki, nie ożenię się z nią i nie wrócę do kraju. Wszystko uczynię wedle matki woli. Za to uczyni mi matka tylko jedno. Nie oddali panny Grzymalanki, aż ona sama o to poprosi, i nie posłyszysz od matki nikt żywy tego, o czym teraz mówimy, nie wspomni nikt jej i mego imienia, a matka sama zapomni o tym!

- Masz moje słowo - w zamian za twoje.

- Żeby zaś nie powtórzyła się scena podobna, i matka o honor domu była spokojną, przysięgam zarazem, że jeżeli nie z panną Grzymalanką, to nie ożenię się z nikim, ani teraz, ani nigdy. Zyskuje matka we mnie nowego, prawdziwego księcia - traci człowieka i syna. O te dwa tytuły proszę do mnie nigdy nie kołatać. Sądzę, że załatwiliśmy ostatni między sobą interes.

- Mam nadzieję - sztywnie ozwała się księżna, niezachwiana w lodowatej uroczystości.

Leon przystąpił do stołu i na kartce z pugilaresu wydartej nakreślił te słowa:

"Ulegając woli matki i konieczności, dzisiaj wyjeżdżam na zawsze z kraju. Dałem słowo niepoślubienia pani, dałem słowo zatem niepoślubienia nikogo. Proszę mną nie pogardzać."

Księżna przeczytała i skinęła głową. Młodzieniec kartę wsunął do koperty i schował do kieszeni.

- Mam nadzieję, że jej nie zmienisz? - syknęła matka.
- Nie byłem dotąd oszustem - odparł bledniejąc.
- Nie znam ciebie i radam nie poznać.
- Postaram się o to - zakończył w pożegnalnym ukłonie.

Odtąd minęło lat pięć. Matki nie widział więcej, aż do dnia, gdy wezwany, nie jej już wołał, ale Bożę, zjechał, witany jako nowy dziedzic i jedyny spadkobierca na swój dworzec książęcy.

Co ona w ów dzień czuć musiała, ta pyszna kobieta, która niczego nie zapomniała i niczego nie darowywała? Co za zemsta losu, gdy witać musiała tego księcia, który jej synem być nie chciał, którego zgubiła, zgnębiła, a w którym czuła naturę swojej podobną: chłodną, pamiętną, nieubłaganą, poza salonową ogładą, dworskością i wyrafinowaniem form.

Leon dotrzymał słowa, i dotrzyma, ale biada, gdy jemu nie dotrzymają!

I ukochanej swojej nie widział przez te pięć lat, nie otrzymał żadnej wieści. Teraz nie czuł się jej godnym nawet - teraz, kiedy sam siebie nie uważał za człowieka i swawole różne rzucił między siebie a ukochaną.

Te mary były jakby obrazami z innego świata, w którym chwilę w widzeniu gościł, a do którego już drogę stracił i słowo czarodziejskiego zaklęcia.

I nic mu z owych dni nie zostało, tylko gorzkie wspomnienie, i sam nie wiedział, po co teraz jechał do Hubina, kiedy jej nawet słowa wyjaśnienia rzec nie może.

A jednak jechać tam nie chciał, ale musiał.

W myślach zatopiony nie widział, jak minęli Karawikę i spalone Krasne Sadyby; nie wiedział, gdzie leży Hubin. Spytał o to Siły.

- To przed nami, miłościwy kniaziu! - odparł pokojowiec, ręką wskazując topolową ulicę zwracającą w prawo z gościńca.

Za chwilę zaprząg stanął przed bramą, starą bramą z daszkiem, którą Siła otworzył. Dom drewniany, podmurowany, otoczony gospodarskimi budowlami, sadem, osłonięty krzewami, stał naprzeciwko bramy.

Przed gankiem oplecionym winem powóz się zatrzymał. Na ławeczce wśród tej zieleni było dwoje ludzi. Mężczyzny prawie nie dojrzał Leon, bo ten szybko złożony czytana głośno książkę, zniknął we drzwiach domu; ale kobieta, powstawszy, znalazła się tuż przed nim.

Była to Gabrynia, a raczej ktoś tę dawną Gabrynię przypominający. Te same złociste warkoczki, te same błękitne oczy mocno ocienione rzęsami, te same usta wiśniowe, pełne. Ale tyle tylko zostało z dawnej dziewczynki. Teraz była to kobieta poważna, spokojna, bez śladu dawnej naiwności, zalęknienia, czułości.

Oboje umieli panować nad sobą i przy pierwszym spojrzeniu zdecydowali wzajemne stosunki.

Leon się skłonił głęboko przed nią.

- Czy zastałem pana Grzymałę? - spytał.

- Owszem, proszę księcia - odparła poprzedzając go.

Ale już z domu Grzymała gościa spotkał w sieni.

- Mówiono mi, że księżę wyjechał za granicę - rzekł po przywitaniu.

- O nie! W przyszłym tygodniu wyjeżdża moja matka i siostra do Paryża. Ja zapewne zabawię w kraju czas jakiś, aż do ślubu siostry.

Gabrynia tymczasem gdzieś znikła. W salonie nie ujrzał jej księżę. Naprzeciw niego wyszła kobieta bardzo chuda i żółta, wyglądająca chorobliwie i kapryśnie.

- Moja żona - przedstawił Grzymała.

Księżę pożałował go, nim głos pani posłyszał. Głos był piskliwy, powolny, trzymany stale w tonie żalonym.

- Bardzo mi miło powitać księcia w moim domu. Zaszczyc to niespodziewany dla naszych niskich progów.

Księżę parę razy nerwowo oczyma zamrugał.

- Szanowna pani - odparł powoli - przyjaciołom swoim, a za takiego uważam pana Grzymałę, nie mogę robić zaszczycu, tylko sobie wyświadczam przyjemność.

Grzymała skrzywił się pocieszenie.

- Choć księżę moim przyjacielem, ani ja księcia być nie mogę, tom przecie serdecznie rad księcia u siebie ugościć - rzekł po swojemu szczerze i szorstko.

- Nie rozumiem, dlaczego mi pan odmawiasz swojej przyjaźni?

- Nie odmawiam, ale nie wierzę. Ot, na przykład, choćby tak z naszych imion nawet wziąć porównanie. Co za przyjaźń być może między lwem i jeżem? Ja się Jerzy wabię - dodał widząc, że księżę dwuznacznika nie rozumie.

- W biblijnym raju lew z jeżem doskonale się porozumiewali.

- Ba, w raju! - zaśmiał się Grzymała.

- Teraz lwy zamknięto do menażerii - rzucił szyderczo Leon.

- A jeżom wkrótce zabraknie owadów na pożywienie i liści na legowisko - dodał szlachcic ze zwykłym sobie śmiechem, który wiele pokrywał.

- Bardzo ciężkie czasy, bardzo twarde okoliczności - wmieszała się pani lamentująco i zakaszłała.

- Szanowna pani wygląda cierpiąco - rzekł Leon grzecznie.

- Stoję nad grobem. Ha, trzeba umierać. My biedni, nie mamy środków na kurację. Był nasz zresztą jest sam przez się chorobą.

- Księżę wydaje siostrę za pana z Zabuża - przerwał Grzymała. - Dobra to dla niego partia.

- Sądzę, że wzajemnie.

- Jeżeli mnie księżę ze zbytku łaski nazwał przyjacielem, to odpowiem, że nie. Księżniczka jest to anioł, a hrabia jej nigdy nie oceni.

- Znasz pan hrabiego Maszkowskiego?

- Znam. Nie był u mnie nigdy w domu, ale często pod stajnią. Mam dwa taranty, które mu nie dają spokoju. Zresztą ja wszystkich wielkich panów znam. Jestem niby to sędzią, często kompromisarzem, zwykle posłem od mniejszych do pałaców. Ludzie sobie roją, że chleb holszański dał mi prawo i zdolność trafiania do możnych.

- Zdaje mi się, że to wyobrażenie o swych zdolnościach sam wyznajesz. Wszelki cudzy interes jest ci droższym od własnego. Rzeczywiście tamte przynoszą ci sławę, a te nie robią honoru - ozwała się pani z przekąsem.

Grzymała wysłuchał tego cierpliwie, jak brzęczenia muchy, stałej lokatorki domu.

Księżę spytał o taranty, starając się rozmowie nadać obojętny charakter.

Ale w tej kwestii pani uprzedziła męża:

- Nie znam się na koniach, ale tych nie cierpię. Zapewne dlatego mąż mój je trzyma, pomimo bajecznej ceny, którą wziąć by za nie można.

- Et! - burknął Grzymała krótko, opędzając się od muchy dokuczliwej.

Księżę umilkł, bojąc się dotknąć jakiegokolwiek przedmiotu. Teraz podziwiał Grzymałę.

W jego świecie formy niwelowały charaktery; tutaj szanowano widocznie indywidualizm i cierpiano i dokuczano sobie na każdym kroku.

Rozejrzał się po salonie. Niewielki był, ale umeblowany wykwintnie, ozdobiony portretami w staroświeckich strojach i zbroicach.

Fortepian był otwarty, często snąć używany, porządek wzorowy. Przy jednym z okien na ogród wychodzących stał stolik, na nim przybory do malarstwa drzewnego i rozpoczęta na gładkiej tafelce lipowej robota.

W progu otwartych na ogród drzwi leżał wyżeł łaciasty, który zaraz na wstępie obejrzał księcia i wrócił do słońca wpadającego falą do pokoju.

- U księcia teraz w dobrach wzorowy niemiecki porządek - rzekł Grzymała.

- Tak. Cieszy mnie pochwała pańska, bo sam dotąd nie miałem sposobności naocznie się przekonać o gospodarstwie Butnera.

- A skarg książę nie otrzymuje?

- Owszem! Stosy próśb codziennie, alem ich jeszcze nie przeglądał i przyznam się, że nieprędko to uczynię. Skargi wywołałyby śledztwo, a śledztwo zmusiłoby mnie dłużej i częściej widywać się i rozmawiać z rządcą. To zaś przechodzi moje siły.

Grzymała głową potrząsnął, ale nic nie powiedział.

- Szanowna pani oddaje się muzyce? - spytał Leon.

- Ja - o nie! Nerwy moje nie znoszą fortepianu. Lubię cichość i spokój, dwie rzeczy, których właśnie nie posiadam; trafiłam na wbrew przeciwne usposobienie w moim mężu i ulegać muszę.

- Nerwowe cierpienia bywają zatem bardzo do siebie niepodobne. Mnie, znerwowanego doszczętnie, muzyka właśnie leczy.

- Ja nic nie wiem, co nerwy - wtrącił Grzymała - ale doznaję przy grze Gabryni, żem silniejszy.

- Mój Boże! Jeżeli ci może braknąć zdrowia i siły! - lekceważąco syknęła pani.

Leon przede wszystkim podziwiał, że mu nie braknie cierpliwości.

Rozmowa się urwała. Książę, roztargniony, uważał na każdy szelest i ruch domu. Czy też nie pokaże się więcej Gabrynia i on odjedzie nie zobaczywszy jej, nie pożegnawszy?

Zwlekał z odjazdem, chociaż etykietalna godzina dawno minęła i wyczerpały się wszelkie przedmioty rozmowy.

Grzymała wreszcie powstał.

- Książę zapewne raz pierwszy jest w domu szlachcica. Może książę ciekaw, jak wygląda jego sad i dziedziniec, jak on żyje i gdzie pracuje.

- Nie śmiałem pana prosić o to.

- Wyjdźmy zatem.

Sad był obszerny i starannie utrzymany, dziedziniec czysty i przestronny, obudowany na nowo. Służba odzywała się do pana swobodnie; zewsząd wyzierały zadowolone, śmiejące się twarze.

- Książę raz pierwszy dotyka stopami folwarcznego dziedzińca - zaśmiał się Grzymała.

- O, nie. Znam holszański, z dawnych czasów, gdym pana odwiedzał.

- A, prawda. Książę podobnych ma pięćdziesiąt siedem, a ja naprawdę żadnego.

- A ten?

- To wspólny nas sześciorga. Ja administruję tylko tutaj. Administruję też u rodziców żony i u sierot po zmarłym stryju. Zarządzam też z urzędu majątkiem małoletnich Stokowskich. Swojego nie mam.

- Masz pan żonę, dzieci, zdaje mi się, nie?

- Dzieci! Tego to najwięcej! Mam pięcioro tutaj, troje u teściów, dwoje po stryju i naprawdę nie wiem ile małych Stokowskich.

- Jakże pan możesz tylu przeróżnym interesom wydołać?

- Gabrynia mi pomaga. - Zajaśniały mu oczy, gdy dodał: - To moje dziecko najukochańsze i zdaje mi się, niczyje więcej, tylko moje.

Wracali do domu szpalerem strzyżonych lip, aż nagle na zawrocie ta, o której mówił Grzymała, stanęła przed nimi. Jeżeli przybycie księcia uczyniło na niej jakie wrażenie, już je stłumiła.

Szła z głębi ogrodu, niosąc w ręku koszyk malin i wiśni. Nie zakłopotana się niespodziewanym spotkaniem.

Grzymała pieszczotliwie musnął ręką po jej włosach. Leon rysy jej pogodne i słodkie objął ukradkowym spojrzeniem.

Szli teraz już razem i Grzymała, żartując, wykraadał jej jagody z koszyka.

- Gdzie Michał? - spytał mimochodem.

- Wyjechał - odparła lakonicznie, rzucając bratu ostrzegające spojrzenie, które Leon przejął i zanotował.

Kto był Michał? Może ten, którego dojrzał wymykającego się z ganku. Dlaczego się wymknął?

- Pyszne wiśnie na ten upał - zawołał młody obywatel. - Gabryniu, ofiarujże księciu.

- Księżę nie zwykł spożywać ich z koszyka w ogrodzie - odparła.

- Do wielu dobrych rzeczy nie nawykłem, niestety!

Zamiast odpowiedzi podała mu koszyk.

- Dobrych rzeczy nie zawsze dobrze próbować - zaczął Grzymała. - Pamiętam, ongi w Holszy, nabrałem kilka złych nałogów. Księżę Alfred nauczył mnie wybredzać w koniach i palić dobre cygara. Było to jeszcze za czasów jego kawalerskich. Księżę zaś nauczył mnie ogromnie na siebie rachować i zaszczepił fałszywe pojęcie równości. Pamięta księżę owo polowanie i błędzenie w lesie? A pamięta księżę, jakeśmy straszili wuja, że jego zbiory wyniosą na poddasze?

- Pamiętam, jakby to wczoraj było. Miałem też nadzieję, że ze starej Holszy choć pana za powrotem zastanę na miejscu. Zostały tylko po owych czasach naszej wspólnej młodości rzeczy -

jedne tak wieczne, jak zamczysko, inne wciąż się odradzające, jak kwiaty i drzewa. Z ludzi jeden profesor i pracownia jego, gdzie jak sędzę, znajdują się jeszcze pięcioletnie pyły, bom najmniejszej zmiany nie dopatrzył.

Gabrynia podniosła głowę i spokojnie dodała:

- Czy wuj dotąd swych chlebobawców nie tytułuje? Były kiedyś o to spory w pałacu.

- Nie pamiętam.

- Bo to się stało po wyjeździe księcia. Książę Alfred oznajmił wujowi życzenie księżny, aby zachował należne względy.

- To była komedia! - przerwał śmiejąc się Grzymała. - Stary kwestię zrozumiał po swojemu. Nazajutrz księciem tytułował kobiety i mężczyzn, pokojowców, mnie, kapelana - każdego! Cofnięto zatem pospiesznie rozporządzenie.

- Cieszę się, że to mnie nie dotknęło. Zastałem go w niczym nie zmienionym.

- Zdając rachunki i inwentarze holszańskie, położyłem pod jedną rubryką: szafy z owadami i profesor!

- Jurku! - upominała siostra.

- Bądź pewna, że on by w tym nie znalazł nic ubliżającego.

- Ale ty z zabawnej strony traktujesz starego człowieka.

- Ja profesorowi zazdroszczę. Jest to jedyny znany mi szczęśliwy i z losu zadowolony okaz ludzkości. Przynajmniej ze sfery mych osobistych obserwacji - rzekł Leon.

- A książę sam może nieszczęśliwy? Wielki Boże, ja bym w księcia doli sto kościołów niebu na podziękę wymurował.

- Chętnie bym panu tę dolę ustąpił razem z jej przynależnościami i obowiązkami.

- Zacząlbym od wypłatania się z pajęczyn ceregielów, form, formułek, etykiety.

- Nazywa pan to pajęczyną?

- Czymże jest, jeżeli się głębiej zastanowimy!

- Jest to właśnie treść mojej doli. Wypłatać się, panie Grzymała, to nie rozwiązanie kwestii, to zerwanie. Nie zrywa się zaś bezkarnie nawet pajęczyn, gdy nam w nich przeznaczono żyć. Misterna ta siatka zbyt ściśle nas oplata, zbyt długo ją mamy na sobie, zdaje mi się, że i w sobie nawet.

- A jednak tak łatwo ją potargać i stać się człowiekiem!

- Jednostką, panie Grzymała... jednostką wykluczoną z jednego towarzystwa, ze swego; intruzem w innym, kompletnie obcym... Jednostką samotną i wykolejoną, która pracować nie umie, stworzyć sobie celu nie potrafi, nigdzie nie znajdzie uznania i poparcia, i ostatecznie mierząc na innowatora-bohatera, zostanie dziwołagiem.

- A zatem księżę nie uznaje społeczeństwa, tylko kasty. Gdzie się podział ten księżę dawny, sprzed pięciu lat! Ten człowiek!

- Ten człowiek, panie Grzymała, za uczucia swoje i myśli zapłacił swym człowieczeństwem właśnie. Jako o nieżyjącym powiedzieć tylko mogę, że uczynił wówczas to, co był powinien, i jeśli siebie szanuje, to za to jedno tylko.

Było coś takiego w głosie Leona, że Grzymała spojrział nań badawczo i zamyślił się poważnie, ale Leon spojrzenia tego nie zauważył, bo zapatrzony był w dziewczynę postępującą przed nimi i myślał, że ona jedna zrozumiała treść jego wyrazów, jeśli - jeśli pamiętała, tak, jak on pamiętał.

Nie widział wyrazu jej twarzy, nie zdradziła się niczym. On by w tej chwili swą Holszę dał za pewność jej pamięci; za pewność, że związani byli bólem, goryczą i wspomnieniami, jak ongi sercem i duszą młodą.

Czego żądał? Sam się nie zastanawiał. Raz uległszy człowiekowi w sobie, brnął coraz głębiej, znajdując rozkosz w tym niepokoju, w tych myślach nagle odżytych, co nudę jego i niemoc wstrząsały gwałtownie.

Tymczasem wizyta jego przeciągała się nieznacznie. Znalazłszy się znowu w salonie, wobec pokaszlującej żony Grzymały, ocknął się jak ze snu, począł naciągać rękawiczki.

Ale Grzymała podniósł protest energiczny.

- Tak nie będzie. Księżę raz pierwszy gości u szlachcica, nie wie obyczajów naszych. Kto w dom szlachecki wszedł, nie wyjdzie, chleba nie skosztowawszy. I my mamy swoją tradycję i formy, a księżę nam przecie nie zechce odmówić!

Widać było, że prosił serdecznie i szczerze. Nie o honor i sławę mu chodziło, jak był pewien Leon, że ten jeden nie dbał o tytuł jego i miliony, ale o niego samego.

Został tedy. Chleb Grzymały był ciemniejszy niż w Holszy, a zastawa stołowa bez najmniejszego przepychu. Ale chleb ten podobał się księciu, i podobała się herbata podana przez Gabrynię gospodarującą u stołu.

Zaledwie w powozie obejrzał się, że już zupełnie późno. Spojrzął na zegarek: może nie stanąć do obiadu, kiedy miał wrócić za godzin parę.

Myśl ta popchnęła go znowu na zwykłe tory. Przeraził się uchybienia formom.

- Daję pół godziny czasu na drogę! - rozkazał stangretowi.

Siwosze ruszyły cwałem. Jazda szalona podniecała Siłę. Śmiał się z cicha, patrząc na migające drzewa; szalał z radości, gdy w pędzie przewrócili furę z sianem, a w miasteczku omal nie przejechali Żydziaaka.

Pod gankiem książę znów spojrzął na zegarek i, widocznie zadowolony, rzucił stangretowi garść pieniędzy, potem szybko wszedł do sieni.

- Państwo u stołu? - spytał służby.

- U stołu.

Zatem pośpiech powrotu nie na wiele się zdał.

- Gości nie ma?

- Jest hrabia z Zabuża, miłościwy książę.

Ta wiadomość również była niepożądaną.

Panie wiedziały już zatem, że nie był w Zabużu. Teraz nastąpią wyjaśnienia.

Powitano go rozmaicie. Matka ledwo skinęła głową, bratowa zmierzyła podejrzliwym okiem, Maszkowski i ciotka zagadnęli jednocześnie: "Skąd wraca?"

On już w swej masce, chłodny i spokojny, zajął zwykle miejsce i rozkładając na kolanach serwetę odparł:

- Przepraszam za opóźnienie. Zdaje mi się, że mój zegarek zaczyna chromać.

- Czemu książę do nas nie przyjechał? Czekałem, a podejrzewając wypadek jaki, przyjechałem sam - wołał Maszkowski.

- Szczęściem wypadku żadnego nie było.

- Aleś gdzieś był? Gdzieś siedział tyle godzin? - wołała ciotka, drżąc z ciekawości.

- Byłem z wizytą u pana Grzymały, ciotko.

Po słowach tych nastąpiła chwilowa cisza, tak wielka, że Leon słyszał warczenie krwi w sobie. Warczenie to było buntem i budzącym się odporem.

- Co to jest Grzymała? - spytała pierwsza ciotka, której ciekawość przemagała nawet oburzenie za niezachowanie konwenansów.

- Jest to mój dawny znajomy, obywatel, którego niechcący uraziłem przed kilku tygodniami - odparł Leon spokojnie, wypróżniając kieliszek wina.

- To nasz dawny rządca, wydalony za różne malwersacje i opieszałość - poprawiła lodowatym tonem księżna matka.

- Grzymała? Ten, co ma taranty? To jest wariat! Daję mu za te konie dwa tysiące rubli. Książę go zna. Może mi książę w targu pomoże - wmięszął się Maszkowski.

- Nie wiedziałem, że książę ma tak popularne, zażyłe stosunki... tutaj! - szyderczo wtrąciła bratowa.

Panna Lawinia obserwowała synowca. Zaczynała wietrzyć tajemnicę i skandalik, dwie rzeczy, które ubóstwiała.

- A ten Grzymała ma pewnie córki? - zagadnęła.

- Nie, ciotko.

- No, to żonę?

- Żonę ma.

- Uhm! - domyślnie mrugając oczyma zakończyła.

Potem, niezdolna swych domysłów przemilczeć, a bojąc się księżny matki, zaczęła je półgłosem powierzać Maszkowskiemu.

Widział naprzeciw siebie Leon dwuznaczne uśmiechy i spojrzenia ku sobie skierowane; dobiegały do jego uszu pojedyncze wyrazy, pędzące mu krew do skroni.

Nagle, na jakąś uwagę Maszkowskiego, ciotka znowu się ozwała:

- Hrabia mi mówi, że tam jest i siostra.

- Zdaje mi się, że trzy - odparł spokojnie Leon.

Księżna matka spojrzała na syna.

- Czy mogę wiedzieć, jakiego rodzaju była obraza, którą ty wyrządziłeś temu tam Grzymale? Sądząc po dzisiejszym twoim czynie, musiała być ważną.

- Sądząc, że pan Grzymała zarządza dotąd w Holszy, posłałem po niego pokojowca. Ten, spełniając bezmyślnie rozkaz, pojechał do jego majątku, a pan Grzymała był na tyle dobrze wychowany, że pierwszy przyjechał do mnie.

- I to wszystko? Obraza jest fikcją, a dobre wychowanie tego jegomości po prostu chęcią odzyskania szczytnej i łakomej posady. To nie tłumaczy mi wcale twej dzisiejszej, że się wyrażę względnie, fantazji.

- I mnie to nie wystarcza - śmiejąc się dodała ciotka.

Leon oczy podniósł na matkę i przez sekundę spojrzenia ich, równie silne, starły się.

- Powiedziałem wszystko w tej kwestii - rzekł z nadzwyczajną grzecznością i uszanowaniem.

Księżna matka umilkła, nieco blejsza tylko, zresztą niewzruszona.

- Tego Grzymałę pamiętam! - zaczęła z kolei księżna Idalia. - Zastałam go za przybyciem, i poznałam wkrótce. Namawiał Alfreda do skasowania dworskiej kapeli, marnych kilkunastu ludzi, chciał ograniczać ilość służby i koni. Były to jego sposoby podnoszenia dochodów, które przy jego rządach malały z roku na rok. Zakończył tym, że na żądanie pieniędzy, odsyłał księcia do mnie, dowodząc, że z moich kieszonek pieniędzy zapewne wybrukowałam salony. Za to wyleciał nareszcie, to zwyciężyło niewytłumaczoną dla niego słabość Alfreda... Dowiedziano się potem, że folwarki wydzierzawiał swoim krewnym, fabryki zostawiał niewypłatnym łotrom i bankrotom, a w enklawie Sumorokom pozwalał na bezkarne zuchwalstwa, z powodów erotycznej natury. Gust księcia jest co najmniej oryginalny.

- Ja znam innego Grzymałę. Tego może nie zna księżna. Zresztą gust, księżno: chacun a son vilain! (każdy ma swoją złą stronę!)

Widocznie nie zadowolona sztywną odpowiedzią, odwróciła głowę i nie odezwała się więcej, okazując mu ostentacyjnie swą niełaskę.

Za to panna Lawinia zaledwie doczekała końca obiadu, zawisła u ramienia synowca i uprowadziła go z sobą.

- Słuchaj! Masz tam romansik! - szeptała, a oczy jej się skrzyły żądzą myśliwca na wieść o łowach. - Zaczynam cię szanować! Powiedz, kto to? Mężatka? Jak daleko zasłiście? Czy nie będzie pojedynku? Mój drogi, przede mną nie potrzebujesz się zapierać i wzdragać. Miłość ma jeden herb, bardzo stare szlachectwo i więcej, niż Habsburgi, antenatów. Więc śmiało i otwarcie! Jestem dyskretna jak grób i lubię dopomagać biednym zakochanym - na złość rodzicom, a szczególnie mężom... ach, mężom! Żebyś wiedział, ile ja już takich par skojarzyłam! Opowiedz mi wszystko.

- Ale co, ciotko?

- No, twój romasik.

- Który, jeśli łaska?

- Ostatni, naturalnie, bo chyba do pierwszego nie trafisz!

- Ostatni! - powtórzył z namysłem. - Zdaje mi się, że to było w Nicei...

- Ależ nie, ależ nie... Ten, u Grzymałów.

- Tam, ciotko, nie romansowałem nigdy.

- Nieprawda! Po coż tam byłeś dzisiaj?

- Opowiadałem przy obiedzie.

- Twojej matce, et cetera, ale nie mnie - o nie! Nie chcesz wyznać; poczekaj, dojdę sama i wtedy za karę opowiem en plein salon! (tu: wszystkim!)

- I owszem, ciotko, sam pierwszy będę słuchał z zajęciem, jak kartki "Dekameronu".

- Pytam ostatni raz: opowiesz?

- Nie mam nic do opowiedzenia.

- Zobaczymy!

I odeszła urażona śmiertelnie; ale nie na tym był koniec. Z tronu swego skinieniem wezwała go matka.

- W następną sobotę wyjeżdżam z Izą do Paryża. Zachowanie twoje czyni mój pobyt tutaj niemożliwym. Jutro odwiedzę sama hrabinę Maszkowską, by ją za uchybienie przeprosić. Dobrze wychowanym jest hrabia, że cię za dzisiejszy skandal nie wyzwał. Holsza nie miała dotąd

podobnego tobie pana. Czy masz zamiar zawiązywać więcej podobnych stosunków? Proszę, aby to się stało po moim wyjeździe. Nie zwykłam widywać komunardów w moim domu.

Księżę skłonił się w milczeniu.

- Księżna Idalia ma zamiar także stąd wyjechać. Zostawimy ci wolne pole do demokratycznych popisów.

Nastąpił ponowny milczący ukłon, a ze strony księżny uwalniający ruch ręki, której tym razem Leon nie pocałował.

Ale wrażenia tego dnia jeszcze nie dobiegły kresu. Na tarasie, gdzie księżę przez chwilę samotny palił cygaretkę, znalazła go bratowa.

- Wyjeżdżam stąd. Księżę mnie wypędza! - szepnęła namiętnie i wściekle zarazem.

- Ja, księżno! A to w jaki sposób?

- W jaki? Zatem dla romansów księcia ja mam tu być widzem czy osłoną! Wyjeżdżam i rzucam klątwę na moje dobre chęci i ofiary. Księżę ich nie umiał cenić, a jeśli kiedy oceni, będzie poniewczasie. Nie wrócę tu nigdy, nigdy!

Potem niepohamowanym potokiem z ust jej rzuciły się groźby i błagania, obietnice i szyderstwa. Światową maskę poszarpała namiętność, poszarpał zawód kobiety płytkiej, próżnej i zapalczywej.

Rozstali się śmiertelnymi wrogami.

Znalazłszy się nareszcie na osobności, Leon był wyczerpany ostatecznie, z szalonym bólem głowy i gorączką. Rzucił się na posłanie, niezdolny oczu otworzyć ani się poruszyć.

Za kilka godzin zwycięstwa człowieka księżę sownie zapłacił.

Był to żywy przykład owych pajęczyn, które Grzymała tak łatwo myślał potargać, a których Leon zaledwie dotknął niebaczną ręką.

Przykład był tak żywy i bolesny, że księżę się wzdrygnął i przeraził.

Teraz triumfował księżę nad człowiekiem, triumfował wstręt do scen, strach przed światem, upodobanie w spokoju i ciszy, brak woli i sił w organizmie.

Ten jeden dzień wyczerpał go i roznerwował; czuł, że drugiego podobnego nie zniesie.

Drugi też podobny nie nastąpi nigdy.

Zaprzysiągł to sobie uroczyście i przysięga ta uspokoiła go nieco, dając mu punkt oparcia. Teraz człowiek znów był zgnębiony na długo.

VIII

Nowy księżę na Holszy przestał być dla okolicy zagadką. Zaciekawienie i wielkie nadzieje, jakie ludzie w nim pokładali, rozchwiały się powoli. Był taki jak wszyscy.

Pozostali na miejscu Butner i jemu podobni; ustępowały z dzierżaw i zakładów resztki drobnej szlachty; podnoszono czynsze i opłaty.

Co parę tygodni zdarzały się egzekucje sądowe na nędzarzach, nie mogących należytości swej w terminie uiścić. Nie dawano najmniejszych ulg. Co parę tygodni też płynęły tysiące do kasy i szły za granicę; co parę tygodni jakiś biedak, wyrzucony z folwarku, zjeżdżał na bruk miasteczka z czarną rozpaczą w duszy albo oficjalista, wydany za cień podejrzenia Butnera, zostawał z dziećmi bez chleba i darmo sprawiedliwości szukał u księcia.

Butner był wszechwładny; poznał już swego pana i lekceważąco spoglądał podczas sesji na stosy próśb i skarg, nigdy nie czytanych; działał coraz zuchwalej, bezczelnie krzywdząc, obdzierając i kradnąc, przekonany o swej bezkarności i sile.

W parę miesięcy już księżę niewidzialny, nieznany był na ustach każdego jak potwór; odzywano się o nim z cicha, ponuro i zajadle. Po dobrach zaczęły się pożary i bunty. O pożary nie dbał magnat. Na bunty wynaleziono sposób energiczny. Sprowadzono Niemców do robót polnych; miejscowym odmówiono zarobku.

Księżę mało co wiedział o tym. Podpisywał tylko gotowe projekty w oznaczonej do takich zajęć godzinie. Podpisywał i chwilę słuchał rządcy znudzony, ziewający, nie zadając sobie trudu myślenia. Rzadkie jego rozkazy były spełniane natychmiast, pieniądze płynęły jak woda; Butner zaręczał, że wszystko idzie jak najlepiej; do pałacu dochodziły jedynie głosy pochlebstwa i służalczej uległości. Żył tedy spokojny i bezczynny, jakby na innej planecie, osamotniony teraz zupełnie, składając czasem tylko obowiązkową wizytę w Zabużu lub Czorbowcu.

U siebie w domu czas spędzał monotonnie. Czytanie i często całodzienne ataki spleenu przerywały konne spacerunki po parku lub strzelanie w pole oswojonych sarn w zwierzyńcu.

Tak minęło parę miesięcy i jesień już nadeszła, gdy pewnego dnia goniec z Czorbowca przywiózł do Leona zaproszenie na łowy.

Miało to być coś arcyświątecznego, dla arcyświątecznych gości, których lista, najeżona tytułami, kończyła bilecik.

W dopisku była prośba o przysłanie psiarni i strzelców holszańskich do pomocy.

Wuj Proński lubił zawsze łączyć korzystne z przyjemnym.

Leon dał natychmiast rozkaz do łowczego i sam się stawić obiecał, o świcie, na zbornym punkcie.

Widzieli ludzie w miasteczku tabor z ogarami, strzelców konnych i pieszych; dowiedziano się, że księżę sam w nocy wyjedzie.

Miasteczko tego dnia było bardzo wzburzone. W sądzie pokoju roztrząsano po kolei kilkanaście spraw książęcych z czynszownikami i chłopami. Zrozpaczeni przegraną, ludzie ci pili do późna po szynkach, oblegali mieszkania pokątnych doradców i podrzędnych adwokatów.

Na widok strzelców pijane gromadki zaczęły wołać: "Kniaże psy, kniaże psy! Huź-ha, huź!" Pod wieczór odgrażano się już głośno na samego księcia.

Około północy Leon ubrał się jak na polowanie, rozkazał osiodłać konia, a Sile i innemu pokojowcowi kazał sobie towarzyszyć, i po chwili wyjechali za bramę.

Noc była wyjątkowo ciepła jak na koniec września; księżyc świecił w całej okazałości. Jeden z kozaków jechał przodem i wskazywał drogę. Siła o kilka kroków za panem.

Minęli miasteczko, mimo spóźnionej pory gwarne i oświetlone. Rynek i podsienia karczem zawałone były wozami, wózkami, dryndulkami i końmi nieszczęsnych procesowiczów. Z daleka poznano księcia.

Rozległo się parę grózb i przekleństw.

Leon, jak zwykle na otoczenie swe obojętny, podniósł głowę.

Wymijali właśnie kilka wozów pełnych pijanego chłopstwa. Wtem nagle z jednego chrypliwy, dziki głos krzyknął:

- Nażłopał się ty naszej krwi, przeświatły kniaziu, niemiecka gadzino! Teraz jeść będziesz nasze kości, boś resztę obdarł!

Było to tak niespodziewane i niesłychane, że księciu krew rzuciła się do twarzy. Ściągnął cugle konia i podniósł pręt.

Ale już Siła do śmiałka przyskoczył i rozległ się świst jego pletni, potem wrzawa, wycie, szamotanie się i przekleństwa.

Wozy stanęły. Książę znowu sam był na drodze z jednym tylko kozakiem.

Wjechano w bór. Sługa ciągle się oglądał, niespokojny o towarzysza, przerażony wrzawą za sobą, tajemniczą głuszą przed sobą.

Wreszcie ośmielił się przemówić.

- Miłościwy kniaziu, może zawrócimy po więcej ludzi. Tyle pijanego ludu! Może być wypadek.

- Ruszaj! - ostro odparł Leon.

Konie strzygły uszami. Księżyc zmieniał drzewa w widziadła. Cisza panowała uroczysta.

Jechali tak wiorst parę. Puszcze nietknięte od wieków stały, jak mur niebotyczny, po bokach drogi.

Za jezdnyimi rozległ się tętent konia.

Pokojowiec myśląc, że to Siła, nabrał ducha; ale jeździec równający się z nim nie miał biało-złocistej liberii i srokacza pod sobą.

Był to jakiś obcy, ciemno ubrany mężczyzna z czapką nasuniętą na oczy i podniesionym kołnierzem paltota.

Zrównał się i minął ich, nie pozdrawiając księcia ani nawet patrząc w tę stronę. Po chwili tęgi kłus jego mierzyna ucichł w oddaleniu.

- Miłościwy kniaziu - tajemniczym szeptem odezwał się sługa. - Mnie się zdaje, że ten, co pojechał, to Isakowski.

- Więc cóż? - gniewnie zapytał książę.

- Jego nasz rządca tego lata won wyгнаł z Hrani; sprzedali za jakieś rachunki bydło, konie, zboże; kupił Niemiec, co tam teraz siedzi. On, powiadają, okropnie pomstuje, bo i żonka mu ze zgryzoty i strachu umarła. Ja słyszał, że dziś on się sądził i przegrał, a potem pił i pił. Broń Boże nieszczęścia.

- Jak ty się nazywasz? - spytał Leon.

- Szymon, miłościwy książę.

Pan wyjął notatnik z kieszeni i spiesznie nabazgrał:

"Pokojowca Szymona wydalić ze służby!"

Pisząc puścił cugle i odwrócił się nieco bokiem na siodle ku światłu.

W tejże chwili koń się rzucił i zesłupił. Książę, nieprzygotowany, zwałił się na wznak na ziemię, poczuł dojmujący ból w głowie i na sekundę stracił przytomność.

Krzyk pokojowca, a potem tętent konia ocuciły go. Spojrzał przed siebie i próbował powstać. Osłupiał. Nad nim stało dwóch drabów.

Jeden porwał go za ramiona, drugi za ręce i powlekli pod jedną z przydrożnych jodeł.

Zrozumiał, że padł ofiarą napadu i począł się szamotać, wyglądając pomocy. Ale pokojowca nigdzie nie było; koń księcia wystraszony także zniknął; przy tym poczuł, że padając, musiał nadwerżyć prawą rękę i nie mógł nią władać.

- Czego chcecie, łotry? - krzyknął.

Zamiast odpowiedzi, draby poczęły go krępować plecami do drzewa.

- Będzie was to drogo kosztowało. Weźcie pieniądze, ale mnie nie tykajcie.

Milczeli, kończąc swą brutalną czynność. Potem odstąpili, kroków parę i popatrzyli krytycznie na swe dzieło.

Obadwaj mieli twarze posmarowane sadzami, na sobie odzież chłopską, widocznie pożyczaną.

- Dobrze tak - rzekł z cicha starszy. - Postoi tak do rana i niech się ludzie przypatrzą, jak ten pan wielki wygląda. Niech się wstydu naje.

- Zatkanąć mu gębę! - poradził młodszy.

- Nie trzeba. Taki nie krzyczy. Chodźmy!

Leon istotnie milczał i tylko oczyma ich przeprowadził w gąszcze.

Nad ból i gniew przeważał w nim wstyd. Nie rozboju padł ofiarą, ale zemsty, za czyn sobie nie znany, jak nie znani mu byli sprawcy. Po chwili wściekłości już chłodniej zastanowił się nad swoim położeniem.

Stał w blasku księżyca przy drodze, którą wracać z miasteczka będą zgraje pijane i rozjuszone. Te go pewnie nie poratują.

Poczerwieniał i targać się począł na myśl gorszą niż śmierć: myśl o śmieszności i wstydzie.

Pomimo bólu ręki targał się zajadle, zaciskając zęby i chrapiąc dziko.

Wszystko inne raczej, niż ten pęgierz ohydy.

Szamotał się tak bez skutku, do omdlenia. Poczł wreszcie zimny pot na skroni i przykry smak w ustach. Splunął: była to krew.

Wtem na drodze przed nim ozwał się kłus koński, coraz bliższy. Książę nadstawił ucha, orzeźwiony nadzieją.

- Siła! - krzyknął.

Ale nie Siła to był, tylko ów człowiek na mierzynie, którego poprzednio spotkali. Prowadził za sobą wierzchowca księcia i rozładał się po drodze.

- Ratunku, człowiecze! - zawołał Leon.

Człowiek zatrzymał się, nie rozumiejąc zrazu, skąd głos pochodzi. Potem zeskoczył na ziemię i oba konie przywiązawszy do gałęzi, podszedł.

- Na miłość boską! Macie nóż przy sobie? - rzekł książę. - Przetnijcie sznur.

Zbawca sięgnął do kieszeni, wydobył scyzoryk, i po chwili przeciął postronek.

Czynił to równie milczący i spokojny, jak owych dwóch drabów; nie pytał o nic ani okazywał zgrozy lub zdziwienia.

Leon także w pierwszej chwili nie zwracał nań uwagi, kto by był; uważał go za wcielenie Opatrzności.

Uczuwszy się wolnym, przede wszystkim obejrzał na swych delikatnych rękach ślady sznura i skrzywił się stłumionym francuskim przekleństwem; potem poprawił odzież potarganą i włożył na głowę swój filc zmięty w walce. Potem wonnym batystem otarł twarz i usta, i dopiero wtedy przypomniał sobie wybawiciela.

Człowiek to był zupełnie mu obcy, zresztą przy nocnym oświetleniu dojrzał tylko dwoje wpadłych oczu i chude, wystające policzki. Te dwa szczegóły oblicza przy wielkiej bladości czyniły wrażenie rysów szkieletu. Resztę zasłaniał daszek czapki i kołnierz.

- Należy się panu ode mnie bezgraniczna wdzięczność - rzekł książę zupełnie już wróciwszy do równowagi. - Ostatecznie, bez pańskiej pomocy, stałbym tu aż do rana. Ładne się tu rzeczy dzieją po drogach. Podróżny ryzykuje życie o milę od domu.

- Zależy od tego, jaki podróżny - odparł nieznajomy głosem bezdźwięcznym i cichym.

- Pan zatem odgadłeś, że tutaj działały inne pobudki niż rabunek?

- Nie odgadłem, ale jechałem przed księciem i spotkałem dwóch ludzi, którzy zastąpili mi drogę, zajrzeli w oczy i odeszli.

- Znasz ich pan? - żywo przerwał książę.

- Nie. Zresztą w przebraniu i chwilowo, nie miałem czasu się przypatrzeć.

- A przecie pan wróciłeś?

- Wróciłem, bo koń bez jeźdźca mnie napędził. Złowiłem go i jako cudzą własność chciałem odprowadzić. Książę zapewne wróci do zamku?

- Ja? Nie zwykłem wracać z drogi. Mam nadzieję, że z dwóch moich pokojowców choć jeden żyje. Ten zapewne pobiegł przywołać pomoc i zjawi się tu z ludźmi w prędkim czasie, ale naturalnie nie w porę. Tymczasem pojedę dalej i jeżeli to pańska także droga, poproszę o dotrzymanie towarzystwa, abym nie zbłądził. Jadę do Czorbowca na polowanie.

- Wiorst dziesięć jechać będziemy razem - rzekł nieznajomy wsiadając na koń.

Leon wskoczył także na siodło. Ruszyli obok siebie.

- Jeżeli pan w wypadku moim podejrzewa zemstę osobistą, tym mniej jest to wytlomaczonym, że w okolicy tej niedawno przebywam, stosunków nie mam żadnych, najmniejszego powodu do zemsty nie dałem nikomu.

- Zapewne. Ale gdy kogo zły pies skaleczy, krzywd swoich poszukuje na właścicielu zwierzęcia; gdy narzędzie lub machina zabije człowieka lub zdruzgoce budynek, odpowiada technik lub mechanik.

- Wedle pańskiej teorii nie zazdrośny by był los posiadaczy, kierowników i właścicieli.

- Ja go też nie zazdroścę! - głucho odparł człowiek.

- Szczęściem, że prawa inaczej na tę rzecz się zapatrują i rozbój nazywają rozbojem.

- Nazywam tak i ja. Jest to nawet rozbój strasznie zuchwały na osobie księcia samego, i pierwszy bym sądził i karał. A jednak ani sąd, ani kara nie przekona mas, które wszelkiej władzy dają za pierwowzór i przykład pierwszą, jaka była na świecie - ojcowską.

- Daleko pan sięga. Przypomnę tylko, że już z dwóch synów pierwszego ojca jeden był bratobójcą. Władza ojcowska nie na wiele się zdała i z konieczności przyjąć musiała inną formę. To pewna, że ja jej nie wskrzeszę dla dwóch zbójów, którzy mnie dzisiaj opadli za to, że zapewne nie pozwolił im mój rządca na kradzież mego dobra lub inne nadużycia.

Nieznajomy głowę nisko skłonił i zdawał się namyślać.

- Nie wskrześnie też ona - rzekł po chwili jeszcze cichszym i smutniejszym głosem. - Wiele rzeczy tak nie wskrześnie, złością ludzką pobitych. Jest to marzenie, a raczej - przywidzenie. Świat byłby za pięknym.

- Pan się oddajesz widocznie kwestiom socjalnym? - zagadnął książe takim tonem, jakby mówił: Pan jesteś łachmaniarzem. - Zapewne pan jeszcze żadnej własności nie posiadasz. Takim ludziom świat się zawsze wydaje otchłanią krzywd, gwałtów i wyzysku... Do czasu naturalnie, aż sami cośkolwiek sobie zdobędą, bo wtedy przechodzą pod sztandar konserwatyzmu.

- Niezupełnie tak jest, jak książe mówi. Nie jestem socjologiem. Władzę cenię i szanuję, a świata burzyć nie myślę, chociaż, jak książe zgadł, niczego nie posiadam i nigdy posiadać nie będę. Nie przeszkadza mi to żałować rzeczy wielkich, umarłych, ludzi małych i biednych, podlejących duchowo po ruinie materialnej i nie mających znikąd już nie pomocy, ale litości.

- Ludzie ci niezawodnie na los swój zasłużyli.

- Przepraszam. Powiedział książe: "Ludzie nic nie posiadający nie mogą krytykować tych, którzy coś mają, bo nie dotknęli władzy." Nawzajem, jak książe może wyrażać się o biednych, małych, moralnie i materialnie upadłych, sam nie zaznawszy nigdy ani biedy, ani upokorzenia, ani ruiny ducha i majątku? Moje marzenie o władzy jest przywidzeniem; księcia sąd o ludziach biednych - sądem ślepego o kolorach... Książe się marszczy; wyraziłem swą myśl może zbyt dosadnie...

- Marszczę się, bo mam, zdaje mi się, zupełnie zwichniętą rękę. Ból ten nie usposabia mnie zbyt przychylnie dla owych maluczkich. Zresztą przyznaję panu ścisłość rozumowania i wykształcenie, o które bym go z pozoru nie posądzał. Owszem, przyjemnie mi jest czasem posłyszeć trafną uwagę.

- Czuje się książe w położeniu monarchy, zwiedzającego incognito kraj i słuchającego z ust żebraków sądów na swe rządy.

- Mniej więcej doznaję takiego wrażenia. Spytałem więc pana, co byś na moim stanowisku uczynił?

- Za nic bym nie przyjął stanowiska księcia.

- Może masz pan słuszość, ale rad bym posłyszeć powód odmowy tronu - dodał żartobliwie.

- Nie zniósłbym tylu obowiązków ani czuł się godnym i na siłach dźwigania takiej odpowiedzialności.

- Odpowiedzialności - jakiej?

- Przed Bogiem, ludźmi i własnym sumieniem. Po dziennej pracy noce bym miał bezsenne z troski i niepokoju, czym czego nie zaniedbał, nie opuścił. Nie stałoby mi godzin ani lat i nie wytrzymałoby ciało duchowi, a umierając spokoju bym nie miał przed sądem bożym. Bo myślę, że nie za siebie bym jednego odpowiadał, ale za setki ludzi, którzy za życia zwali się mymi podwładnymi, sługami, narzędziami... Nie, z całą świetnością, chwałą i milionami nie wziąłbym doli księcia - ja, najbiedniejszy i najniezwyklejszy z ludzi... Na to, by temu podołać, trzeba albo się księciem urodzić, albo szczególniejsze mieć namaszczenie.

- Zapewne! - krótko odparł Leon.

Była to dziwna rozmowa i epilog awantury.

Po chwili człowiek znowu się odezwał:

- Dzisiaj byłem i ja na sądach; słyszałem potem, co mówiono. Kiedym księcia zastał u tego drzewa, gdzie by go mijali ci ludzie, pomyślałem, że na sądzie bożym tak władcę mijać będą jego dzieje i tak mówić. Wtedy Bogu podziękowałem, że księciem mnie nie uczynił.

- Może i pan dzisiaj miałeś sprawę ze mną w sądzie? - zagadnął Leon, jakby końca nie uważał.

- Miałem - lakonicznie odparł obcy.

- Mam nadzieję, że przegrałem.

- Nie, przegrałem ja. Byłem zresztą do tego przygotowany i stawałem tylko dla formy.

- Może mi pan teraz sam sprawę wyłuszczy. Złożymy sąd we dwóch i rozstrzygniemy bez świadków i apelacji.

- Dziękuję księciu. Wyrok już zapadł, a ja apelować nie będę. Może też już koniec będzie ostateczny.

- Przegrywający rzadko bywa tak sprawiedliwym i spokojnym. Musiał pana proces zmęczyć i drogo kosztować.

Człowiek nic nie odparł i tylko przelotnie spojrzął na księcia, jakby go dopiero zobaczył. Oczy jego wpadły, powiększone chudością policzków, miały w sobie coś tragicznego. Po oczach tych można by go poznać wszędzie, choćby po latach. Mało się trafiało podobnych.

Księżę ilekroć nań spojrzął, doznawał głębokiego uczucia przykrości, a zarazem zajęcia. Zdawało mu się, że człowieka tego gdzieś, kiedyś, już widział.

- Zapewne pan mieszka niedaleko? - zagadnął. - Okolica pod Czorbowcem jest gęsto mniejszymi posiadaczami osiadłą.

- Tak, ale ja nie jestem obywatelem. Domu też ani żadnej własności nie posiadam. Przebywam tutaj chwilowo; nie mieszkam nigdzie.

- Może pan znasz pana Grzymałę?

- Znam - lakonicznie odparł nieznajomy i zdawał się czegoś słuchać pilnie. - Za nami jadą konie. To zapewne słudzy księcia. Przybywają w porę, bo oto w prawo droga do Czorbowca, a w lewo moja.

- Rozstaniemy się tedy. Jeszcze raz dziękuję panu, a żebym przy pierwszej sposobności mógł się wypłacić, proszę o nazwisko mego zbawcy lub raczej dopełniam formalności poznania: Leon Holszański.

Nieznajomy konia szarpnął i znalazł się nagle o całą szerokość drogi oddalony.

- Moja usługa niewarta wypłaty, a moje nazwisko niewarte prezentacji. Szczęśliwej drogi życzę księciu - odparł puszczając cugle wierzchowcowi i niknąc na zakręcie, w cieniu bocznej, leśnej drożyny.

Cwał koni na gościńcu dobiegał i po chwili ujrzał się Leon otoczonym kilkunastu hajdukami, wśród których przodował Siła zakurzony, z krwią zaschlą na twarzy, w poszarpanej liberii, a za nim wylękły, zielony ze strachu Szymon. Konie były pianą okryte.

Na widok pana zdrowego, spokojnego ludzie osłupieli.

Spojrzał po nich. Przyjechali naturalnie nie w porę, aby go uwolnić, nie w porę nawet, aby zobaczyć i może poznać tajemniczego zbawcę, za którym zawarł się las pełny zakrętów. Niezadowolony też było w jego wzroku.

- Siła i ten drugi, co ze mną był, wróć do Holszy. Reszta niech mi towarzyszy - rozkazał książę. - Siła, oddasz tę kartkę rządcy. Co koń wyskoczy jechać.

Wydarł świstek papieru z notatnika i oparłszy na plecach pokojowca, napisał:

Las przeszukać. Dwóch ludzi w nim dzisiejszej nocy było, za których wyśledzenie i poznanie naznaczam tysiąc rubli. Pośpiech!"

Siła wziął papier i poleciał, przygięty do szyi końskiej. Książę ruszył dalej ze swoją eskortą. W lesie był dzisiejszej nocy jeszcze trzeci człowiek, ale tego wskażą papiery sądowe, poznał Butner.

IX

Pewnego dnia Leon, opuszczając swój gabinet urzędowy, z westchnieniem ulgi pomyślał, że odbył ostatnią sesję. Za parę dni bowiem odjeżdżał do dóbr galicyjskich, a stamtąd na czas nieokreślony do Paryża, dokąd go wzywała matka.

Rad był, że opuszcza Holszę. Ciężej tu było żyć niż gdzie indziej; stęskniony był do świata i sobie równych ludzi. Zresztą jesień odzierała wieś z jedynych jej uroków.

Teraz o południu świeciło niby słońce, ale wieczory w bezludnym pałacu, przy wtórce pluskania deszczu i wycia wichru, bez ludzkiej twarzy i głosu, w samotności i nudzie bezmiernej, były nie do zniesienia.

Wyszedł tedy z gabinetu i chwilę stał w kurytarzu wyglądając na dziedziniec. Widział masztalera, który co dzień pocztę przywoził, jak zsiadał z konia; widział, jak Siła torbę od niego przyjął, opróżnił i pakiet poniósł do biblioteki; widział, jak Butner otoczony akolitami, z fajką w zębach i rękoma w kieszeniach spenceru, schodził z wysokości pałacu na padół folwarku. Ludzie ci robili na nim wrażenie marionetek, poruszających się automatycznie, robaczków pełzających bardzo nisko, u jego podnóża.

Ziewnął i spodziewając się może jeszcze jednego, ostatniego przed wyjazdem z Holszy listu od matki, poszedł do biblioteki.

Działo się jednak tam coś nadzwyczajnego. Z pracowni profesora dochodził szmer żywej rozmowy. Leon, nie znajdując spodziewanego listu, rozciął francuski dziennik i zabierał się do czytania; ale szmer ten tak go dziwił i zaciekawił, że powstał i zajrzał dyskretnie, kto by to był u starego odludka?

Ujrzał uczonego, jak zwykle pochylonego nad stołem, a naprzeciw niego energiczny i wyrazisty profil Grzymały.

Wtedy Leon, pociągnięty nieprzepartą sympatią do tego człowieka, podszedł ku niemu z wyciągniętą dłonią i bladym uśmiechem przyjemności.

- A! książę! - radośnie zawołał Grzymała, ściskając podaną rękę. - Chwała Bogu, że książę zdrów i cały! Opowiadano już straszne rzeczy; jam nawet przyjeżdżał zasięgnąć języka u Siły, srodze pokiereszowanego. Bajka bajką, na szczęście, księciu nic się nie stało.

- Mogło się trafić coś bardzo złego, żeby nie pomoc niespodziewana. Uratował mnie od hańby i śmieszności jakiś człowiek, którego dotąd nie mogę odszukać. Prawda, pan mi dopomóc możesz? Mówił, że zna pana.

- Może być. Znany jestem jak zły szeląg.

- Był to człowiek, o ile mi się zdało, młody i do lepszego towarzystwa należący, trochę mistyk, trochę ideolog. Miałem z nim szczególną rozmowę. Ma proces ze mną, jakem się dowiedział, ale Butner go sobie nie przypomina.

- Ale zbójów podobno pojmano.

- Tak. Tym się podobno odechce gwałtów.

- Isakowski z synem. Znam i tych. Gdym tu zarządzał, truł mi już krew ciągłymi awanturami na folwarku. Jest to człowiek, któremu się nic nie wiedzie i który, zamiast rezygnacji, po każdym ciosie gorzej się burzy i wścieka. Teraz, gdy już nic nie miał do stracenia, postąpił jak szaleniec. Książę podobno wyjeżdża za granicę? Na długo?

- Tak, we czwartek. Będę się starał zabawić jak najdłużej. Może przyjadę do Holszy latem.

- O Jezu! - desperacko westchnął Grzymała. - Toż dopiero będą się tutaj działy rzeczy bez księcia!

Zaraz jednak, jakby się opamiętał, że powiedział coś niepotrzebnego, dodał:

- Ja przyjechałem z propozycją do wuja. Jest w Zabuzu pod lasem grób szwedzki, który jutro mamy rozkopywać.

- Szukasz pan skarbów! - uśmiechnął się książę. - Powiada legenda, że są zakopane i tutaj, w ruinach.

- W Holszy nie brak ich nigdzie. W tym grobie, o którym mowa, nie szukamy jednak złota, ale starej pamiątki. Znalazł się młody archeolog, krewny, który mi nie daje spokoju. Postanowiliśmy jutro to zrobić, a że w grobie może się znaleźć coś ciekawego i dla wuja, Gabrynia mnie posłała zaprosić go. Nie wiem, czy mnie słyszał i zrozumiał, bo dotąd nic nie rzekł.

- Zdaje mi się, że i nie rzeknie. Preparuje okaz, a wtedy jest zupełnie niepoczytalny. Zostaw mi pan załatwienie tego interesu. Jeśli go namówię, to jutro polecę dostawić wam na miejsce. Gdzież te poszukiwania będą się odbywały?

- Gdy książę powie stangretowi: zabuska szwedzka mogiła, to będzie dosyć. Każdy ją zna.

- Dobrze, postaram się, aby profesor swą obecnością uświetnił jej rozkopanie.

Książę podał Grzymale papierosy i rozmawiając wyszli z pracowni, i znaleźli się w bibliotece. Grzymała zamilkł nagle i wpatrzony w ziemię, zadumał się podkręcając wąsa.

- Jeżeli mam prawdę rzec, jadąc tutaj myślałem i do księcia wstąpić. Chciałbym księcia o coś poprosić - rzekł nareszcie, podnosząc na gospodarza poczciwe swe oczy.

Oczy te nie barwą ani pięknnością, ale wyrazem słodczy i prawości przypominały księciu inne, na których wspomnienie uczuł żywszą krwi falę i wnet potem nieokreślone cierpienie.

Raz po raz skurcz nerwowy przemknął mu po licu i pozostawił po sobie bladość chorobliwą.

- Panie Grzymała - rzekł - możesz mnie prosić o wszystko i czego może nikomu nie uczynię, zrobię dla pana z gotowością.

- Dziękuję księciu za zachętę, bo prośba moja wygląda bardzo zuchwale i wielkiej śmiałości trzeba, by ją wypowiedzieć.

- Czymże mogę panu służyć?

- Nie mnie! Czyżbym ja dla siebie prosił? Usłużyć księżę może ludziom nad wyraz nieszczęśliwym i... sobie - dodał z wahaniem.

- Zaciekawiasz mnie pan. Mam pewnie popofolgować jakiemuś niewypłatnemu debitorowi?

- Nie! Niech księżę zaniecha sprawy Sumoroków!

Powiedziawszy to, jakby od zmory uwolniony, odetchnął i nieśmiało spojrzął na księcia.

Temu blade policzki zalała krew, mętne oczy zabłyśły, odstąpił o krok. Przed Grzymałą stał magnat pyszny i mściwy.

- Panie Grzymała! - rzekł nie znanym też szlachcicowi tonem i głosem - nazwałeś pan swą prośbę zuchwałą. Wyrażenie to znajduję teraz za słabym. Mówiłeś pan niegdyś, że sprawę tę znasz. Przyznajesz pan zatem słuszność tym ludziom.

- Nie przyznaję nikomu.

- Zatem pan nie czytałeś tego?

Sięgnął na stół i wskazał rękopis.

- Wyciąg ten zrobiono mi po napaści publicznej starego łotra siedzącego bezkarnie na kradzionej ziemi, w miejscu, gdzie jakiś jego protoplasta zamordował bez sądu i winy mego pradziada... zamordował jak opryszek...

- Czytałem i ten rękopis. Sporządzony był już dawniej w archiwum dla księcia Alfreda, w innej okoliczności.

- A zatem ten rękopis jest moją odpowiedzią na prośbę pańską. Do roku nie zostanie Sumoroków ani źdźbła na mojej ziemi.

- Nie zostanie ich rychło i na świecie - ponuro odparł Grzymała. - Gasną, jak gasną pożary, same siebie strawiwszy. Może zresztą ściiera ich boży palec klątwy i sprawiedliwości. Księżę Lew do klątwy tej ręki nie przyłoży; nie uczyni tego, przed czym tyłu jego członków się cofnęło.

Głos jego był łagodny i smutny. Nie uczył i radził, ale prosił.

- Panie Grzymała - rzekł nie patrząc nań Leon - powiedziałem panu moje słowo jedno, pierwsze i ostatnie słowo w tej kwestii. Nie narażaj mnie pan raz drugi na przykrość odmowy i przejdźmy do innego przedmiotu.

- Kiedym się zdecydował kwestię tę podnieść, kiedym zniósł nie doznawaną dotąd księcia twardość i dumę, znosić będę do końca... co przyjdzie. Jużem się ofiarował wszystko rzecz: niech książę raczy mi pozwolić ustnie ten rękopis zakończyć.

Książę się zawahał. Słowo pychy miał na ustach, ale się rozmyślił.

- Mów pan - rzekł z brwią ściągniętą, nieubłagany. - Wysłucham, chociaż nie może być epilogu, który by pamięć tego zatarł, a nawet przyćmił... Wysłucham, ponieważ panu o to chodzi.

Usiadł w fotelu i skrzyżowawszy ręce, poddawał się tylko słabości i względom dla tego człowieka, który był nicią wiążącą go do ideału, pamięcią lepszych myśli i marzeń.

Grzymała stał, cały, wzburzony, nie mogąc pohamować drżenia rąk i głosu.

To co miał mówić, przychodziło mu z niesłychaną przykrością.

- Rękopis się kończy egzekucją Sumoroaka za czyn ohydny. Dalej już nie ma tytanów i demonów, nie ma działań i walk. Pożary namiętności zgasty w krwi... Zostały ich owoce.

Mnie się zdaje, że takie dzieje nie tylko dusze karzą, ale i ciała trują. Dziedziczą się żądze, dziedziczą choroby, podleją dusze, podleją organizmy. Kiedym ja tej sprawy dotknął, w przeklętej enklawie żyło troje ludzi: ojciec, syn i córka. Oni mi dali przykład tego twierdzenia. Ludzie ci odziedziczyli żądz i bojów spuściznę. Ojciec był umysłowo dotknięty, choć pozornie przytomny; syn nosił od dziecka zaród śmierci. Lunatyk i z wadą serca, niepewny dnia i godziny, gdy ów gość do drzwi zakłócał, i wskutek tego nieczuły na ludzkie chęci, niedbały o ziemskie dobro, obojętny jak przechodzień przez życie, świat i dążenia jego...

Córka, cudnej piękności dziewczyna, spadek praojców wzięła w nerwach i nadzwyczajnej wrażliwości. Ta nie myślała nigdy, lecz tylko czuła. Nie rozumiała dróg pośrednich, lecz tylko ostateczności. Za czyny jej wierzę i przekonany jestem, Bóg jej nie sądził i wierzę, że pomimo końca swego miłosierdzie u Niego znalazła... Tych tedy troje ludzi wegetowało na folwarku, w pustce i nędzy, w osamotnieniu i ponurości. Nie przestawał nikt z nimi, a oni uciekali od ludzi, tragicznością swych dziejów, jak pieczęcią straszną niaznaczeni, na łup zagładzie... Folwark był w ruinie, nikt nie uprawiał odłogów, nikt nie dbał o dach ten przeklęty, nikt nie pracował...

Czuli się zesłańcami, rzuconymi na ziemię za winy nie popełnione, na dozgonne wygnanie, do miejsca swej zbrodni przykuci jak do taczki, co dzień wyglądając, że ich wypędzą precz... Taka dola nie ma wyrazu, nie ma może porównania na świecie.

Doli tej nie zniósł syn i uciekł, skoro ją zrozumiał, zaprzysięgając pod dach ten trzysta lat broniony, a nie własny, nigdy nie wrócić. Ojciec go za to odstępstwo przeklął i sam pozostał. Stary ten miewał widzenia i wtedy był najprzytomniejszy. W takim widzeniu spotkał go książę. Zresztą był bez mowy i myśli, wyczerpany owymi atakami, istne drewno...

Córka go karmiła i doglądała z pracy rąk własnych. Gdy nie miała roboty i chleba, szła na wieś i żebrała dla ojca u chłopów z Krasnych Sadyb, którzy ją klęli za złą dołę, jaką teraz znosili, karę za postuch poduszczeniami jej przodka-oprawcy...

Spotkałem ją raz zimą na drodze, prawie bosą i nagą. Siedziała pod owym nieszczęsnym krzyżem, zdecydowana zamrzeć na mrozie. Wracała ze wsi, skąd ją wypędzono, odmówiwszy chleba, a ojciec był głodny i w domu drewna nie było. Zrobiłem wtedy, co może uczynić był nie powinien jako holszański sługa, co jednak było obowiązkiem człowieka. Zabrałem dziewczynę na sanki, a nie mogąc z nią jechać ani do Zabuża, ani do Holszy, wstąpiłem do strażnika o wiorst parę. Zostawiłem ją przy ogniu, a sam poskoczyłem do miasteczka, do piekarza, do rzeźnika, do szewca i tandeciarza. Potem zabrałem ją ze straży i odwiozłem do enklawy...

Takem ich poznał i tę dołę potem zrozumiał... Potem - dużo później, gdy się oddalił z Holszy - między zarzutami księżny-matki i ten stał; żem osłaniał Sumoroków dla romansu z córką... Ano, bywa i taka dola, że się znosi i cierpi winy, które nam nigdy w myśli nie powstały. Tylko że taka dola to jeszcze nie nieszczęście, a ludzki sąd nie hańba przed samym sobą. To znieść można, byle się z tym pogodzić, pojąć i raz stanowczo gorzko zadusić! Potem... to już nawet nie boli...

Umilkł na chwilę Grzymała i ogarnięty smutnymi myślami, wpatrywał się w jeden punkt pokoju.

Zatrzymał się, jakby doszedł w swej opowieści do ustępu, który mu najciężej było powtórzyć. Zasepiło mu się czoło i głos mimo woli zniżył, gdy znowu mówić zaczął:

- Często doznając od ludzi i losu ciosów rozlicznych, niespodziewanych i dojmujących, porównywałem dołę moją i księcia Alfreda... Boże, żebym to cierpieć musiał co on!

Księżę Leon głowę podniósł, ale nie przerywał, a Grzymała, wrażenie swe zmógłszy, znowu mówił spokojniej.

- Od tego dnia spotykałem czasem tę dziewczynę, której piękność nieziemska, usposobienie niezwykle i tragiczność doli zajmowały mię, straszły i napełniały bezgraniczną litością... Ona, dzika i nieprzystępna, nabrała do mnie zaufania; w razie potrzeby jakiej udawała się śmiało do mnie; spotkawszy przypadkiem, pozdrawiała serdecznie. Byłem dla niej jedyną duszą życzliwą... Razu pewnego jechaliśmy z księciem Alfredem przez miasteczko, gdy ona nam drogę zaszła... Poznała mnie i skłoniła się; jam czapki uchylił. Księżę zastanowił się i zdumiał.

"Podobne cuda żyją w Holszy, a ja o nich nie wiem!" powiada żartobliwie. "Kto to taki?"

Nie umiem ani kłamać, ani przemilczać, nazwałem ją.

"Skądże ją pan znasz?" pyta nieufnie.

Odpowiedziałem, jak się rzecz miała.

Nic więcej nie mówił ani pytał. Rad byłem, że zbył tajemniczy i prędko o tym zapomniałem.

Po miesiącu niespodzianie znowu mi o Sumoroków zagadnął. Coś głucho wiedział on, że jakieś wyroki gdzieś leżały, nie wykonane nigdy.

"Nędzę trzeba poratować!" rzecze. "Proces jakiś tam nie racja, żeby ci głodem marli. Ale ja sam działać nie mogę, ani się zdradzać. Weź pan tę garść złota i rzuć dziewczynie podstępnie, żeby nie widziała dawcy."

Niemiała mi była taka robota.

"Mnie trudniej niż księciu. Mnie znają, księcia ci ludzie nigdy nie widzieli."

"Prawda. Załatwię to sam. Wałęsam się w tej stronie dość często, szukając zwierzyny. Kiedy zaś mówimy o tych ludziach, to każ mi pan sporządzić w archiwum wyciąg owego procesu. Niech wiem, o co chodzi!"

Więcej już nigdy nie było między nami wzmianki o Sumorokach. Wyciąg sporządziłem i zgrozą zdjęty, dziękowałem Niebu, że księżę o tej sprawie zapomniał.

Pewnego wieczora mijalem konno Karawikę, coś zabielało pod brzoźami. Koń się zesłupił i uniósł. Opanowawszy go, zawróciłem znowu, przekonany, że upiora widziałem.

Miejsce to u ludu budzi strach zabobonny. Wszelkie widzenia, jakie kto miał, niezawodnie działały się pod Karawiką. Ja nie tchórz wcale; chciałem się przekonać, że fartuszek na krzyżu był całym strachem. Ale nie było ani fartuszka, ani niczego białego. Wtedy doznałem nieprzyjemnego uczucia i prędko odjechałem. Kto rękopis ów czytał, ten mnie zrozumie.

Wjechałem w las i prędko zapomniałem o wypadku. Byłem wtedy jeszcze wolny, młody i zakochany. Myśli moje daleko odbiegały od Karawiki, gdy wtem niedaleko w gąszczu koń zarżał, a mój odpowiedział, jakby się znały. Zawróciłem w tym kierunku i osłupiały znalazłem wierzchowca dobrze mi znanego, pod siodłem, przywiązanego do drzewa.

Sam nie wiedziałem, co z tym robić, i niezdecydowany rozglądałem się wkoło, gdy z gęstwiny wyszedł księżę Alfred, spostrzegł mnie i poznał.

"Zgubiłem pręt w krzakach," rzekł.

"A jam się zląkł, obawiając się wypadku."

"Et, co mi się może złego tutaj przytrafić!" odpowiedział ze śmiechem dwuznacznym.

Wróciliśmy pospołu. Znow czas jakiś minął.

Było to wtedy, gdy księżę do Holszy przyjechał i gdyśmy się poznali, a księżę Alfred miał się zenić. Często droga moja wiodła około Karawiki i pewnego dnia pomyślałem sobie o dziewczynie, której od niejakiego czasu nigdzie nie spotykałem. Czyżby pomarli w tej pustce?

Litością zdjęty, skręciłem z gościńca i zbliżyłem się do folwarku obrosłego jak leśniczówka i nagle natknąłem się na kogoś, co stał na drodze i mnie nie słyszał.

Obejrzał się, a jam omal nie krzyknął.

Był to hajduk Siła.

Żaden z nas się nie odezwał. Popatrzyliśmy sobie chwilę w oczy; zawróciłem i odjechałem.

Książę Leon nagle powstał, jakby ruszony sprężyną.

- Panie Grzymała, nie mów dalej. Tego słowa ostatniego oszczędź mi! Nie potrafię go znieść.

- Żebyż to było ostatnie! To tylko wstęp!

- Do czego?

- Do epilogu tych dziejów, do pieczęci zawierającej wszystkie te okropności.

- Więc cóż jeszcze być mogło nad to? Tego chyba dosyć!

- To trwało lata. Książę Alfred się ożenił, ja się wydałem, zerwały się zupełnie stosunki moje z Holszą. Niedawno, przed pół rokiem zaledwie, znalazłem się w miasteczku, w kościele, na jakieś doroczne święto z żoną. Ścisk był okropny na rynku. Wtem właśnie, gdy ludzie z mszy wychodzili, naprzeciw tłumowi wpadli hajduci na koniach, za nimi powóz, w nim książę Alfred z żoną. Ludzie się skupili, gapiąc; patrzałem i ja. Czuję, że ktoś mi dotyka ramienia i pyta szeptem: "Kto to?" Nie oglądając się ani poznając głosu, odpowiadam obojętnie: "Ano, sam książę!"

Sam się słów tych przeraziłem, taki jęk im zawtórował.

Obejrzałem się; Sumorokówna tam stała, całym ciałem naprzód podana, z obłąkanym wzrokiem. Te oczy widzę dotychczas; ten jęk dotąd słyszę.

Tłum nas rychło rozdzielił, alem ja ani dnia tego, ani następnych nie mógł znaleźć spokoju. Zrozumiałem, że dziewczynie tej odkryłem niebaczenie otchłań, że się gotuje nieszczęście. Leon oburącz głowę ścisnął i trząsł się. Czuję, że epilog się zbliżał, może przeczuwał jaki.

Grzymała otarł pot z czoła.

- Na trzeci dzień o świcie, gdym z domu wychodził, stanął przede mną książę Alfred. Był tak zmieniony i straszny, że prawie odgadł, co się stało.

Ustami, które mu odmawiały posłuszeństwa, zaczął mówić:

"Wyświadczyć mi łaskę. Znasz to jezioro w lesie, to pierwsze od... od..." nie mógł powiedzieć.

"Znam, znam!" zawołałem, nie mogąc na jego mękę patrzeć.

"Pójdź tam - zaraz... zaraz!"

"Idę," odpowiadam bez wahania, kierując się ku stajni.

Zatrzymał mnie jeszcze.

"Nic nie powiesz?" szeptem.

"Nic!"

"Słowo honoru?"

"Słowo!"

Wtedy zniknął, a ja sam sobie konia osiadałem i ruszyłem.

Znalazłem jezioro. Przypadały nad nim czarne brzydkie ptaki, kracząc. Odebrałem im żer - resztki człowieczego ciała... prawie bez formy. Nie poznałbym kto to i gdybym się spóźnił, i te resztki nie ostałyby się od kruczej biesiady. Te resztki tedy, po krótkim śledztwie oddano mogile, za płotem cmentarza... i o ten dół ostatni długom księcia prosił, i o modlitwę...

Po śmierci księcia Alfreda, gdy o niczym innym nie mówiono w okolicy, spotkałem księżęgo plenipotentę i ten mi po raz setny opowiadając wypadek, mimochodem dodał:

"Na trzy dni przed nieszczęściem kazał mi jeszcze wyciąg sprawy Sumoroków zrobić. Dałem mu ten, któryśmy z panem robili. Może chciał wyroki wypełnić. Ano, sam czas; teraz oni nawet się bronić nie mogą."

Wtedy stanęły mi jasno dzieje owych trzech dni, od chwili, gdy księżę Alfred mnie jednemu ufając, posłał nad jezioro, gdzie sam był przede mną; był, bom ślady jego widział na brzegu, aż do chwili, gdzie może tu, na tym miejscu, gdzie teraz jesteśmy, odczytał rękopis.

Zrozumiałem wypadek z kłaczą wpółdziką i takem go serdecznie z głębi duszy pożałował.

Teraz istotnie czas spełnić wyroki na Sumorokach; teraz może dobrodziejstwem dla nich będzie wyrzucenie z enklawy: da im to może śmierć i wyzwolenie! Ale też teraz niegodna księcia taka zemsta i czyn!...

Leon pozostał z czołem w dłoni, targany znowu dwoma uczuciami, człowieka i księcia.

Jako człowiek powinien był usłuchać Grzymałę, uszanować tajemnicę, ból, hańbę i te dwa groby. Jako księżę wolę swoją powinien był spełnić, od raz powziętego postanowienia i danego rozkazu nie ustąpić na jotę.

Ten ostatni dramat był cichy; o tym nie wiedział nikt oprócz Grzymały i pokojowca, a ci nie zdradzą, nie okryją wstydem kniazia zmarłego. Tamte dzieje zna świat; wobec świadków znieważył jego samego stary Sumorok: śmiał go zaczepić.

Leon wstał i rzekł nie patrząc na Grzymałę:

- Za późno posłyszałem... już poniewczasie. Przykro mi, że się rozchodzimy w zdaniu. Jako księżę na Holszy zdecydowałem, że Sumorokowie ustąpią z enklawy. Wedle mego pojęcia tak być powinno i tak będzie. Losy ich rzucone i cofnąć się nie mogę.

Grzymała zdziwiony, zawiedziony patrzył smutno na księcia. Nie obrażała go odmowa, ale bolała. Wyczerpał swe argumenta; teraz milczał.

Księżę, dotknięty tym milczeniem, wyrok swój starał się upozorować.

- Pan mówisz, że tam został niepoczytalny starzec i młodzieniec piętnem śmierci naznaczony! Tu - wskazał rękopis - były momenta, że z rodu tego zostawało ledwie niemowlę jedno, a przecie trwali dotychczas. Hydra to, pijąca naszą krew i sromotę - dodał ciszej - hydra odradzająca się wiecznie na naszą zgubę. Hydrze tej ja utnę teraz wszystkie głowy. Wydaje się to panu okrucieństwem, ale jest tylko obowiązkiem. Ci, którzy po mnie przyjdą, nie doznają i nie przeżyją tego co ja, gdym czytał te dzieje i słuchał pana.

Grzymała skłonił głowę.

- Uczyni księżę, jak zechce. Ja powiedzieć musiałem.

- Nie czynię panu wymówki. Należy się ode mnie wdzięczność, żeś wstyd ten i ohydę dla honoru naszego domu uszanował i milczał.

- Jam tego wcale nie uczynił dla honoru domu, ale dlatego, żeś księcia Alfreda żałował, a księcia uważał za przyjaciela. Zresztą cudza tajemnica nie jest nigdy naszą własnością. Przepraszam, jeśli przykrość sprawił.

- Wiedząc pobudki pańskie, postaram się o tej rozmowie zapomnieć.

Grzymała nie zrozumiał, że to łaską i względem być miało. Księżę wydał mu się dzisiaj nie znanym i obcym. Chłód go ogarnął i sztywność.

Wstał i ukłonił się niezręcznie.

- Nie będę księciu więcej czasu zabierał - rzekł nie podnosząc oczu i wyszedł prędko z pokoju.

Leon uczynił ruch, jakby go zatrzymać chciał, ale się w czas opamiętał i upadł raczej, niż siadł na fotel. Tego dnia nie przemówił do nikogo ani się poruszył z miejsca.

Grzymała wracał też do Hubina chmurny i osowiały.

Przyjechał o zmroku, przejęty chłodem, żądny spokoju i wytchnienia.

W pokoju, przy lampie, żona jego czytała.

- Skądże to wracasz? Zapewne od Suchodoliczów? - zagadnęła zamiast powitania.

- Jakich Suchodoliczów znowu?

- Jakich! Może lepiej zrozumiesz, gdy powiem: od swojej ukochanej Maryni.

- Co tobie, kobieto, za dziecinne myśli chodzą po głowie! - odparł ruszając ramionami. -

Gdzie Gabrynia?

Obejrzał się niespokojnie.

- Tak, to są dziecinne myśli, gdy widzę, żeś ty w domu gościem, że opuszczasz mnie i własne dobro dla pokątnych stosunków.

- Opamiętaj się, kobieto, i tego domu w piekło mi nie zamieniaj. Dość mam męki i zgryzoty.

- Masz, bo mieć chcesz! Bogu dzięki, że już śmierć czuję. Nie mam do ciebie żalu, żeś ją przyspieszył, i rada jestem, że na ruinę twą patrzeć nie będę, że nie zostawię sierot żebraków.

Grzymała na nią popatrzał, jak patrzy na swego prześladowcę katowany niewolnik, i milczał.

- Gdzieś był zatem? Dowiem się, czy to dla mnie może tajemnica? - ozwała się po chwili.

- Byłem w Holszy.

- Możesz prosił księcia o posadę?

- Nie. Wiesz przecie, że będąc tak zajęty, nie mogę nawet marzyć o czymś podobnym.

- Zajęty! - powtórzyła szyderczo pani. - Zdaje mi się, że od zajęcia tego chętnie uwolniłaby cię moja i twoja rodzina.

- Mówili ci?

- Nic innego nie słyszę. Ojciec mój tu był wczoraj. Powiedział, że rezultat twych trzyletnich rządów jest ten, żeś tylko zmieniał weksle. Znajduje, że taka robota niewarta kilkuset rubli, które pobierasz za administrację.

- Pobierać mam chyba, bom dotąd grosza nie wziął, dla tej prostej przyczyny, że co rok musiał jeszcze swoich dokładać. Weksli też nadpłaciłem dziesięć tysięcy rubli. Były nieurodzaje. Trzeba mieć cierpliwość. Długi się nie płacą tak prędko, jak się zaciągają.

- W każdym razie ojciec rad by zarząd objąć na siebie. Wiktor już pełnoletni. Przyjechał onegdaj do domu.

- Przyjechał? Po co?

- Przecie ma prawo do rodzinnego domu przyjechać. Może mu zabronisz, jako administrator?

- Ależ on miał zdawać egzamina!

- Nie zdał. Zostanie przy rodzicach na gospodarstwie.

- Tam do licha! Po cóż więc siedział na uniwersytecie trzy lata? Kosztowało tysiąc osiemset rubli! Wyrzucone na śmiecie pieniądze! Głupia historia!

- Naturalnie, bo stała się bez twojej porady. Radzenie każdemu, czy chce, czy nie chce, uważasz za swe powołanie i posłannictwo.

- Nie uważam, ale Wiktorowi beczynnemu w domu siedzieć nie pozwolę. Zdolny jest, a tu się zmarnuje. Zresztą, on nie da rady interesom; on stworzony na uczonego, nie na gospodarza.

- Tobie nic do tego. Wiktor ma ojca, głowę rodziny!

- Zdaje mi się, że i ty dotąd ojca uważasz za głowę rodziny! - mruknął z przekąsem.

- Zapewne, że nie ciebie. Mój drogi, straciłam dawno piękne o tobie wyobrażenie. Wiem, kim jesteś.

- Sądę, że nie będziesz tego nigdy wiedziała! - odparł mąż wstając.

Z dalszych pokoiów dolatywał słaby promyk światła. Na blask ten poszedł Grzymała i znalazł się w pokoiku Gabryni, gdzie ona pochylona nad stołem, rachowała zawzięcie, zaglądając po kolei do kilku ksiąg kasowych.

Poznawszy jego kroki, zerwała się żywo i objąwszy go ramieniem za szyję, ucałowała serdecznie, a on przycisnął ją do piersi mocno i długo, jakby uściskiem tym chciał swą gorycz utulić.

- Wróciłeś! - rzekła radośnie. - Spodziewałam się ciebie ledwie jutro, na szwedzkiej mogile.

- Tak myślałem. Spodziewałem się, że z dobrą nowiną do Michała wstąpię i że z nim jutro przyjadę.

Gabrynia podniosła głowę.

- Więc... wracasz bez dobrej nowiny? - spytała przyciszonym głosem.

- Niestety! Księżę odmówił stanowczo. Nie poznałem go. Może ludzie lepiej go zrozumieli niż my. Może on taki sam pusty, pyszny i zarozumiały jak oni wszyscy.

Gabrynia pozostała, oparta o jego ramię, w zamyśleniu patrząc przed siebie.

- A może, Jurku, on takim być musi! Może konieczności jego położenia my nie rozumiemy. Może mu dobrym być nie wolno. Nie sądźmy ludzi, ich dusz nie znając..

- Może! Mnie ta jego odmowa zabolęła okropnie. Nie zapomnę długo zawodu. Nie znałaś ty tego Lwa młodego tak, jak ja go znałem.

Gabrynia uwolniła się z jego objęcia i wróciła na swoje miejsce u stołu.

- A ty rachujesz... Cóż? Nieciekawie budżet wygląda? Strapioną masz minę!

- Zapewne! Widzę twoją pracę, oszczędność, zdolności. Znam twoje cele, myśli, uczucia. Czasem mi się zdaje, że stanowimy jedność. Czemuż się dziwisz, że stroskana? Czyś ty swobodny i wesoły?

- No, cóż robić? Ciężko, to prawda, ale przecie za lat kilka, gdy interes leśny u teściów się rozwinie, a nasza gorzelnia zacznie procentować, będzie lżej. Zagoją się rany.

- Tak, ale nie twoje serdeczne. Za twoje te nie dospane noce i siwiznę w lat trzydzieści, żebyś choć słowa uznania doznał lub sprawiedliwego sądu!

- Co tam! - Grzymała ręką machnął niby pogardliwie, a głos mu się łamał, zduszony goryczą i żalem. - Uznanie tutaj! - Ręką w pierś się uderzył. - A życie, głupstwo... Jeszcze lat kilkanaście. Odeśpię, Gabryniu, swoje noce! Bądź spokojna.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Ja tak się boję, że ci nie stanie sił i ducha! - szepnęła.

- Chyba mnie ty odstąpisz?

- Nigdy, wiesz dobrze. Ale nie o to chodzi. Ze zgrozą przeglądałam dzisiaj rachunki. Z Hubina wypłaciłeś w tym roku braciom i siostram dwa tysiące rubli więcej, niż miałeś dochodu.

- Cóż ja na to poradzę? Józef zgrał się w karty i miał się strzelać; Stefan drugi rok w klasie. Andzia musiała jechać do wód; u Kazimierzostwa spaliła się stodoła. Musiałem ratować.

- Ale czy możesz? Ratujesz pożyczką? W ten sposób oni wrócą do swych części nietkniętych, a twoja zginie.

- Cóż robić, Gabryniu! Nie mogę inaczej postąpić. Widzisz, jak pracuję; podwoiłem dochody, oszczędzamy się ile mocy! Cóżbym ja był wart, gdyby moja została nietknięta, a ich zginęły!

- U teściów twoich niesnaski. O Boże, ja, co wiem, ileś ty tam włożył starań!

- Ha, cóż robić, powiadam ci. Byle mi pozwolili jeszcze lat parę pracować. Już potem nie zginą; będę o nich spokojny.

- U Stokowskich dobrze?

- Dobrze. Te malce pociechę mi robią.

- A u stryjów?

- Tam mnie nie lubią, bo na zbytki nie pozwalam, ale przynajmniej słuchają i milczą.

Zamyślił się i po chwili rzekł:

- Wiesz, kto mi najgorzej życie truje?

Gabrynia podniosła oczy trwożna, posądzając, że biedak ten powie to, co lat kilka w bohaterskim milczeniu nawet przed nią nosił: wspomni żonę. Ale on odpowiedział:

- Chrucki Nikodem! Com ja temu człowiekowi zawinił, że mnie szkaluje; że mi każdy zamiar paraliżuje, w każdej robocie przeszkadza!

- Chrucki jest zły człowiek, a taki nie cierpi dobrego! - odparła spokojnie Gabrynia.

- A mnie się zdaje, że jego bieda i nieszczęście psuje. Żeby temu człowiekowi parę tysięcy, stanąłby na nogi, ale skąd to wziąć. Jak poradzić?

Stroskany był potrzebą tego wroga jak własną. Gabrynia spojrzała na niego serdecznie.

- Żebym ja był bogaty! - westchnął - żebym ja miał choć ze sto tysięcy, tyle, ile Holsza a Czartomel dają rocznego dochodu! Doprawdy, nie byłoby na pokaz jednego bankruta w okolicy, ani jednego głupca i próżniaka. I nie byłoby złych i zawistnych. Oni wszyscy w gruncie dobrzy, tylko ich dola zła.

- Nie gorsza od twojej - szepnęła siostra.

- Gorsza, bom ja sam, a oni dzieci mają; bom zahartowany i twardy, a oni słabi i pamiętni lepszych czasów. Im pomocy potrzeba, dźwigni, a przy tym ogniska i wzoru wyższego niż ja, marna mrówka!

W tej chwili ktoś wszedł do obok położonego pokoju, będącego gabinetem gospodarza.

- Kto tam? - zawołał Grzymała.

- To ja, panie, Kopko! - odpowiedział głos ponury.

- Wejdź tutaj i gadaj, po coś się zjawiał?

Kopko wszedł i pokłonił się.

- To niby nie mój interes, alem jak postyszał, tom pomyślał, że może się panu zda. W Czartomelskim lesie sprzedają dębinę, pod warunkiem, żeby prędko i nocą zabierać. Fura dwa złote!

- Któż to sprzedaje?

- Ano ten rządcą. Butnera holszańskiego szwagier.

- Et, bredzisz, stary! Księżę mi sam mówił, że Butner tego nowego rządcy z Czartomla jeszcze nie zna.

- Jemu trzeba tak gadać, to gada! Albo to księżę zobaczy i postyszy, jak oni się po pyskach całują i gadają do siebie po imieniu? Szwagry to, ale kradną na wspólkę, jak rodzeni bracia. Zresztą, kto tam o księcia dba! Jak ludzie przekonali się, że on gorszy osioł od tamtego nawet, to teraz go nikt i nie wspomina. Księżę to Butner! Otóż Butner ze szwagrem sprzedają dębinę. Może by pan kupił? Sprzężaj w folwarku wolny tymczasem, w mig byśmy to zwieźli do siebie, a potem grosz na grosz zarobili.

Kopko zawsze mówił "nasz" i "my", gdy szło o interes Grzymały.

- Zwariowałeś, stary! Toć to kradzież oczywista! Zamiast kupować, natychmiast zawiadomię księcia.

- Albo to panu księżę uwierzy? Powie Butnerowi. Szelma się wyłga i nowy wróg przybędzie. A dębinę kupi ktoś inny.

- Horrendum! Co się tam dzieje! Toć to ruina!

- E, nie, proszę pana. Stanie Holszy dla nich wszystkich. Te tysiące przecie nikomu z naszych dobra nie robią, idą za granicę. Toć jedno, czy do Niemiec pójdą, czy gdzieś dalej. Jedno, czy kniaź je na kochanki roztraci, czy Szwab za nie w swoim kraju drugą taką Holszę kupi.

Grzymała na ten logiczny argument nic rzec nie potrafił; Gabrynia nożem do papieru kreśliła po stole arabeski.

- Proszę pana, o drzewie tym warto pomyśleć. Żydom Butner nie sprzeda, bo ich nie cierpi, a z obywateli jeden tylko Chrucki ma ochotę, ale mu pieniędzy nikt nie pożyczczy.

- Kopko, mówiłem ci, że to złodziejstwo; po cóż znowu wracasz do tej sprawy? Powiedz lepiej, co tam u ciebie słychać?

Kopko gospodarował w majątku teścia Grzymały.

- Wszystko dobrze, tylko niechby pan przyjechał. Młody pan Wiktor zawczoraj przyjechał, a dziś już dwa cugowe sobie konie kupił i na naszym owsie postawił. Furmana też przyjął i tak się tam rozbija po dziedzińcu, jakby nas nie było. Owsa w tym roku mało.

- Dobrze, przyjadę! - posepnie mruknął Grzymała.

Kopko głowę podniósł i twarz do złego uśmiechu skrzywił. Wiadomość ostatnia sprawiała mu wielką przyjemność.

- Słyszał pan, że onegdaj w Podlipiu księżęciem spaliła się stajnia i czterdzieści sztuk stadniny? To tak księciu na pożegnanie, bo słyszę, że jedzie do Paryża po jakąś zamorską królową za żonę.

- Biedny księżę! - westchnął Grzymała.

- Co go pan ma żałować! - zajadle wybuchnął człowiek.

Gabrynia podniosła głowę i łagodny swój głos wmieszała do dysputy.

- Kopko! Żeby księżę wiedział, co się dzieją za bezceństwa i krzywdy w jego imieniu, to by każdą z nich swą Holszą zapłacił. Ale on nie wie i nie rozumie, dlatego brat mój go żałuje.

- A dlaczegoż nie wie i nie rozumie? Toć on nie dziecko, oczy ma, uszy ma, no i jakąś tam duszę ma! Niechby ze swego zamku między ludzi zstąpił, folwarki swe objechał, skarg i próśb posłuchał. Toć od niego ludzie łask nie chcą, ale sprawiedliwości.

- Mówisz, Kopko, niepojmując rzeczy. Księżę jest tu prawie obcy.

- Kiedy obcy, to po cóż on tutaj siedzi i gnębi tych, co do ziemi przyrośli? Jego wygnąć do Paryża. Powiadają, że kiedyś Sumorok spróbował, ano, znowu kniazie są...

- Są i będą, bo ich posadził Bóg!

- To chyba już diabeł, panienko!

- Dosyć tego, Kopko! - wstając zawołał Grzymała. - Nam nic do sądenia księcia. Nie będziemy za niego przed Bogiem odpowiadali. Ty wracaj do swojej roboty, a dębiny nawet przed ludźmi nie wspominaj, bo to wstyd!

Kopko wyszedł, ale nie przejednany.

Jednocześnie przed domem turkot się rozległ i głos pani piskliwy:

- Grześ, Grześ! Światła do przedpokoju! Goście, goście! Marcesiu, każ dodać coś słodkiego do kolacji. Jerzy, ktoś zajechał. Wyjdźże, ja muszę się przebrać.

- Jurku - szepnęła błagalnie Gabrynia - jeśli można, nie każ mi dzisiaj tych gości oglądać. Głowa mię bardzo boli!

- Dobrze, dobrze, już ja ich zabawię, chociaż nie pojmuję, kto by to mógł być o tej porze. Ty spocznij, moja najmilsza!

Wyszedł i starannie wszystkie drzwi za sobą pozamykał.

Bardzo mało w swym rogowym pokoiku słyszała Gabrynia głosu i ruchu z salonu. Odsunęła książki, cofnęła się poza krąg blasku lampy i oparłszy głowę o poręcz fotela, zdawała się usypiać.

Na dworze wicher wył i dzwoniły rynny uderzane nagimi gałęziami; monotennie deszcz pluskał.

W półcieniu twarz dziewczyny zamyślona, spokojna miała w sobie coś niezmiernie pięknego. Marzyła. Rzadko się jej to zdarzało. Życie całe pracowała i myślała; teraz smutek przyrody rozstroił ją, napełnił wielką żalnością.

Z natury Gabrynia była bardzo do brata podobna; tak samo ofiarna, szczerą, wesołą i drobiazgowo obowiązkową. Umiała też tak milczeć, jak on, na osobiste bóle i gorycze; umiała darowywać i przebaczać.

Tylko jako kobieta czuła subtelniej i jak kobieta nie zapominała cierpienia. Grzymała, który by przysiągł, że Gabrynię zna jak siebie, zdziwiłby się, gdyby to marzenie dziewczęcia w głowie jej i w sercu wyczytał.

Ten książę na Holszy i Czartomlu, znienawidzony, krzywdzony, wyzyskiwany z jednej strony, a sądzony jak zbrodzień z drugiej, dla niej nie był księciem i obcym: był Lwem - pierwszym i ostatnim ukochaniem na świecie.

Że był kniazem, nie pamiętała wtedy, gdy mówili do siebie: ty moja, ty mój! W lat siedemnaście, gdy się oddaje serce, to się nie oblicza, nie zastanawia, nie zdaje sprawy. Nie pamiętała, że księciem był i raz tylko to poczuła, gdy do niej list napisał - jedyny - w chwili wyjazdu.

Wtedy to zrozumienie i pojęcie otchłani ich dzielącej zapłaciła najdroższym w życiu cierpieniem, rozpaczą, serdecznym rozbiciem.

Sen się prześnił - zostało życie do przebycia. Gabrynia nie wzięła go jak mękę ani jak pokutę; wzięła je jak dzielny robotnik swe zadanie - ciężkie, ale szlachetne.

Długi czas krwawiło się jej serce na wspomnienie, na widok znajomy, na piosnki melodię. Długi czas tylko praca ją uspokajała, a w samotności i wypoczynku cierpiała nieznośnie.

W owym czasie serdeczne rozbicie spadło też na Grzymałę. Ludzie obcy, a nawet najbliżsi, nie zobaczyli tego po nim. Przez dzień jeden w pracy nie ustał; przez jedną chwilę nie okazał goryczy. Nawet ten jego śmiech dobroduszny, głośny, nieco rubaszny, brzmiał jak zwykle; nawet te jego uczciwe oczy nie śmiły się.

I oto pewnego wieczora spotkała go Gabrynia stojącego przy płocie ogrodu i wyglądającego niby na pszenne kopy na łanie.

Zawołała go - nie usłyszał; dotknęła ramienia - drgnął i obejrzał się.

Zobaczyła, że oczy miał czerwone i rysy stępiełe, bez życia i wyrazu.

To było coś niesłychanego w Grzymale.

Nie pytała go, bo zrozumiała nagle, własnym bólem na cudzy ból wrażliwa; a on zamiast się tłumaczyć, rzekł:

- Doszło mi strasznie do serca, więc się schowałem przed ludzkich oczu. Ano, głupstwo - przeszło! Nie mów nikomu, Gabryniu.

Ona serdecznie objęła go rękoma za szyję. Poczwała drugie sieroctwo, duszę bratnią i utuliła go i pocieszała.

Od tej chwili jej ból ścichł, serce przylgnęło do brata, życie znalazło cel.

Sojusz ten wypróbowały lata. Myśleli razem, pracowali razem, doszli do tego, że rozumieli się bez słów, że byli jednym prawie duchem. Sojuzsu tego nie zerwało małżeństwo Grzymały, a zaciskała każda przykrość zniesiona, podnosiła każda walka.

Rywalizowali ze sobą w pracy, w wytrwaniu i w pognębieniu ludzkich cierpień.

Kobieta była twardsza i spokojniejsza; mężczyzna miękniejszy i zapalczywszy. Zresztą mieli te same cele, ideały, nawet sympatie i antypatie.

Wielu kochało przez ten czas Gabrynię. Dawali jej świetny los, stanowisko, spokój i mniej lub więcej szczerze uczucia. Wiele razy obraziła na siebie ludzi i uczyniła sobie niechętnych; nie przyszło jej jednak na myśl odstępstwo swemu ukochaniu i bratu. Ukochanie było snem, a brat kilkakroć prosił jej, aby dla niego nie marnowała lat i szczęścia; ale ona wzgląd lat zmarnowanych zbywała pogardliwym ruchem ramion, a wzmiankę szczęścia łagodnym uśmiechem, który mówił: "Szczęście to wewnętrzna pogoda!" - i zostawała w Hubinie.

Wtem w Holszy rozegrał się dramat. Wypadek przygnał do gniazda tego, który miał nigdy nie wrócić. Zaczęli o nim szeroko ludzie mówić i wtedy wyraźnie pomyślała o nim Gabrynia. Z listu jego wyjęła jedno zdanie: "Proszę mną nie pogardzać." Niegdyś prośba ta uratowała go w jej sercu rozbitym; teraz uczyniła ją dla niego bardzo, serdecznie życzliwą.

Ten książę nie ideałem jej teraz był, ale człowiekiem biednym, chorym, samotnym i smutnym, którego ona kochała.

Gdy go zobaczyła nagle przed sobą, zrozumiała, że nie ona, lecz on głębiej cierpi; gdy posłyszała jego zdanie, uszanowała go i pożałowała może jedna na świecie. Odtąd oswoiła się z myślą o nim. Myśl smutna była i gorzka. Smutku tego nie było przyczyną poczucie, że ten ukochany nigdy jej własnym nie będzie: nie zawód uczucia, ale zawód wiary i nadziei.

Wierzyła, że ten ideał jej wielkim będzie i świetnym, a on stał się małym i pospolitym; że czynić będzie i myśleć, a on bezmyślnie używał - i był teraz ten młodzieniec tyle rokujący lalką,

próżniakiem i niewolnikiem pustych form bez treści i wartości jak ci wszyscy panicze, których niegdyś widywała w Holszy.

Gabrynia nie szalała nigdy - kochała - i teraz myśląc o tym, który ją kosztował całą młodość i osobiste szczęście, latami i pracą wyszlachetniona i dojrzała, nie bolała nad ztratą swego serca, ale nad zgubą człowieka.

Boć ten człowiek to jej Lew był, plwano na niego słusznie...

Otworzono gwałtownie drzwi. Dziewczyna podskoczyła, nagle ze swych marzeń zbudzona. Zafrasowany, gryząc wąsy i obracając w rękę jakiś papier, stał nad nią brat.

- Wiesz, kto to przyjechał?

- Może pan Michał.

- Nikodem Chrucki!

- Ten! - rzuciła krótko i pogardliwie. - Czegoż on chce? Przecie nie pieniędzy.

- A właśnie! Pomyśl no: dwie raty podatków zalegają, żona chora, on sam jak z krzyża zdjęty! Mówiłem ci. Temu człowiekowi trochę dopomóc - wypłynie! Nie pomóc - zmarnuje się... nie on jeden, ale i czworo dzieci! Nie sposób nie dopomóc.

Grzymała mówił to prędko, natarczywie, bojąc się, że siostra której bardzo słuchał, pobije go argumentami oczywistymi. Ale ona po chwili namysłu spytała tylko:

- A skądże weźmiesz pieniędzy?

- Nie trzeba. Chrucki tyle nie żąda, byłem mu weksel poręczył na trzy tysiące rubli.

- To gorzej niż gotówka! Nie wiesz, w jakie ręce i w jakim terminie ten dokument się dostanie.

- Jakżeby Chrucki słowa nie dotrzymał? Zresztą będę miał pieniądze. U teściów wpakowałem swoich półtora tysiąca, a tysiąc mam po ludziach. Sprzedadzą zboże, to oddadzą. Widzisz, żeby to nie był Chrucki, ale tego te parę tysięcy na nogi postawi. Doprawdy, nie można odmówić.

Gabrynia wstała i, oparłszy mu ręce na ramionach, popatrzyła w oczy łzawo.

- Jurek! Po co się mnie radzisz? Tyś lepszy i szlachetniejszy! Ratuj tego wroga, ratuj!

Grzymała roześmiał się uradowany. Weksel podpisał zamaszycie, ucałował siostrę.

- Zobaczysz, że to się jeszcze okaże świetnym interesem! - zawołał wychodząc.

Gabrynia uśmiechnęła się smutnie. Znała ona śmiech Grzymały i wiedziała, że człowiek ten może już teraz fatalne skutki swej ofiary przewidywał.

Nie lekkomyślny był i nie zapaleniec, rządzący się wrażeniami chwili, choć na takiego może wyglądał; ale w naturze jego była moc poświęcania bez granic, obowiązkowości posuniętej

do dziwactwa. On ludzi nie widział, nie dla nich czynił i nic od nich nie wymagał. On czynił to dla idei, dla siebie samego.

Po chwili turkot bryczki oznajmił odjazd gościa.

Pani domu czuła się urażoną, że nie został na kolacji, i bardzo kwaśna zasiadła do stołu. Naturalnie humor jej zły wylewał się zwykle na męża, który słuchał i znosił, jak ludzie bardzo dobrzy i cierpliwi znoszą dokuczanie istot słabych umysłowo lub fizycznie.

Były tam napaści na nędzę, którą tutaj cierpi, na złego kucharza i brak komfortu, na tysiące niegodnych wzmianki, domowych przykrości i plotek.

Służba, którą zmieniała co kilka miesięcy, nigdy w niczym dogodzić jej nie mogła: mąż temu był winien. Jedzenie jej nie smakowało: mąż temu był winien.

Wizyta księcia wzbudziła w niej wymagania. Wymagała gruntownej restauracji domu, nowych mebli, liberii dla służby. Groziła, że długo podobnego upokorzenia znosić nie myśli.

Wszystko to recytowała tonem powolnym a jęklwym niewinnej męczennicy na stosie.

Grzymała odpowiadał jej łagodnie i cierpliwie. Obiecywał, że uczyni, co może, by jej dogodzić; prosił, żeby się nie rozdrażniała byle czym; zdobył się nawet parę razy na uśmiech i żartobliwe słówko.

Gabrynia milczała, zdjęta dla niego bezmierną litością. Pamiętała przecie, że kobieta ta przed trzema laty ubóstwiała męża za to, że ją wyrwał spod władzy macochy i ruiny domowej, że ją, kochającą go szalenie i poniewieraną w rodzinie, osłonił, pożałował, w dom swój jako panią wprowadził.

Przeznaczeniem Grzymały snąć było za dobroć swą i ofiary brać owoce gorzkie jak piołun, twarde i ciężkie jak kamienie.

W Gabryni czasem żal i gorycz wzbierała jak morze; całą siłą woli hamowała się, by bratowej nie ubliżyć, nie dotknąć. Że w domu tym piekło nie rozpętało się zupełnie, tylko jej taktu i miary było zasługą. Bratowej imponował jej spokój i powaga daleko bardziej niż męzowska słodycz. To utrzymywało równowagę.

Do scen między mężem i żoną Gabrynia nie wtrącała nigdy słowa i teraz wstała prędko od stołu i odeszła.

Ten protest milczący działał zawsze na kapryśną kobietę.

Słyszała Gabrynia, że głos jej ucichł i potok wymowy wysechł; potem się rozkaszała, rzuciła hałaśliwie na talerz widelec i zamknęła się w swoim pokoju.

Grzymała chwilę chodził po jadalni, a potem już spokojny, tylko trochę smutniejszy przyszedł do siostry.

Usiadł w kącie, w cieniu i po chwili rzekł:

- Przeczytaj mi cokolwiek, Gabryniu! Coś ładnego, poezje może! Spać mi się jeszcze nie chce.

Złożyła swe rachunki, sięgnęła na półkę po książkę starą i wytartą, i z cicha poczęła czytać.

Światło rzucało iskierki złote na jej włosy i łamało się cieniem na pochylonych, smutnych rysach.

Na pamięć umiała ten poemat. Czytali go tyle razy o tej samej porze, gdy cisza wielka osnuwała dom uspiiony, a oni sami czuwali. Tylekroć słowa te stawały jej w myśl, gdy patrzyła na ciągle borykanie się brata.

A jednak czar tej poezji wiecznie dla nich był nowy i zawsze cudny.

Z kąta swego Grzymała zasłuchany i orzeźwiony ruchem ust powtarzał za siostrą:

Sęp usłyszał ich groźby i ślepo uwierzył,
że Beduina weźmie na pustyni jeńcem,
i w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
trzykroć czarnym owinął głowę moją wieńcem.

Zmęczone jego rysy ożywiały się, a oczy poczynąły błyszczeć:

Ja pędzę, ja nie znam trwogi
skały z drogi, sępy z drogi! -

Nie dzielili się doznany wrażeń, ale jednocześnie policzki Gabryni zabarwił rumieniec i głos brzmiał głębokim triumfem:

Teraz oczy kręgiem słońca
okręciłem koło siebie;
na ziemi i na niebie
już nie było za mną gońca.

Wkoło nich sądzono ich i krytykowano; z sobą mieli zawody i bóle; przed sobą może ruinę i rozbicie; na całym świecie nic drogiego, własnego i oni, dniem i życiem znękani i osłabli, starą książeczkę mieli tylko jako nagrodę i otuchę.

Odrywali się od rzeczywistości, zamykali myśl przed troską wczorajszą i jutrzejszą, i mieli złudzenie zwycięstwa, triumfu, spokoju tak pełne, jakby to, a nie tamto, prawdą było;

Odetchnąłem. Ku gwiazdom spoglądałem dumnie.

I wszystkie gwiazdy oczyma złotymi,
wszystkie poglądały ku mnie,

bo oprócz mnie - nie było nikogo na ziemi.

Skończyła Gabrynia i powstali razem.

Nie powiedzieli sobie nic, tylko uścisnęli się długo, serdecznie, spojrzeli sobie w oczy i rozeszli się na spoczynek znowu silni tą chwilą marzenia o zwycięstwie, zahartowani na wiele ciosów.

X

Cicho, jak tego wymagała żałoba, ale w gronie dobranym i świetnym odbył się obrzęd zaślubin księżniczki Izy. Tegoż dnia państwo młodzi odjechali w podróż poślubną.

Księżę Lew, zmęczony swymi obowiązkami, reprezentacją domu i zamętem ostatnich dni, wracając z dworca kolei pomyślał z rozkoszą, że teraz dopiero wypocznie i zabawi się wedle swego upodobania.

Rozparty w powozie, wyzierając na ulice Paryża, przechodził w myśli szereg rozkoszy, jakie mu to miasto dawało niegdyś i teraz dać znowu może. I przekonał się z bezmierną nudą, że rozkosze żyją w człowieku samym, nie w jego otoczeniu, i że mu Paryż teraz nic dać nie może, bo on w sobie do niczego już chęci nie potrafi wykrzesać.

Wtedy w całym ogromie poczuł swą ruinę, chorobę woli, śmierć moralną i, zdjęty rozpaczą, pomyślał: po co on żyć ma właściwie i co warte takie istnienie?

Głuchy gniew nim wstrząsnął i pogarda dla tego stanowiska, roli, tytułu, bunt chwilowy, który wnet pamięć dawnej krzywdy ożywił.

To jedno czuć jeszcze potrafił.

Spojrzał na ludzi zalegających ulice i zazdrościł im, że mają się do czego spieszyć - mają zapewne rodziców, rodziny, cel, pragnienia, prace, a jeśli próżniakami są, to hulają niefrasobliwie. Jemu zaś niczego się nie chciało, do nikogo i niczego nie dążył, zbrzydł sam sobie!...

W usposobieniu czarnym i gorzkim zajechał przed mieszkanie matki, by jej zdać sprawę z odjazdu nowożeńców i oddać ostatnie pożegnanie Izy, która blada i spłakana z okien wagonu prosiła go, by ręce matki ucałował i nie zapomniał o niej.

Księżna zajmowała przepyszne apartamenta i w tym przelotnym mieszkaniu miała z sobą Holszę i chłód, jakby je z sobą zabrała w największym kufrze.

Apartamenta rano jeszcze gwarne, teraz zamknięte były dla etykietalnych znajomych.

Leon zastał kółko ściśle rodzinne: wuja, bratową i ciotkę, pijących herbatę i rozstrząsających z powagą mężów stanu rzeczy mody, form, przywilejów, a komentujących złośliwie czyny i stosunki, jako też zachowanie gości weselnych, serdecznych niby przyjaciół.

Wejście jego ożywiło dysputę, i przyjęcie zastał niezwykle czułe. Wuj go pierwszy ucałował.

- Spisywałaś się przepysznie. Zawróciłaś głowy wszystkim paniom.

- Opowiedz no cokolwiek o swych sukcesach! - napadła go ciotka, wiecznie węsząca miłośćkę.

- Rada byłam z ciebie! - zakończyła matka.

Ta pochwała niesłychana mogła go uczynić dumnym, ale dojrzał ironiczny uśmiech bratowej i pohamował się. Uśmiech ten, kobiety obrażonej i mściwej, natchnął go uzasadnioną nieufnością.

Spojrzał po obecnych i zajął swe miejsce, starając się być jak wszyscy swobodnym i wesołym, lecz nie mogąc się pozbyć myśli, że grymas bratowej wróżył mu coś bardzo złego.

- Ach, jaki to piękny obrzęd ślubu! - westchnął wuj - a jak, patrząc nań, staremu ckliwo się robi! Szczęśliwi ci młodzi i wolni. Wiesz co, zazdroszczę ci, Lwie!

- Czego, wuju?

- Że stoisz teraz pierwszy na liście kandydatów do małżeństwa.

- Niestety! Żałuję, że wujowi tej prerogatywy ustąpić nie mogę, sam nie mając zamiaru z niej korzystać.

- Cette innocence! (Jakaż niewinność!) - zaśmiała się panna Lawinia.

- Cette simplicit~e! (Jakaż prostota!) - dodała księżna Idalia.

- No, no, w rodzinie możemy sobie na swobodę pozwolić. Jesteś przecie po oświadczeniach i przyjęty! - śmiał się wuj, klepiąc go poufale po ramieniu. - Nie masz się czego kryć. Partia pod każdym względem koligacji tak świetna, że zakasujesz i zaćmisz nas wszystkich.

Uśmiech bratowej stał się triumfująco złośliwym. Poczul Leon, że śliczne te rączki i główka namotały coś bardzo misternie i mocno, by go pojmać.

Matka miała też uśmiech na twarzy, ale sztuczny i niejasny, jakby za nim kryła niepewność i trwogę. Panna Lawinia, mocno zaciekawiona, przypatrywała się Leonowi.

Nie lubiła szwagierki, pięknej Idalii, a nade wszystko nie lubiła małżeństw bez miłości i skandalu. Drżała z chęci, aby Leo odmówił, dla dogodzenia jej gustom awanturniczym.

Leon przez pół już zrozumiał. Rozporządzono się nim bez wiedzy i woli, a teraz matka zawiadomiła o tym rodzinę i sprawę tę wytaczano publicznie, ufając, że on właśnie dla uniknięcia skandalu podda się i ulegnie. Ale on w tej chwili poczuł, że godzina jego odwetu przyszła i rozgoryczony poprzednimi myślami wcale o poddaniu się nie myślał. Obraza dawna i zapamiętałość rodowa zagrały w jego piersi. Aż się zdziwił, jakie tam zawrzało życie.

- Przepraszam wuja - rzekł - zachodzi tu zapewne grube nieporozumienie. Ja się nie myślę żenić ani teraz, ani kiedykolwiek! Zażartowano z wuja!

- Zażartowano! Cha! cha! Twoja matka nie żartuje nigdy, mój drogi.

- Moja matka? - tonem zdumienia powtórzył, podnosząc na nią oczy spokojne, a tak twarde, że nagle przestała się uśmiechać, zbladła i widząc, że go nie podejdzie słodyczą, przybrała zwykły ton despotycznej monarchini.

- Nie żartowałam. Twoje małżeństwo z księżniczką Caraman-Capet było rzeczą z dawna ułożoną. Teraz uczyniłam krok ostatni: życzenia nasze przełożyłam jej matce i otrzymałam pomyślną odpowiedź. Jutro masz się osobiście przedstawić. Zresztą to tylko forma, o związku tym wie cały Paryż arystokratyczny i wiedzą też u nas w kraju. Uwagi twoje są zupełnie niestosowne w tym razie.

Leon do krwi zagryzł usta, aby nie wybuchnąć. Czuł w sobie zupełnie plebejuszowski gniew i wściekłość.

- Uwagi, acz niestosowne, raczy matka przyjąć jako moje ostatnie zdanie w tej sprawie. Żałuję, że mnie o to wcześniej nie spytano. Oszczędziłoby to wielu nieprzyjemnych wyjaśnień.

- Twoje zdanie? Nie słyszałam go.

- Że się ani teraz, ani kiedykolwiek żenić nie myślę.

- Ach, fe! Postępujesz jak błazen! - fuknął wuj oburzony.

Ciotka Lawinia zacierała ręce pod stołem.

Leon wstał i zwrócił się do księcia:

- Moja matka nie żartowała zatem, ale tylko zapomniała, że wobec niej samej złożył słowo honoru pozostania w bezżeństwie. Wtedy wymagała tego ode mnie; teraz żądać nie może, bym słowu swemu nie sprostał. Postępuję, wuju, jakem obowiązany sobie i rodowi memu.

Proński i obie panie pytające oczy zwrócili na księżnę.

Ta z bladej stała się purpurową. Tak jest: zapomniała. On wtedy nie był przecie dziedzicem i być nim nie miał; czyż dbała i myślała o tym głupim epizodzie!

Wstała i ona też, i spiorunowała syna wzrokiem..

- Zapominasz i ty, że wtedy ciebie uratowała od śmieszności i hańby... od wstrętnego mezaliansu z moją pokojówką czy coś podobnego.

- Zatem matka wymówiła teraz to, czego się zobowiązała nigdy nie wymówić. Nie potrzebujemy więc bawić się w dwuznaczniki. I owszem. Pokojówce tej - jak ją matka nazywa - przysiągłem miłość i wierność. Poślubioną mi była w honorze i sumieniu. Poświęciłem matce osobiste szczęście; nie mogłem poświęcić honoru. Pokojówka ta była moją wybraną; nie posiadę jej nigdy, alem, jak wtedy matce rzekł i do niej napisał, nie posiadę nikogo. Matka tak chciała. Spełniam ściśle warunki wówczas mi naznaczone.

Teraz panna Lawinia, niezdolna się dłużej w zachwycie pohamować, przyskoczyła do niego i ścisnęła za ramię z całej mocy.

Nie zauważył tego, zanadto sobą samym zajęty.

- Ładne historie! Ładne historie! - szeptał książę Proński. - Ta pokojówka musiała być ósmym cudem świata. Że też ja jej w Holszy nie najrzałem. Mam przecie oko!

Księżna matka dumnie rzuciła głową.

- Jak śmiesz brudy swoich miłostek mieszać do tak poważnej rozmowy, w towarzystwie dam i wobec moich siwych włosów! Zapominasz, gdzie jesteś.

- Przepraszam. Matka zapomina, kim ja jestem.

- Moim synem.

- Bynajmniej. Wtedy, gdym uległ matce, przestałem być synem. Byłem długie lata obcym; teraz jestem pokornym sługą. Proszę rozporządzać moim funduszem, czasem i siłami, ale nigdy osobą. Żałuję, że wyjaśnienie to stało się koniecznym, ale... nie ja je wywołałem.

- A zatem precz, precz! Nie mam syna! Precz mi z oczu, z serca, z myśli! Precz, żebym cię więcej nigdy nie oglądała, mój wstydzie! Zemszczą się inni za mnie nad tobą.

Pyszna kobieta usunęła się na fotel.

- Zabijasz matkę! - krzyknął Proński podbiegając do siostry.

- Ah, comme vous ~etes commun! (Ach, jakież pan grubiański!) - z bezmierną pogardą syknęła bratowa.

Leon ukłonił się etykietalnie i wyszedł.

Rozumiał, że nie z pokoju wychodzi, ale ze swego świata, lecz się nad skutkami nie zastanawiał, tak był rozdrażniony i podniecony.

Na schodach już dogoniła go księżniczka Lawinia.

- Mój Boże! Jaki ty byłeś pyszny! Ja cię ubóstwiam! Teraz będziesz miał pojedynek z bratem tej potwornej Capetówny! Zaraz to się rozgłosi. Daj mi wiedzieć, gdzie nastąpi spotkanie. Tak lubię z daleka, w karecie, asystować pojedynkom. Nie zapomnij!

- Zawiadomię ciotkę - odparł.

Kareta jego stała przed bramą. Wsiadł i kazał się wieźć do hotelu.

Zdawało mu się, że cetnar mniej miał na sercu, że odmłodził, ożył.

W mieszkaniu, zaledwie po kilku godzinach samotności, spojrzął trzeźwiej przed siebie.

To, co uczynił, było monstrualną zuchwałością; prowadziło bardzo daleko w skutkach. Ni mniej, ni więcej, groziło mu to, o czym niegdyś mówił Grzymale: zostanie jednostką wykreśloną ze swego społeczeństwa, los rozbitka na bezludnej wyspie, czyli w pałacu holszańskim.

Położenie swoje jasno pojął i wszystkie nawyknięcia, pojęcia, czucia arystokraty wzдрыgnęły się zgrozą przed obrazem takiej przyszłości. Zaczynał słabnąć, zaczynał się wahać.

Godzina była późna, gdy mu oznajmiono wuja Prońskiego, i nagle, na samą myśl, że to poseł o poddanie, zaciął się na nowo. Postanowienie jego, raz powzięte, tężało w walce.

Książę krotochwilny, pozornie dobroduszny, nie napadał od razu ani bawił się w świetne frazesy.

Stanął przed nim i mrugając oczyma rzekł:

- Co? Podpiłeś na dworcu, żegnając Izę?

- Bynajmniej, wuju. Nie było nawet o tym mowy.

- Ej! przyznaj się! Przecie bez racji nie robi się awantur. Ty zwłaszcza, taki delikatny...

- Ja też miałem nie jedną, ale sto racji.

- Żadnej - aby ubliżyć matce, która pragnie tylko twego dobra.

- Ależ wuju! Matka mogła mnie spytać, czy ja pragnę takiego dobra. Powinna była podzielić się ze mną zamiarem, nie zaś rezultatem.

- Co? Nie podoba ci się ta Francuzka? Ano trudno: nieładna, trochę nawet krzywa, ale wzięcie się ma królowej i ma krewnych po wszystkich dworach Europy. Parantela, mój drogi.

- To niech ją bierze jaki parweniusz czy król bankowy. Ja nie potrzebuję łątania i cerowania swego rodu!

- Ale nie zaszkodzi dodać jeden klejnot. Po co się zżymasz, mój drogi? Przecie to nie przyjaciółka, ale żona! Ten młodzieńczy ideał...

- Wuju, zbytecznie kończyć. Rozchodzimy się nie tylko w pojęciach, ale w faktach! - przerwał gwałtownie Leon.

- Nie poznaję cię, mój drogi! - obrażony już rzekł Proński.

- Mój wuju! Zdaje mi się, że nie stworzony był na arystokratę, jakem nie był na odpowiedzialnego dziedzica rodu. Za słabym na jedno i drugie, i obowiązkami teraz zupełnie złamany. Noszę je siłą przyzwyczajenia, ale więcej już znieść nie zdołam i stanowczo się uchylam.

- Nie możesz się uchylać. Noblesse oblige (Szlachectwo zobowiązuje), i, mój drogi, los rzucony! Nie narazisz przecie matki na upokorzenie, a siebie na przegierz wobec całego świata. Zastanów się. Wiem, że po namyśle przyznasz nam słuszność.

- Nie, wuju! Ja do namysłu miałem dość czasu; pięć lat. Zresztą przyjmuję na siebie wszelką za czyn mój odpowiedzialność.

- Zwariowałaś! - wybuchnął Proński. - Więc się dotąd kochasz w jakiejś pokojówce i dla niej stawiasz na kartę wszystko?

- Wuju, pokojówką nazwała ją matka. Doprawdy, pokojówkami u niej niegodne być wszystkie nasze panie, a jam przez pięć lat nie znalazł nad nią piękniejszej... i takiej.

- Powiedźże wreszcie, gdzie się to cudo gnieździ i jak się nazywa? Twój zapał mnie się udziela.

- Panna Grzymalanka mieszka dotąd przy bracie, o trzy mile od Holszy, we własnym majątku.

- Siostra Grzymały, waszego plenipotentą! Wiem, wiem. Jego znam. Aha! to ona - ta mała, co czas jakiś była w Holszy lektorką! Aha! to wtedy... uhm! Figlarz z ciebie, Lwie! I dotąd miłość trwa? Osobliwość!

- Nie chodzi tu o moją miłość, ale o honor, wuju. Pannie Grzymalance dałem słowo, że ją poślubię. Matka wymogła na mnie zerwanie tego zobowiązania. Ale słowo moje zostało - i tego nie cofnę. Powiedziałem matce: ta lub żadna! Zgodziła się na to. Teraz musi warunek ten znosić. Mój wuju, zniosłem i znoszę stokroć więcej, i tyle mię to kosztowało, że trudno teraz ustąpić.

- Więc się mścisz nad matką?

- Nie ja... mści się los!

- Wiesz, co cię czeka? - spytał ostro ksiązę wuj.

Leon ramiona wznosił i milczał.

- Czeka cię ostracyzm i pogarda. Pojutrze nikt ci ręki nie poda, notabene, jeśli cię kula księcia Caraman-Capeta oszczędzi. Zostaniesz sam, rozumiesz, sam... cel pośmiewiska, plotek i komentarzy uwłaczających i przesadnych. Stracisz matkę, rodzinę, stosunki, znajomych, wszystko, coś dotąd posiadał. Opamiętaj się i cofnij. Do jutra sprawa ta pozostanie naszą własnością i tajemnicą. Matka na moją prośbę daruje ci i zapomni; nikt z nas ciebie nie zdradzi. Namysł się. Noc długa, a tyś nie dziecko. Dla zobowiązania się młodzieńczego nie marnuje się życia ani poświęca tyle. To śmieszne! Panna Grzymalanka pewnie dawno zapomniała o tobie i ani marzy, żebyś względem niej miał jakie obowiązki. Holsza jej się nie śni; a ty sam przecie nie wprowadzisz jej tam. To był melodram, Lwie. Dzisiaj odegrał się akt ostatni. Jutro będziesz kniazem na Holszy i zaczniesz żyć i działać zgodnie z obowiązkami swego stanu. Ja teraz odejdę. Słowa moje weź pod namysł głęboki. Ufam, że jutro wstaniesz inny, urojenia te raz na zawsze odpędzisz... Jutro o południu matka będzie oczekiwała twej odpowiedzi. Przynieś ją sam i dobrą!... No, odwagi i spokoju, Lwie! Cóż, zgoda?

- O południu będę u matki - odparł młodzian lakonicznie.

Proński ścisnął jego dłoń i wyszedł zupełnie o dobry skutek swej misji dyplomatycznej spokojny.

Tej nocy nie spała księżna matka, targana niepokojem, gniewem i rozpaczą pychy.

Chwilami tak nienawidziła tego syna, że prawie życzyła, aby wytrwał w uporze i zmarniał potem. Użyje wtedy wszystkich sił, aby mu życie zatruć, istnienie uczynić niemożliwym. Podniesie przeciw niemu wszystkie swe wpływy i stosunki: zabije go w opinii.

Potem strach własnego upokorzenia wobec książąt Caraman-Capetów ćmił wściekłość. Co za hańba być zmuszoną wyznać, że to nie ona rządzi w rodzinie, że syn jej zamiar odrzuca! Co za hańba tłumaczyć się, być ośmieszoną i lekceważoną!

Potem jaśniejsze nachodziły ją obrazy. Syn upokorzony przyjdzie, przeprosi i ulegnie, a ona triumfować będzie i w żelazne go weźmie ręce. O! zapłaci on jej za ten wieczór!

Nazajutrz wstała bardzo wcześnie i rano spędziła w nie dającym się opisać rozdrażnieniu.

Księżna Idalia złośliwymi słowy jąrzyła jej ranę. Księżniczka Lawinia za niestosowne zachowanie się otrzymała tak ciepłą uwagę, że się nie pokazywała. Z pośpiechem pakować kazała swe kufry. Z odjazdem czekała tylko rozwiązania awantury.

Około południa przyjechał książę Proński, ożywiony najlepszą myślą.

- Nie ma Lwa! Zaraz będzie. Żadnej kwestii, że ulegnie. Sprawa umorzona. Wprost stąd pojedziemy do książąt - mówił prędko, zacierając ręce i wyglądając oknem.

Potem się roześmiał cynicznie.

- Ależ bo mu siostra wykopała straszdyło! Nie dziw, że się chłopiec wzdraga. Tu trzeba ryzyka samobójcy. Księżno Idalio, wystawcie sobie ich pierwszy uścisk!

- Mój bracie! - upomniała księżna matka.

- Moja siostrze! To tak między nami. Leonowi wystawiłem ją jako hurysę!

- Zupełnie twe żarty nie na miejscu.

- Jak lewa łopata przyszłej synowej!

Śmieli się z księżną Idalią.

Wtem lokaj otworzył drzwi i oznajmił:

- Książę Leon!

Umilkli wszyscy i wlepili badawczy wzrok we wchodzącego.

Blady był, widocznie bardzo zmęczony i chory.

Uklonił się z daleka etykietalnie i pozostał z kapeluszem w ręku, nie zajmując podanego fotelu. Gdy lokaj wyszedł, zwrócił się do matki i bez żadnego wstępu sprawę zagaił.

- Z księżniczką Caraman-Capet, lub inną jaką, do woli matki, mogę się ożenić!

- A co? Nie mówiłem! - zawołał wuj, wyciągając już do niego ramiona.

Ale Leon mówił dalej, nie zważając na przerwę.

- Pierwej jednak wymagam, aby mi wolno było wrócić do kraju i tam oświadczyć się pannie Grzymalance. Skoro ona, czego jestem teraz pewien, da mi odpowiedź odmowną, wtedy może matka rozporządzać moją osobą. Proszę zatem o parotygodniową zwłokę...

Księżna matka nie wiadomo, czy słyszała koniec. Nie była zdolna do rozwagi. Porwała się z miejsca i drzwi ręką wskazując, zaczęła wołać głosem ochryłym od wściekłości:

- To twoje ostatnie słowo! A zatem masz i moje ostatnie. Wychodź z tego domu! Nie masz matki! A za tobą, jak śmiecie, wyrzucam i twoją ówczesną przysięgę. Zwalniam cię! Żeń się, z kim

chcesz... Najlepiej z rysztockową uliczką... i żyj z kim chcesz, bo dla nas jesteś umarły...
Wychodź! wychodź!

Leon hardo podniósł głowę.

- Wyjdę i nie wrócę, i przyjmuję to, co matka śmieciem nazwała, a co mnie kosztuje życie.
Żegnam państwa!...

Skłonił się i wyszedł. Teraz już się cofnąć, choćby chciał, nie może. Rozegrał ostatnią
stawkę.

Przez cały dzień nie widziano go w hotelu.

Wróciwszy tam pod wieczór, nie wiedział, gdzie ten czas przepędził. Usposobienie jego,
przeszedłszy fazy prawie bezprzytomnego wzburzenia, nienawiści, mściwości, obrazy, pogardy i
wstrętu, stanęło wreszcie na biernej martwocie.

Oczekiwał teraz pojedynku, pragnąc zginąć, i jedynym pytaniem w hotelu było: - Nie
pytało o mnie dwóch panów?

Nie. Zwykli tylko znajomi i przyjaciele rzucili karty. Patrząc na nie pomyślał z goryczą, że
będą to ostatnie.

Na progu jego apartamentów spotkał go Bernard z miną tajemniczą.

- Jest u księcia dama! - szepnęła.

Dama? Leon uczynił trzy kroki wstecz. Ta wiadomość była ostatnią kroplą przykrości.

- Co za dama? - zapytał.

- Nie znam. Mocno zawołowana. Czeka od godziny w gabinecie obok sypialni.

Nie było rady. Trzeba było rozprawić się z damą.

Nie mogąc ukryć znudzenia, książę poszedł prosto do wskazanego mu przez Bernarda
pokoju.

Dama na jego widok poderwała się z otomany i ruchem tragicznym podniosła woal.

Była to ciotka Lawinia we własnej osobie.

- Wykraść się do ciebie! - szepnęła.

- Dziękuję ciotce - odparł machinalnie, sam nie wiedząc, za co dziękuje.

- Wiesz! już awantura głośna. Miałeś świadków księcia Armanda?

- Dotąd nie byli.

- Zaraz będą. Mój drogi, jestem na twoje usługi. Co myślisz robić dalej?

- Jeżeli nie zginę w pojedynku, wyjeżdżam natychmiast.

- Do Holszy?

- Nie, do Egiptu. Niezdrów się czuję.

- A cóż z nią będzie?

- Z kim?

- Z twoją panną. Pokaż fotografię! Przecie teraz musisz się z nią ożenić... na złość tym babom!

- Ciotko! Nie mam zamiaru z nikim się żenić. Sam sobie czuję się zbyt czystym; czymże być mogę dla żony? Zresztą panny Grzymalanki nie dostanę.

- Nie dadzą rodzice? Tym lepiej: to ją wykradniesz! Ja ci dopomogę! Znam się na tym. Zobacysz, jak się to efektownie i gładkołoży. Tylko mi pozwól działać.

- Nie, ciotko! Tu nie ma nic do działania. Zresztą nie mam już żadnych pragnień. Tu chodzi o to, aby życie skończyć, nie zaczynać.

- Mon Dieu! Jak ty wzruszająco mówisz! Ona musi być śliczna. Pokaż fotografię!

- Nie posiadam, ciotko! - odparł, gawędą tą na nowo rozdrażniony i chcąc się "damy" pozbyć jak najprędzej.

Ale ona rozkoszowała się swym wybrykiem.

- Wyobraź sobie: powiedziała w domu, że jadę do modniarki; dla zmylenia śladu zmieniłam trzy dorożki; po drodze zawoalowałam się szczelnie. Ach, gdyby mnie tutaj kto zastał!...

Nie można było zgadnąć, czy bała się tego, czy pragnęła.

Leon słuchał roztargniony, wstrząsany nerwowym dreszczem.

- Każ mi dać herbaty! - rozkazała ciotka. - Tylko czy ufasz swemu służącemu? Do czego to podobne, że jestem u ciebie o tej porze!

Mogła odejść, ale się nie ruszała.

- Wiesz? Baron Amadeusz dzisiaj przyjechał dla widzenia się z siostrą. Podobno żeni się z panną Rosenberg w Wiedniu. Pewnie przyjechał po pieniądze na ekwipowanie się. Ale Idalia nie da, za wiele ją Barbini kosztuje!

Leona oblewał zimny pot. Do krwi gryzł usta, żeby nie zemdleć.

Panna Lawinia poczęła szperać po gabinecie. Rozrzuciła wszystko na biurku, obejrzała książki, fotografie, ciekawymi oczyma wierceła koperty listów, pootwierała szufladki.

To gospodarowanie w męskim mieszkaniu sprawiało jej niesłychaną przyjemność.

Była jak aktor wycofany ze sceny, dla którego każdy teatr jest źródłem tysiącznych wspomnień.

- Dokąd ciotka wyjeżdża teraz? - spytał Leon zmuszając się do uprzejmości.

- Czy ja wiem! To zależy od spotkanego w drodze towarzystwa. Jeśli to będą ludzie zabawni, pojedę razem. Mój drogi, jaki ten świat mały! Doprawdy, już nie mam gdzie się udać! Wszystko znam!

Podano herbatę. Leon jej nie tknął.

- Odwiedzę ciebie w Holszy - upewniała panna Lawinia - musisz mi przecie swój ideał pokazać. Opowiedz, jak ona wygląda? Mała pewnie i brunetka.

- Może być! - potwierdził bezmyślnie Leon.

Szczęściem panna Lawinia już inną myślą była zajęta.

- Dlaczegoż to rozeszliście się z Idalią? Flirtowaliście na zabój!

- Zdawało się ciotce.

- Doprawdy! A pamiętasz, jakieś ty jej po spacerze odpinał kamasze! Uhm! Albo to zresztą jedno! Widziałam was, o! widziałam. Cóż nie podobała się tobie? Za ostra!

- Nie pamiętam.

- Ależ chłopcze, wyglądasz zupełnie rozbity. Zaczynam myśleć, że żałujesz tej krzywej narzeczonej. Która godzina? Już tak późno! Muszę zmykać, żeby się nie skompromitować. Przeprowadź mnie. To wygląda sztywnie!

Leon, aby tylko sam pozostać, gotów był na wszelkie ofiary. Słaniając się, z zawrotem głowy odstawił "damę" do karety.

Potem znów oczekiwał księcia Armanda; oczekiwał noc całą, oczekiwał ranek.

Spóźniali się; może jeszcze na rozmyśl z jego strony rachowali. Nareszcie zjawili się około południa. Rozmówiono się w trzech słowach i natychmiast po ich odejściu Leon posłał kartkę do dwóch znajomych, prosząc o honorową usługę. Posłaniec odniósł mu list. Tych panów nie było w domu. Niczego jeszcze nie przesądając, posłał po dwóch innych: i ci byli nieobecni. Wtedy zrozumiał, że został sam zupełnie. Ścisnął głowę dłońmi i zgrzytnął zębami ze wstydu i złości. Znów usiadł i już chciał pisać, że sam o warunki się ułoży, a raczej, że wszelkie z góry przyjmuje, gdy mu oznajmiono gościa.

Był to baron Amadeusz.

- Wpadłem do Paryża przejazdem i korzystam ze sposobności, aby księcia powitać. Cóż słyhać? - zawołał swobodnie, wciskając monokl w oko i kiwając się z nogi na nogę.

- Nic tak bardzo osobliwego. Słyszałem... to jest, czy mam baronowi życzenia swe już składać? - odparł Leon siląc się na uśmiech.

- Życzenia! Dziękuję księciu! Tak, żenię się. Nawa moja ugrzęzła między Charybdą i Scyllą. Z jednej strony papa z weksłami, z drugiej córka z posagiem. Ha, wybrałem mniejsze nieszczęście! Słyszałem i ja, że księcia w tej chwili objęły także dwa wiry i że księżę wybrał mniejsze. Co prawda, narażać się na drwiny bez żadnej kompensaty brzęczącej nie warto.

- Wiry te niegodne wzmianki, baronie! - chłodno rzucił Leon.

- Spotkanie dzisiaj? - spytał baron, zaprzestając uwag i szyderstwa.

- Nie wiem. Dotąd nie mam jeszcze świadków.

- Ach, bach! Ja pierwszy służyć bym gotów.

Leon się lekko uklonił, czekając końca.

- Ale nie mam czasu! Do wieczora muszę dostać dwadzieścia tysięcy franków na zastaw fotografii panny Róży Rosenberg z podpisem: "Memu narzeczonemu na pamiątkę." Zdaje mi się, że to wyraźna gwarancja?

Leon popatrzył sekundę w twarz mówiącego brzydką, bladą, wykrzywioną grymasem złośliwej małpy. Myśl jego była wyraźną. Poznał, że jest odgadnięty i zawstydził się, że nie był do szczeru cynikiem.

Zaśmiał się bezczelnie.

- Ano, książę jest domyślny! Słyszałem, jak się przysięgano odmówić księciu rycerskiej usługi. Poczulem więc i ja krew rycerską w sobie. Postanowiłem stanąć przeciw wszystkiemu przy księciu i...

Leon przerwał, aby z jego ust podłogi nie posłyszeć. Znadto go to nerwowało.

- Dziękuję za usługę, baronie. Nawzajem bardzo mi będzie przyjemnie odwdzińczyć się i oszczędzić starania o pieniądze, służące potrzebną kwotą.

- Mille graces (Stokrotne dzięki), książę. Bez załogu fotografii panny Róży Rosenberg? Wymawiając to imię, mam wrażenie, że już kąpię się we wschodnich olejkach. Jestem tedy na usługi księcia! Kto jest z tamtej strony?

Leon wymienił świadków przeciwnika.

- Superbe! (Doskonale!) Za godzinę wrócę z odpowiedzią.

Zakręcił się na obcasie i nucąc wyszedł. Książę upadł na fotel i otarł pot z czoła. Czego nie pokrywały formy towarzyskie i jak delikatną i cienką była ta skorupka światowa! Baron Amadeusz miał opinię skończonego gentlemana, a był!... Nagle, zamiast myśl swoją dokończyć, książę się obejrzał i półgłosem szepnął:

- Żeby tu był Grzymała!

Pewien był, że ten by przy nim stanął w potrzebie, ten jeden z drugiego świata, i obcy.

Tymczasem baron, raz kupiony, okazał się wzorowym, załatwił wszelkie formalności i wrócił, zawsze nucąc i kiwając się, z oznajmieniem, że rozprawa naznaczona na rano dnia następnego i że wybrano pistolety. Znał się na rzeczy wyśmienicie. Leon słuchał go i zgadzał się na wszystko, zbyt zmęczony i osłupiały, aby jasno zdać sobie sprawę.

- To pierwszy księcia pojedynek? - zagadnął baron między dwoma kupletami.

- Pierwszy. Byłem parę razy świadkiem.

- Uhm! Cóż książę myśli robić do jutra?

- Nie myślałem o tym.

- Może pójdziemy?... - tonem i uśmiechem dopowiedział.

Leon się sekundę zawahał, potem go ogarnęła dzika trwoga przed tymi godzinami samotnej nocy i nie dająca się określić wściekłość.

- Pójdziemy! - rzekł.

I poszli.

Po nocy bezsennej i nużącej obadwaj, do trupów podobni, udali się na miejsce spotkania. Leon, zupełnie chory i wyczerpany, natężeniem woli i nerwów trzymał się na nogach i milczał; baron, ziewając, filozofował:

- Satisfakcja honorowa! Co za idiotyzm! I niech mi księżę powie, o co się właściwie bije? Myślałby kto, że to garbate straszdyło w dziurawych pantoflach będzie powodem pojedynku. Klnie ją pewnie w duchu rodzony brat! Czy się księżę jej dobrze przypatrzył?

Leon tylko lekceważąco ramiona wzniosł.

- To była nielogiczna kombinacja matrymonialna... zupełnie chybiona. Wedle mnie dwie kategorie małżeństw mają rację bytu: małżeństwo dla pozbycia się długów albo małżeństwo dla poprawienia rasy. Tamto duchowe ma pobudki, a to fizyczne. Idalia mi powiedziała, że księżę proteguje trzecie - z miłości. Wolno księciu być oryginalnym, ale ja bym pierwiej stracił swoje miliony! Byle pieniądze! Można być nawet sułtanem! Ha, byle pieniądze!

Tu westchnął i po chwili spytał:

- Co będzie, jak księżę padnie?

Z jednakowym lekceważeniem Leon ramionami wzruszył. Wstrząśnięty haniebnie moralnie i chory fizycznie, był w usposobieniu ostrzygi wyrzuconej na piasek; czuł, że zamiera.

Baron okazał się nieoszacowanym aż do końca.

Podczas spotkania nie przestał nucić i dowcipkować; księcia ustawił, dał w rękę pistolet, po strzale skonstatował zwycięstwo, opiekował się czule Leonem, którego ledwie doprowadzono do karety. Księżę Armand był lekko ranny; jakim sposobem, nie wiadomo, bo Leon wcale nie mierzył, i oprócz białawej mgły zawrotu nic przed sobą nie widział.

Za powrotem do hotelu świadek począł się niepokoić i żegnać wymawiając się interesami. Księżę, prawie nieprzytomny, napisał mu czek do banku, otrzymał ściśnięcie ręki i najmiłszy małpi grymas barona; chciał za usługi podziękować, ale tamten, wciąż nucąc, już był za drzwiami. Leon zadzwonił na Bernarda.

- Karetę na kolej. Zaraz!

- Księżę pan odjeżdża? Taki chory!

- Właśnie dlatego. Niech tu zostanie drugi lokaj i rzeczy za nami wyśle. Ty jedziesz ze mną!

Bernard wyszedł dla dania rozkazów i po chwili wrócił:

- Gdzie książę pan raczy się udać.

- Marsylia, Kair! - rzucił książę.

Znów Bernard wyszedł, gdy go dzwonek na powrót przywołał.

Książę leżał na otomanie śmiertelnie blady.

- Pomyliłem się - rzekł cicho. - Pojedziemy do Holszy. Spiesz się!.nv

XI

Hrabina Iza Maszkowska, jak marzenie piękna w rannym negliżu, wstała dnia tego i dotąd trwała w wielce ożywionym usposobieniu. Dla męża zdobyła się na słodki uśmiech, teści pomagała w jakiejś robótce. Widać było, że pragnie ich łaski zaskarbić, że ma ich prosić o coś ważnego. Przy śniadaniu z niepokoju i niecierpliwości nic jeść nie mogła; drżącym głosem zagaiła sprawę z mężem.

- Leon od miesiąca jest w Holszy...

- Słyszałem - lakonicznie odparł Maszkowski, wyglądając oknem, skąd widać było plac, gdzie trenowano jego wyścigowce.

- Chory podobno! - dodała Iza.

- A tak, nie wygląda na długowiecznego!

- Bardzo bym chciała go odwiedzić.

- Jakimi końmi?

- Jakimi hrabia zechce! - odparła radośnie, że nie stawia żadnej opozycji.

Ale Maszkowski skombinował poniewczasie propozycję żony, przestał przypatrywać się galopującemu dżokejowi i zamyślił się.

- To nie wypada! - rzekł wreszcie.

- Dlaczego? Hrabia mi nie zechce może dzisiaj towarzyszyć; w takim razie wybierzemy inny dzień.

- Nikt nie bywa teraz w Holszy po awanturze paryskiej. Książę Proński nawet nie zechciał do Czartomla sprzedać byka; sam mi to opowiadał. Zerwali wszyscy z Leonem.

- Ale ja zrywać nie chcę, tym bardziej, że on chory! - zawołała prawie z płaczem.

- To jakże to urządzić? - frasobliwie odparł Maszkowski, który nie umiał być stałym, nie czując oparcia, a owszem, prośbę. - Mówię ci, hrabino, narazisz siebie i mnie na ludzkie sądy. Ja sam bardzo lubię Lwa, ale cóż! Diabli mu nadali tak się haniebnie skompromitować.

- Mój synu! - grobowym głosem odezwała się stara hrabina - wyrażasz się niegrzecznie.

- Doprawdy! Pewnie palnąłem głupstwo! Daruje matka.

- Ależ hrabio! - żywo wtrąciła Iza. - Czyż to kompromitacja, że Leon usłuchał głosu serca? Czy jego wina, że nie pokochał równej urodzeniem?

- Niech by sobie kochał. To się każdemu trafia. Ja sam na zabój kochałem się w córce łowczego, a przecie ożeniłem się wedle wymagań swego stanu. Stan, hrabino, trzeba szanować; inaczej pada się na cztery nogi i kark kręci.

- Przecie Leon nie żeni się z nikim.

- Kto wie, co on ma w głowie! A potem powiedzą wszystkie stare maskary, że to Maszkowscy dopomogli do mezaliansu.

- Hrabio! - upominała Iza, przerażona swobodą jego mowy wobec matki.

- Palnąłem znowu głupstwo! Bardzo być może. Nie mogę znieść dysput, bo to zawsze do głupstwa doprowadza. Niech hrabina czyni, co chce. Hrabina jest mi żoną z imienia... No, to i ja do spraw hrabiny nie będę się mieszał.

Na to nagłe, publiczne oskarżenie Iza splonęła szkarłatem i zalała się łzami, a hrabina stara ozwała się tonem prokuratora:

- Co rozumiesz przez to, mój synu?

- Rozumiem, co jest. Hrabina nie raczy nigdy wstąpić do stajni, jaby to był brudny chlew; nie raczy dotknąć konia, jakby wszystkie były nosate. Ja jej nie zajmuję wcale.

Łzy Izy oschły nagle, a hrabina-matka usiadła na powrót w fotelu. Maszkowski, nadaśany i widocznie urażony na honorze, z całym przejęciem łączył siebie ze swoją stajnią.

- Ależ hrabio - porwała się z miejsca młoda kobieta - myślałam, że moje nieuctwo w tej kwestii będzie ciebie gniewało i dlatego nie narzucałam się dotąd. Od dziś gotowam zacząć naukę.

- Zapewne, że im wcześniej, tym lepiej! - ujęty, mruknął Maszkowski.

- Chodźmy zatem do stajen - ofiarowała się chętnie i wesoło, chociaż łez jeszcze miała pełne oczy.

Stajnie w Zabuzu podobne były do pałacu, a pałac do stajni. Często interesanci popełniali pomyłki i zachodzili do koni. Cel ich jednak był zawsze osiągnięty, bo hrabia dni całe tam spędzał, chodząc od klatki do klatki, faworyty swe pieszcząc lub lecząc na przemian i rozprawiając z koniuszym i dżokejami.

Iza raz pierwszy tam wstąpiła. Na uświetnienie tej uroczystości Maszkowski kazał dać sto i jeden strzałów z bata i wyprowadzić po kolei wszystkie konie.

Ogłoszona pukiem z batów i tysiącem nazw angielskich, straciwszy wątek genealogii tych wszystkich gniadych, karych i siwych olbrzymów, Iza słuchała jednak cierpliwie, mając jeden cel na myśli, i okazywała nadzwyczajne zajęcie sportem.

Maszkowski był rozpromieniony.

Na zakończenie kazał wyprowadzić dwa szwedzkie bieguny, brzydkie z pozoru i dzikie.

- To, hrabino, konie, które ścigają się z parą. Półtorej minuty wiorsta. Słowo daję.

- Nie może być! - zawołała z powątpiewaniem.

- Jak to, nie może być? To fakt! Mogę się z hrabiną założyć sto przeciw jednemu!

- Założmy się, hrabio! I owszem! - zaśmiała się radośnie. - Możemy przecie zakład natychmiast rozegrać.

- Pyszna myśl! Hrabina się ubierze, a ja każę zaprzęgać. Spróbujemy szwedek!

Iza poskoczyła do domu, aby zmienić ubranie, i po chwili zeszła z ganku gotowa do drogi. Maszkowski sam powoził malutkim koczkiem. Za bramą odebrała mu cugle z rąk.

- Może one tylko hrabiego słuchają? - rzekła uśmiechając się figlarnie.

Koniki rzeczywiście szły jak wiatr.

Maszkowski, zajęty admiracją ich biegu, liczeniem wiorstowych słupów i sprawdzaniem zegarka, nie zwracał uwagi, dokąd jadą.

Dopiero gdy wpadli na jakiś ohydny bruk, oczy podniósł i poznał, że była to Holsza.

- A co, hrabino! - zawołał triumfująco - jedziemy wiorst piętnaście, dwadzieścia siedem minut. Wygrałem zakład! A teraz dosyć. Niech te latawce odpoczną!

- Nie wygrał hrabia, bo wedle umowy kurs powinien trwać dwadzieścia dwie i pół minuty. Ale będę wspaniałomyślna i daruję hrabiemu te minuty. Biedne koniki! Trzeba im spocząć. Chwała Bogu, że do gościnnego żłobu im nie daleko.

I nim on miał czas na rozmyśl i protest, zwróciła na stronę, barierami od przepaści odgradzoną drogą do ruin i pałacu, i by uwagę jego zająć, szczebiotała o koniach, pytała o nazwy i parantele, prosiła, by ją sekretów wyścigowych nauczył.

Rozpromieniony był i po raz pierwszy zakochany w żonie.

Ona, rozmawiając, machinalnie rozglądała się po otoczeniu. Wiosna oplotła ruiny szatą puszystą krzewów i traw; bujały po szkarpach wczesne kwiaty; ze szczelin zbiegały w dół warkocze chmielu i jeżyn kołających; widok na miasteczko czerwono kryte; sadami podszyte były ściany; w górę, oprócz ruin, nic jeszcze widać nie było. A wtem wyjechali spod krużganka i pałac ukazał się oczom Izy.

Nie było nigdzie ruchu ani człowieka. Zatrwożyła się, że brata nie zastanie; ale chorągiew była na wieżycy - znak obecności pana; tylko i ta chorągiew wyglądała smutna, ku ziemi zwieszona, nie łechtana wiatrem, jakby senna...

Dopiero na turkot powozu ludzie zaczęli się pokazywać ze wszech stron i oczy Izy zajaśniały na widok dobrze sobie znanej, złocisto-białej liberii.

- Księżę w domu? - spytała Siły, który jej wysiadać pomagał, a potem do kolan się pochylił.

- W domu, jasna pani.

- Zdrow?

- Nie leży, ale nie bardzo zdrow! - frasobliwie odparł wierny sługa.

Zwróciła się ku mężowi, ale Maszkowski nadbiegłemu masztalerzowi tłumaczył długo i szeroko, jak ma szwedki pielęgnować, więc niecierpliwa, zawołała do Siły:

- Prowadź mię do księcia!

Lokaj ruszył przodem, ona za nim przez ogromne puste salony, z których nawet wiosna nie potrafiła wygnać chłodu i sztywności. Widocznie nikt w nich nie mieszkał. Izie, która je pamiętała pełne gości i głosów, ścisnęło się serce smutkiem.

W gabinecie tureckim znalazła nareszcie brata. Siedział i czytał tak zatopiony w książce, a smotnością uśpiony, że głosu lokaja nie zauważył i dopiero gdy Iza się pochyliła nad nim, drgnął nerwowo i, oczom nie wierząc, wpatrywał się w nią w milczeniu.

Bardzo był mizerny, a tak blady, że wszystkie żyłki znać było na skroniach i czole. W oczach palił mu się nieprzyjemny ogień.

- Przyjechaliśmy cię odwiedzić, Leonie! - rzekła Iza dotykając jego czoła ustami.

Wówczas dopiero oprzytomniał, rzucił książkę, podał jej obie dłonie.

- Serdeczne dzięki. Dawno bym już był w Zabuzu, ale nie chciałem się okazać natrętnym. Ślicznie wyglądasz, Izo. A hrabia gdzie?

- Hrabia został za mną. Ale ty, bracie, bardzo źle wyglądasz. Czy się leczysz?

- A na co? Nic mi nie jest. Naderwane mam nerwy, a na to nie ma lekarstwa. Ale proszę cię, Izo, daruj, zem cię na progu nie przyjął. Przejdziemy do salonu. Tutaj dym tytoniowy będzie ci przykrym.

W salonie przyłączył się do nich Maszkowski i przywitał szwagra opowieścią cnót szwedek. Potem dopiero przyjrzał się księciu.

- Ale zeszkapiałeś, Lwie! - oświadczył szczerze.

- Starość! - z bladym uśmiechem odrzekł gospodarz.

- Nie starość, ale romanse - po swojemu ze śmiechem szerokim poprawił Maszkowski. - Cóż matka? Larum podniosła! Podziwiam twoją odwagę. Ja bym za cenę Holszy nie zaczepił żadnej matrony, a szczególnie waszej matki!

Leon poczerwieniał nagle i sekundę milczał. Chciał się po dawnemu otoczyć nieprzystępnością, ale zrozumiał, że nie wolno mu chłodem i skrytością odpłacać tym jedynym ludziom, którzy go odwiedzili wbrew całemu światu, co wedle pojęć ich sfery równało się bohaterstwu.

- Nie mogłem postąpić inaczej - odparł. - Chociaż pewien jestem, że matka mniej miała przykrości w tej sprawie niż ja. Stało się jednak i nie da się cofnąć spełnionego.

- Ech! Gdybyś się przed matką upokorzył - zaczął Maszkowski pojednawczo - to by się wszystko wygładziło.

- Nie, hrabio. Com stracił, nie odzyszczę tym kosztem. Po co próbować? Ludzie przyjęliby mnie znowu do siebie i miałbym znowu przyjaciół. Nie zatarłbym jednak w pamięci faktu, zem ich

nie miał przez tyle miesięcy, dlatego tylko, że swój honor uszanował. Nie cenilibym ich po tej próbie. Za waszą łaskę nad wyraz jestem wdzięczny; tego także w pamięci nie zatnę.

- Et! jaka tam łaska! - machnął ręką Maszkowski. - Nie ukamienują nas za tę bytność. Matka pisała wprowadzić do Izy, żeby się nie ośmieliła bywać w Holszy; ale co mi tam matka, kiedy siedzi aż w Paryżu!

Maszkowski w ferworze zapomniał nawet tytułować żony hrabiną, co przecie było obowiązującym.

- Już od dawna chciałam cię zobaczyć i powiedzieć, że ja... że ja... z tobą! - jękając się ze wzruszenia szepnęła Iza.

Leon dłoń jej w milczeniu ucałował.

Maszkowski pierwszy raz w Holszy nie czuł się skrępowanym. Nabierał coraz więcej śmiałości.

- Musi być diablo piękna ta panna Grzymalanka - zawołał - jeżeli ci tak głęboko siedzi w głowie.

Leon zowu poczerwieniał i chciał umilknąć, urażony w swym pojęciu delikatności, ale spojrzał na Izę, która go wzrokiem błagała o względnosć dla męża, i odparł spokojnie:

- Zdawało mi się, że bywałeś u Grzymały?

- Bywałem, ale w stajni. Nie wiesz, czy ma dotąd swoje taranty?

- Od powrotu nie widziałem się z nim wcale.

- Co to za konie! Takie same plamki, równy wzrost, formy, charakter! Bliźnięta chyba! Ty byś mógł je dla mnie dostać. Wiesz, o cenę mi nie chodzi. Wariuję za tym szkapami!

- Jeżeli spotkam Grzymałę, wspomnę.

- Dziękuję ci. Podobno w twoich dobrach dzieją się straszne nieporządki?

- Nie wiem. Dawnom w to nie wglądał. Nie sądzę jednak, żeby się działo coś groźnego; rządcą by mi doniósł.

- Ten twój rządcą to oberwaniec z szubienicy. On krzyżuje, słyszę perszerony z anglikami!

- Bardzo być może, ale nie specjalista! - obojętnie odparł Leon.

- Słyszałeś, że Idalia idzie za mąż? - spytała Iza.

- Czytałem w gazetach.

- A! Strzeliło babie do głowy! - mruknął Maszkowski znudzony długim siedzeniem.

Iza spostrzegła jego niecierpliwość.

- Spieszno ci do domu, hrabio? - spytała.

- Uhm! trzy klacze mam chore!

- A ja bym tak chciała jeszcze z Leonem pozostać? - szepnęła patrząc błagalnie to na jednego, to na drugiego.

Księżę zwrócił się do szwagra.

- Jeżeli hrabia nie ma nic przeciw temu, to holszańskie konie służyć będą Izie z powrotem.

- Dobre konie... trochę stare! - mruknął.

- Wozili mnie często! Proszę, hrabio, zostaw mnie tutaj. Odwiezie mnie Lew do Zabuża.

- Byle nie późno, bo tam matka zagryzie mnie z niepokoju, a potem te dzieci i chorzy, i wieczorne pacierze. Cały ten kram gotów mi spaść na głowę.

- Nie, hrabio, stanę na czas, na obiad!

Podeszła do niego i tak słodko spojrzała w oczy, że się Maszkowski zmieszał, poczerwieniał, obejrzał na prawo i lewo, a potem niezgrabnie pochylił się do niej i pocałował w samo ucho.

- Księżę daruje! - zaśmiał się - matka nie pozwala nam się całować w salonie. Dowodzi, że to nie wypada. A ja znajduję, że to głupie i basta!

Leon milczał i bardzo był blady. Może pomyślał, że i od pocałunku takiego jest wydziedziczony.

Po chwili sami zostali z Izą i byli zakłopotani. Między nimi nie było nigdy bratniego stosunku i zaufania, nie było prawie znajomości. Ale Iza miała serce kobiece, czułe, pełne przeczuć i delikatności, może pełne smutnego doświadczenia i tak chętne, by ból cudzy odczuć i wysłuchać. Ona czuła, że człowieka tego zjada milczenie i skrytość, że mu lżej będzie, gdy skorupę swych nawyknień odrzuci i człowiekiem będzie. Nie gwałciła zaufania. Usiadła blisko niego i zaczęła pytać, co czyta? Co czynić zamierza? Czy nie myśli podróżować? Wnikała powoli w jego duszę. Głosem swym i obojętnym podmiotem starała się go uspokoić, natchnąć wiarą. Potem zaczęła mu opowiadać o sobie, o dzieciństwie, o naukach, o pierwszych wrażeniach światowych. Marzycielką była, entuzjastką, kochała wszystkich, wierzyła każdemu, roiła cuda.

Tu przechyliła się ku niemu i pieszczotliwie dotykając śliczną główką jego twarzy, mówiła z pewnym wahaniem i wdzięczną nieśmiałością:

- Ciebie kochałam najwięcej z całej rodziny. Kochałam, choć nie znałam, a teraz Kocham, bo znam.. Takiś mi był szlachetny, Lwie!

Księżę rączkę jej wziął i w milczeniu ucałował. Ośmielona tym triumfem zajrzała mu w twarz oczyma pełnymi serdecznych łez.

- Marzyłam zawsze, że się kiedyś zrozumiemy i będziemy dla siebie prawdziwie rodzeństwem.

Leon jej przerwał:

- Izo, a jednak ja byłem złym bratem! Wtedy, gdyś się wzdragała iść za męża, powinienem był cię obronić. Byłem nikczemny tchórz!

- Ja też wtedy trochę miałam żalu do ciebie, ale krótko. Jakem się rozejrzała po świecie i ludziach, tom zrozumiała, że hrabia uchronił mnie od stokroć gorszego losu. Szczęścia nie ma nigdzie, a mogłam tak trafić, że nawet nie mogłabym uczynić nic drugim dobrego. Może najlepiej się stało, Lwie. Teraz już spokojnam.

Umilkła, wrażeniem swym przejęta, a książę oczy na nią wznioł i słuchał jak bajki... To stworzenie takie śliczne, takie słodkie i miłe, wzrosło w tej ponurej Holszy, pod ręką matki despotki obcował on z nią i nie znał, i trzeba było obojga nieszczęść, aby zbliżyć i porozumieć tych najbliższych więzami krwi, a może i duszą... Doznawał teraz wrażenia łagodnego ukojenia i serdeczności, a zarazem wyrzutów, że gdyby on był wtedy dla niej, jak teraz dla siebie, stałym, nie płakałyby te śliczne oczy, nie drżałby srebrny głos. Zgodą swoją na wolę matki uszanował formę, poświęcił treść swych obowiązków.

- Izo - rzekł serdecznie - w każdym razie jam winien i bardzo bym się czuł szczęśliwy, mogąc ci kiedy zrobić przyjemność.

- Możesz! - szepnęła, coraz więcej nabierając ducha. - Uważaj mnie za siostrę, za rodzoną duszę!

Leon powstał i kolano zgiął przed nią.

- Dziękuję ci, Izo! - szepnął wzruszony.

Objęła go rękami za szyję i uściśnęła. Umilkli, jakby onieśmieleni uroczystością tej chwili. Może długoletnie nawyknięcie do ukrywania uczuć i myśli jeszcze ich hamowało. Iza zaczęła pierwsza:

- W tej sali chłodno i smutno. W Zabuzu nawykłam do ruchu i powietrza. Wyjdźmy, Lwie. Czy wiesz, że mając te ruiny tyle lat przed oczyma, nigdy na nich nie byłam. Zapewne i ty ich nie znasz. Pójdziemy badać nieznanne kraje!

Odwrócił się szybko po jej kapelusze i nic nie odparł. Wyszli na słońce wiosennego południa i rozmawiając coraz swobodniej, zagłębili się między zwałiska. Ptaszki porywały im się spod nóg, z gniazd między krzakami i trawą wewnętrznych dziedzińców. Iza ciekawie zaglądała po kątach, pytała brata o znaczenie kurytarzy i sklepień, szukała po murach napisów i śladów kul.

- Widok z góry musi być przepyszny, ale wejście zbyt strome. Wyglądamy wśród tych ścian jak mysz na dnie studni.

- Jeżeli nie boisz się przepaści, możemy dotrzeć znacznej wysokości: strażniczego pod bramą krużganka, ale schody są bardzo wąskie i bez poręczy.

- Utrzymasz mnie w razie upadku! - zawołała wesoło.

- A więc chodź ze mną i nie patrz w dół, aby nie dostać zawrotu głowy.

Przedarł się przez gąszcz i wprowadził Izę uważnie po wąziutkich, w kamieniu kutyh schodkach.

- Leonie, ostrożnie! - zawołała. - Nie mogę patrzeć, jak ty stoisz nad otchłanią.

On zadrżał. Zdało mu się, że to ktoś inny wymawia te słowa. Niegdyś na tym miejscu ten ktoś równie trwożnie prosił go, by się usunął od otchłani. Zaciął wargi nerwowo i nic nie odrzekł.

Stanęli na krużganku. Iza oparła się o balustradę kamienną i zachwycała widokiem; on usiadł na kamieniu i o ścianę oparty cierpiał. Obejrzała się, zdziwiona jego milczeniem; zdziwiona jeszcze bardziej wyrazem jego twarzy umilkła i zajęła miejsce obok niego.

- Ale ty znasz te ruiny! - odezwała się umyślnie wesoło, żeby go rozerwać. - Widzę, że dla ciebie nie była to eksploracyjna podróż!

- Znam! - odparł głosem jakby sennym, oczu od jednego punktu nie odrywając - tylko bardzo dawno już tutaj nie byłem.

Jakby nagłą myślą wstrząśnięty, wstał i podszedł do jednej z nisz ściany, pilnie się czemuś przypatrując. Iza spojrzała przez jego ramię i przeczytała na jednej z cegieł ostrym narzędziem wycięte dwie litery L. i G., potem rok i datę. Nie zrobiła żadnej uwagi i nawet nie okazała, że widziała ale on się na nią obejrzał i rzekł:

- Nie byłem tutaj... od tego dnia!

- Możem ci przykrość zrobić moim żądaniem. Zejdźmy!

- Nie, Izo! Z tobą jest mi tu dobrze!

Urwał i po chwili wahania mówił dalej:

- Czytałem gdzieś, kiedyś, że dzieciom chińskim wpajają od kolebki jedną zasadę: "Skurcz serce". Bardzo niedawno przypomniałem to sobie. Jakie to dalekie w tegoczesnych pojęciach, a jakie nam bliskie i wkorzenione!

- Wkorzenione, bo spełniane bezmyślnie. Gdy się zdaje sprawę, nałóg jest bliskim upadku - odparła poważnie.

- Wątpię, Izo. Drzewo się szczepi za młodu i takim już pozostaje.

- Byłoby to rzeczą bardzo smutną, Lwie, w zastosowaniu do człowieka.

- Myślenie jest zawsze smutne, Izo.

- Ale bez myślenia nie byłoby postępu. Ty, Lwie, jesteś tego dowodem. Ty pójdziesz naprzód.

- O nie! - zaprzeczył stanowczo.

- Owszem. Tylko nie zaraz. Teraz przetrawiasz się i myślisz. Jesteś znękanym i wyrzuconym gwałtownie z kolei; to ci odbiera siłę, zużywa energię. Gdybyś nie kochał, a raczej gdybyś kochał

źle, to byś się zmarnował. Ale jestem pewna, że kochasz szlachetnie i aby tego ludziom dowieść, zaczniesz czynić, aby ich zmusić do szacunku, aby im okazać, że ty sam jesteś swoim panem i królem.

- Izo, kto ciebie tego nauczył? - spytał zdziwiony.

- Myślenie, Lwie! - odrzekła z uśmiechem. - Marzenia moje pochowałam i uczułam się taką nędzną, słabą, marną, nie wiedzącą, co czynić z życiem. Wstręt instynktowny miałam do beczynnego i bezmyślnego używania. Zaczęłam myśleć i wiele rzeczy stało mi się jasnymi. Nie wiem, czym jest takie szczęście, jakie mi się dawniej śniło, ale chyba nie większe od zwycięstwa nad sobą i od spokoju duszy, gdy się uczyni coś dobrego.

- Zazdroszczę ci zatem, Izo. Ja zupełnie jestem do wszelkiej pracy i czynu niezdolny. Byłem zapewne słabszy od ciebie. Nie ma we mnie materiału.

- Dlaczegoż zatem oparłeś się matce? Żebyś siły nie miał, płynąłbyś z prądem.

- Ja sam się sobie dziwię. Uległem nie sile woli, aale chwilowemu rozdrażnieniu i gorączce.

- Więc żeby to, coś przeszedł, snem było - postąpiłbyś inaczej na jawie?

Zamyślił się.

- Może być, Izo! - rzekł niepewnym głosem.

Pochyliła się ku niemu i z uśmiechem szepnęła:

- Skurcz serce!

Poczerwieniał jak złapany złodziej.

- Wiem, o czym myślisz, Izo! Nie, to jest widmem, w które czasem się wpatruję jak lunatyk. Nawet i szczęścia nie chcę teraz! Niczego, niczego!

- Zechcesz gdy wrócisz do równowagi po doznanych wrażeniach.

Już nie chciał się z nią spierać i tylko głową potrząsnął.

Wsunęła się przed słońcem w cień muru i opierając głowę na jego ramieniu nieśmiało szepnęła:

- Lwie, nie przykra ci będzie moja prośba?

- Żadna, Izo! Od dzisiaj masz prawo nade mną.

- To mi powiedz... jaka... ona? - wyszeptała ledwie dosłyszalnym tchnieniem.

Umyślnie nie patrzyła na niego i nie nalegała więcej, gdy długo milczał. Może "skurczy serce". Ale on już był oczarowany jej słodyczą i sercem, i nie mógłby jej nic odmówić, i zapominając, że kochanie swoje nazwał widmem, zaczął mówić o nim jak o czymś żywym, bolącym, przenikającym jego istnienie.

Wyznanie przychodziło mu nadzwyczaj trudno z początku; potem, zerwawszy przymus długoletni, płynęło jak świeża krew z rany wiecznie żywej. Iza słuchała go ze współczuciem i litością, nie przerywając, i tylko gdy głos mu się łamał, całowała go serdecznie.

Teraz rozumiała go i poznała. Kochał subtelnie, po kobiecemu, a dziewczyna wybrana musiała być nad wyraz piękna i nad wyraz delikatna, jeśli jego wyrafinowanych wymagań nie uraziła niczym, jeżeli potrafiła zachować swój obraz w jego duszy dotychczas nietknięty i czysty. I zrozumiała też Iza, że wdanie się matki, despotyczne i bezwzględne, upokorzyło go w dumie i godności, uczyniło kochanie to już nie tylko potrzebą młodego serca, ale obowiązkiem honoru. Bezwiednie już teraz trzymał się go zawzięcie i to jedno już tylko żyło w nim. Nie darował matce jej postępu, ale i sobie nie darował słabości ówczesnej; czuł się związanym, ale nie był dość silny, aby zobowiązania tego dotrzymać kosztem wszystkich pojęć arystokraty. Dotrzymywał słowa: nie chciał żadnej kobiety innej w Holszy, ale sięgnąć po tę jedną, wybraną, wzdragał się i nie śmiał.

Iza pojęła, że chyba go zmuszą okoliczności: inaczej sam siebie nie zwycięży. Jakoż nie mówił nic o przyszłości, nie miał żadnych celów i zamiarów; jak starzec żył tylko wspomnieniem i opowiadał jej dzieje kilku miesięcy z drobiazgową dokładnością, jakby to było jego całe życie, a przedtem i potem nic już nie było godnego wzmianki i pamięci.

Niepostrzeżenie płynęły godziny i dopiero głos dzwonu, wzywający na nieszpory do kaplicy, przepomniał im czas odwrotu.

Leon umilkł, nagle przerażony swą otwartością, lękliwie spojrzął na siostrę. Uścisnęła go długo i serdecznie.

- Dajeś mi skarby swą wiarą, Lwie. Nie odbierzesz ich; pozwolisz mi zawsze czuć i cierpieć z tobą - poprosiła jak o łaskę.

- Kocham cię, Izo, i tylko żałuję, że cię poznałem tak późno!

Zeszli z ruin i jakby czas prysnął, mówili już o rzeczach potocznych, ale pełni wewnętrznego wesela z tego bratniego związku, patrząc na siebie już jak starzy, dawni przyjaciele.

Podano przekąskę - i pierwsza czerwień zachodu objęła niebiosy, gdy Leon wsadził siostrę do powozu i sam się koło niej umieścił.

Jechali, żalem zdjęci, że tak prędko się rozstaną. Na granicy Zabuża, w przejeździe przez jakąś wieś, Iza się ożywiła.

- Uważasz tutaj coś szczególnego? - spytała brata.

Obejrzał się i zaprzeczył.

- To moja wieś! - odparła z pewną dumą - pokaż mi tutaj jednego bosego.

- Bosego? - powtórzył zdziwiony.

- A tak. Wiesz, jakem tu przyjechała, to była pierwsza rzecz, com spostrzegła. Boso chodzili, przeważnie kobiety i dzieci, po śniegu i lodzie. To było coś okropnego! A teraz patrz, wszyscy mają trzewiki i buty.

- Jakeś to uczyniła? - spytał z zajęciem.

- Dawałam każdemu spotkanemu boso nowe obuwie. Wzięłam za zwyczaj jeden dzień w tygodniu poświęcać wsiom po kolei. Ty ich za wiele masz i nie mógłbyś tego uczynić; ja teraz znam wszystkie i nawet niektórych ludzi znam po imieniu. Z początku bardzo mi było przykro i trudno ich przekonać, ale teraz, patrz, wszyscy obuci! Nawet tacy!

Powiedziała to z triumfem, pokazując małego chłopczykę, który wybiegł zwabiony turkotem na środek ulicy i odkrywszy Inianą główkę patrzył to na panią swoją, to na swoje buty, dwa te przedmioty ściśle z sobą łącząc w pojęciu.

- Co za pomysł - rzekł Leon, przypatrując się raz pierwszy w życiu spotkanym chłopom.

Rzeczywiście nikt nie był boso, a każdy na widok hrabiny kłaniał się do ziemi, pozdrawiając śmiało i wesoło, jak osobę dobrze znajomą i drogą.

- Jakie to wszystko brudne! - ze wstrętem zauważył książe.

- O, bardzo proszę! - zawołała Iza tonem osobistej urazy. - U ciebie, w Holszy, daleko brudniej.

- Może? Nie porównywałem! - odparł ubawiony jej żywością.

- U ciebie nawet brudniej niż w Czorbowcu. Doprawdy, to dziwne: wuj taki praktyczny, a kuzynki oddane zabawom i strojom. Zachęcałam je, żeby zajrzały do dworców i chat, ale mnie wyśmiały! - zakończyła smutno.

- Patrz, Izo: oto masz jednego bosego!

- Stój! - krzyknęła hrabina do stangreta, i wychylając się z powozu, zawołała obdartego wędrowca, który z węzełkiem na plecach szedł skrajem drogi.

Zagadnięty stanął i dziwnie ponuro patrzył na panów.

- Skąd wy, człowieku? - spytała Iza.

- Z Holszy - dziko odpowiedział człek.

Leon poczuł coś w rodzaju wstydu.

- Ruszaj! - rzekł do stangreta.

Powóz potoczył się dalej, a Iza, aby zatrzeć przykre wrażenie, opowiadała:

- Mniejsza o buty; te każdy chętnie brał i nosił; nawet pewnie z początku oszukiwali mnie i dostawali po dwie pary. Ale potem zaczęłam pytać spotkanych ludzi: ile jest Bogów? I zaledwie dziesiąty, dorosły już człowiek odpowiedział, że jest trzech; inni odpowiadali: "Nie wiem." Pytałam ich, co znaczą krzyże po drodze, i żaden nie wiedział, co drzewo symboliczne wyobraża.

Mój Boże! toż to masy, to tysiące takie ciemne! Było to dla mnie straszne odkrycie! Potem zajrzałam do chat i domków szlachty szarej. Ile tam chorób, ile przesądów, jakie nieposzanowanie higieny! Trudno zrozumieć, jak oni wszyscy w dzieciństwie nie umierają!

- Więc ich katechizujesz i leczysz? - z zajęciem spytał Leon.

- Nie sama. Co do katechizacji, wpłynęłam na proboszcza i pomagam mu, ile mogę. Co do chorych, sprowadziłam lekarza do Zabuża, który leczy i daje lekarstwa zarazem. Ja tylko sierotami się zajmuję, mam ich kilkoro, i szkółkę rzemiosł założyłam przy gminie. Mój drogi, żebyś wiedział, jak cię błogosławię za te tysiące i setki, coś mi z Holszy wypłacić! Mogę działać z ich pomocą, a hrabia mi nie przeszkadza. Jak go znasz, sportem zajęty i do moich spraw się nie wtrąca. Wolałabym, aby pomógł, ale trudno od razu wszystkiego dokazać.

- Izo, ty jeszcze zrobisz tego maniaka człowiekiem! - patrząc na nią z zachwytem, zawołał księżę.

- Dałby Bóg! - szepnęła rzewnie się uśmiechając.

Wtem stangret wstrzymał konie.

- Co tam? - spytał Leon.

- Hrabia z Zabuża konno nas dogania przez pola, miłościwy kniaziu.

Był to istotnie Maszkowski na olbrzymim podkasanym folblucie. Dopadł do portierey powozu i odsapnął.

- Byłem niespokojny o Izę... o hrabinę! - poprawił się natychmiast. - Leonie, jak ci się zdaje, czy ona nie ochwacona? - zaraz, bez żadnego przejścia, spytał szwagra, klepiąc swego wierzchowca po szyi.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jestem profan... Może wsiądziesz do powozu?

- Wygląda się w tej skrzynce jak gęś w kojcu. Ani myślę: Five o'clock (Podwieczorek) mnie poniesie! Nie cierpię resorów!

Kłusował tedy u drzwiczek powozu.

Zmierzch już padał, gdy stanęli u celu. Leon formalizował się, znajdując niestosowną wizytę o tej porze; ale go Maszkowski zahuczał, a Iza pociągnęła za sobą do salonu. Stara hrabina przyjęła go chłodno, ale grzecznie. Po chwili wezwano do wieczerzy. W progu sali jadalnej Leon aż się przestraszył długością stołu i ilością nakryć. Nie pojmował, gdzie są ci goście. Zaledwie zajęli miejsca, sala zaczęła się zaludniać. Ci goście - był to proboszcz, jowialny staruszek, lekarz, młody i żywy, nauczyciel rzemiosł, człowiek o spracowanych dłoniach i głowie myśliciela, plenipotent hrabiego, zawiędły jurysta, kilka kobiet, pomocnic snąc hrabiny, niemłodych już i poważnych, a wreszcie wąsaty szlachec, rządca Zabuża. Proboszcz odmówił modlitwę i wszyscy usiedli do jednego stołu.

Leonowi się zdało, że śni jakieś czasy patriarchalne. Z początku mieszane to grono było mu przykre; czuł się nieswój i w milczeniu się rozglądał i słuchał. Iza rozpoczęła rozmowę z lekarzem; wtrącił się do niej proboszcz, potem plenipotent i przy drugim już daniu rozmawiali wszyscy, mitygując głos i ruchy, ale śmiało i swobodnie. Iza dobierała przedmioty przystępne i zajmujące, lekarz opowiadał epizody swego pracowitego zawodu, proboszcz żartował dobrotliwie; najrzadziej odzywał się nauczyciel rzemiosł i rządca, którego gruby głos daremnie starał się dla ucha być przystępniejszym. Maszkowski spierał się z jurystą; stara hrabina usiłowała być uprzejmą. Przy końcu obiadu już wesołość ogarnęła wszystkich, zatarła różnicę stanów i społecznej hierarchii. Tylko Leon milczał oszołomiony taką biesiadą. Patrzył na Izę rozpromienioną, na spokojnego Maszkowskiego, na zadowoloną starą hrabinę i nie mógł pojąć, jak oni tak żyć mogą, i co za sens i przyjemność ma to zbieranie niesłychane podwładnych i gawiedzi do towarzystwa i stołu? Naturalnie uwag swych nie okazał ani wyraził, tylko czuł niewyraźny zawód i żal do Izy, że może gustować w podobnym otoczeniu.

Zaraz po wieczerzy, unikając rozmowy z siostrą i jej pytań o zdanie i wrażenia, odjechał. Lecz Iza i w ostatniej chwili zdobyła go sobie. Nie umiał się oprzeć jej słodyczy i serdeczności, gdy go na ganku uścisnęła raz ostatni, prosząc, by dnia tego nie zapomniał i serca swego jej nie odbierał.

Odjechał nareszcie. Noc już była księżycowa i ciepła. Rozparł się w powozie i rozmyślał o dniu przeżytym. Obraz Izy jak złota niteczka spajał te wspomnienia. Stanowczo nie żałował ani swych zwierzeń, ani ustępstwa dumy nawet względem Maszkowskiego. Za dzień ten ulgi i zapomnienia wdzięczen będzie zawsze Izie.

Powóz toczył się szybko. Przed nim jak meteor świecił kaganiec w rękach konnego hajduka i czerwoną ruchomą łunę rzucał na przydrożne drzewa i pola. Zjeżdżały szybko na bok spotkane furmanki; po wsiach psy podnosiły straszliwy hałas. Niedaleko Karawiki zjechała też na sam kraj gościńca bryczka zaprzężona parą tarantów. Jakiś czas ten ekwipaż szlachecki i powóz magnata jechały równolegle. Księżę bezwiednie oczy tam skierował i nagle cały się wstrząsnął. Zdjął kapelusz i nisko głowę pochylił; poznał Gabrynię Grzymalanę. Ona na ukłon jego odpowiedziała skinieniem i sekundę może spotkali się wzrokiem. Czerwony blask kagańca ześlizgnął się dalej, a księżyc obie twarze pokrył bladością. Sekundę też jechali równolegle; kobieta rzuciła niedostłyszalny rozkaz swemu woźnicy, ten konie wstrzymał, i znowu księżę cug był sam na gościńcu.

Po chwili Leon podniósł się i obejrzał. Nie widać było tarantów: skrzyły na boczną drogę; widzenie znikło, on opadł ponownie na poduszki powozu. Teraz oczy przymknął i zdawał się zasypiać. Wyobraźnia jego, podrażniona chorobliwym rozerwaniem i wrażeniem minionego dnia,

poczęła mu nasuwać na myśl jakieś fantastyczne obrazy. Iza, ruiny, zabuska wieczerza i to ostatnie spotkanie - wszystko się zlało razem. Roilo mu się, że to on jest Maszkowskim, że posiada wszystko: bogactwo, świetne stosunki i z książęcego domu żonę jak marzenie piękną, jak ideał kochającą i dobrą. Nie cierpiał i był szczęśliwy chwałą swoją. Pałac jego nie mieścił przyjaciół, a on sam młody był, dumny, silny. Księżna miała dla ludzi maskę z lodu, dla niego serce kochanki, a on ją tłumom przedstawiał, pyszny i wyniosły, szmerów zachwytu i zazdrości słuchając jak muzyki rozkosznej. W marzeniu jednak nawet nie śmiał jej w twarz spojrzeć, nazwać po imieniu; tylko wciąż powtarzał sobie, że ją z książęcego rodu wziął, z królami jest równa, dwa razy tyle co on przodków liczy!

Nagle to marzenie jego spłoszył głuchy hałas i wstrząśnienie. Wyprostował się i oczy otworzył. Powóz był pod sklepieniem ruin. I wtedy Leon raz ostatni swe marzenie ujrzał - i twarz żony-księżny. Nie była z królów ani możnych, nie wiodła mu w dom dumy i pychy; pałac był pusty, zamiast zazdrości - lekceważenie i pogarda, zamiast chwały - upokorzenie. Nie była księżną, była tylko jego umiłowaniem, była tylko jego żoną, i świat jego zaślepieniu i szaleństwu urągał.

Powóz stanął przed portykiem pałacu. Nikt księcia nie witał ani czekał; w tym olbrzymim gmachu był zupełnie sam jeden. Mijał szeregi pysznych sal z dreszczem i przestraczem pustki; ale pomimo tego na jakąś chwilową pokusę sam sobie półgłosem odpowiedział:

- Nie, nigdy, za nic! Nie zdołam!

XII

Samotność źle radzi. Zaślepiiony w niej książę Leon marnował się i dziczał. Parę razy odwiedził siostrę i przestał bywać. Duma jego nie ścierpiała myśli upokarzającej, że Maszkowscy, utrzymując z nim stosunki, czynili mu łaskę; nie mógł znieść swej pozycji fałszywej wobec Prońskich, którzy mijali Zabuzę, by go nie spotkać. Duma też odbierała mu sen i swobodę umysłu. Cisza Holszy, w porównaniu z dawną świetnością, była mu goryczą nieznośną, a opuścić tego pustego domu nie chciał, bojąc się tam na świecie spotkać znajomych i z oczu ich drwiący wyczytać wyrok. Nikt go nie odwiedzał. Raz tylko w początku, powróciwszy z Zabuzą, dowiedział się od profesora, że przyjeżdżał Grzymała. Czego by chciał, nie potrafił stary powiedzieć, a Leon prawie rad był, że tego przyjaciela nie zobaczył. Czuł, że wyznałby mu swe troski, a wyznać broniła mu duma i mimowolny wstręt wtajemniczenia kogokolwiek w swe sprawy rodzinne.

Tymczasem wokoło Holszy słońce roztoczyło lato. Z okien swego gabinetu patrzył książę na przepyszne kwiaty, krzewy, drzewa parków - i nic nie widział. Napadały na niego dni nudy i apatii, to znów dni bezmiernego roznerwowania i niepokoju, kiedy drgał na każdy szelest, rzadko chwile bezcelowej złości, którą spędzał na sesji z Butnerem. Wtedy niszczył podwładnych, wyrzucał ludzi z posad, pastwił się nad swoimi debitorami, gnębił winnych błahaego nawet procesu.

Powoli zaczynała w nim kiełkować myśl samobójstwa, jako jedyne wyzwolenie z fizycznej i moralnej choroby. Odtrącił ją; wracała. Opadnięty jak zmorą, wściekły na samego siebie, odpowiadał cichym duszy protestem: zaczęłeś żyć skandalem, trwasz pod ohydą skandalu, skończże skandalem.

Pewnego dnia pokusa przybrała maskę wypadku. Kazał z Czartomla przyprowadzić klacz, która zabiła Alfreda, i obejrzał ją uważnie. Podobnej pewnie użyto na zgubę Mazepy. Oczy księcia zabłyśły złą namiętnością. Kazał ją sobie osiodłać.

- Miłościwy kniaziu nasz! - ośmielił się rzec Siła - uczyni ona wam co złego. Pozwólcie mnie jej spróbować.

Uśmiechnął się raz pierwszy od dawna.

- Dosiadam pierwszy konia albo wcale nie - odparł.

Przebrał się gorączkowo i wyszedł na ganek. Klacz już stała gotowa. Trzymał ją Siła. Zdziwił się Leon. Nie słupiała się ani wierzgała, miała pozór ogłuszonej czy chorej. Opodał srokacz Siły kopytami krzeszał iskry z bruku.

- Cóż to tej klaczy? - zagadnął książę zdziwiony.

- Przyczaiła się, miłościwy kniaziu! - odparł kozak podając mu strzemię.

Leon wskoczył na siodło, klacz ruszyła, ale spokojnie, nienaturalnie trzęsąc głową. Zamiast swym samobójstwem, księżę zajął się wierzchowcem. Zamieniono chyba, czy nie zrozumiano rozkazu. Obejrzał się. Siła kłusował za nim.

- Znasz tę klacz dobrze? - krzyknął.

- Bodaj ją był czart sobie wyjeździł, a dobre ludzie nie znali! - odparł Siła ponuro.

- Więc to ta sama?

- Taże wyrodnica.

Księżę umilkł. Zapewne nie ona to zabiła Alfreda, ale on sam tak chciał. Cóż więc opowiadał Maszkowski? I co Leon sam pierwiej widział? Z klaczą coś się działo nienaturalnego. Nie trzymała się drogi, szła jak pijana. Za miasteczkiem już była pianą okryta i potykała się. Parę razy księżę ją ciął szpicrutą; jęczała po każdym razie, ale szła coraz gorzej. Wtem pośród lasu stanęła, zawróciła się wokół i runęła na kolana z głuchym stękaniem. Księżę ledwie miał czas zrzucić strzemiona: zwała się na bok, rzuciła konwulsyjnie kopytami i głową, i rozciągnęła się bezwładna.

Siła przyskoczył.

- Ot, już, dzięki Bogu, zdechła! - rzekł z westchnieniem ulgi.

Leonowi myśl jasna jak błyskawica strzeliła do głowy.

- Zabiłeś ją! - krzyknął.

Kozak zadrżał, zbladł i do kolan mu runął.

- Miłościwy kniaziu nasz! - wyjąkał.

Leon szpicrutę podniósł, ale prędko opuścił.

- Zabiłeś ją! No mów! Słyszysz!

- Ja otrułem! - cicho szepnął Siła. - Niech mi Bóg odpuści.

- Po co? Gadaj?

- Miłościwy kniaziu, bijcie, zabijcie! Tak ja musiał. Ojciec by mnie zabił!

- Żeby co? Będziesz mówił jasno?

- U nas w rodzie kazano kniazia pilnować. Wtedy, Bóg wie i ja, że sądenie było. Wtedy mnie ojciec do chaty zawołał, i siekł, i siekł, a pytał: "A ty gdzie był? A ty co robił?" Ja milczał i cierpał, choć niesłusznie. Nie mógł ja swego kniazia ratować, bo on tak chciał. Ale teraz wy mnie, miłościwy kniaziu, bijcie i zabijcie, bo ja to bydlę strułem, żeby wam się szkoda nie stała. Ja tak zrobiłem, wy poznali; róbcie ze mną co wasza wola, ale już was to bydlę nie ukrzywdzi, już mnie ojciec i swoi w chacie hańby nie zrobią!

Leon popatrzał na tego człowieka jak we śnie, przez pół tylko jego niejasną mowę rozumiejąc. Wstyd mu było i strach, aby sługa, który tajemnice Alfreda znał, jego myśli i zamiaru nie przeczuł. Odwrócił się.

- Ruszaj mi z oczu i żebym ciebie więcej nie widział! - krzyknął. - Niech to zwierzę natychmiast sprzątną. Precz!

Kozak trząsał się cały. Usunął się, żeby księżę go sprzed oczu stracił, i pokornie, jak pies wierny, wybity, patrzył na swego pana.

Leon poszedł pieszo drogą i już więcej się nie obejrzał. Wtem naprzeciw niego na zakręcie ukazał się powóz. Chciał się ukryć w gęstwinie, ale już było poniewczasie.

- Lwie! Co się stało? - rozległ się przerażony głos siostry.

Zatrzymała się i wysiadła.

- Nic wielkiego - odparł całując jej rękę. - Wyjechałem konno i tu niedaleko koń mi padł.

- Ale cię nie skaleczył? Takiś blady.

- Nie, wyszedłem cało.

- Jechałeś może do nas? - spytała serdecznie.

Nie śmiał zaprzeczyć.

- Dziękuję ci! Takeś dawno nie był, zem była niespokojna o twoje zdrowie i właśnie chciałam cię odwiedzić. Zabieram cię i teraz długo zatrzymam, choć przemocą. Jakżeś zmizerniał! Żal na cię patrzeć. Muszę cię dopilnować. Takam rada, że cię spotkałam!

Wsiedli do powozu; on milczał. Nerwy jego wstrząśnięte odprężyły się powoli. Niezdolny był złożyć dwóch wyrazów.

- Miałam dużo pracy! - mówiła Iza żywo. - Epidemia wpadła do Zabuża - tyfus. Było czterdziestu chorych i dwoje moich sierot umarło. Hrabia także leżał w gorączce trzy tygodnie.

- Czemuś mnie nie zawiadomiła? - rzekł.

- Jeszcze byś zachorował!

- Tym lepiej. Może bym umarł zamiast tych sierot! - zamruczał z gorzką zawiścią.

- O Lwie! Nie można tak mówić! Pomyśl o tych, którzy by po tobie płakali.

- Trudno myśleć o czymś nie istniejącym.

- O Lwie! - szepnęła żałośnie.

- Przepraszam cię, Izo, ale mówię, co myślę. Nie zostawiam po sobie nikogo i Holszę bym dał za sposób wycofania się z życia - takiego...

- Tyś gorzej chory teraz. Powiedz, czemuś mnie porzucił?

Potrząsnął głową. Nie nalegała, by mu nie czynić przykrości.

Dojeżdżali do Zabuża. Maszkowski dojrzał ich ze stajni i zaczął już z dala kiwać i krzyżeć. Rad był widocznie szwagrowi. Od pierwszego rzutu oka spostrzegł Leon, że między małżeństwem zapanowała większa harmonia. Iza nabrała więcej swobody i pewności siebie; hrabia był wobec żony o wiele przyzwoitszy w mowie i ruchach, odzywał się nie o samych tylko koniach, wyglądał poważnie. Gdy Iza wyszła, wziął Leona na stronę i uściskał go z całych sił.

- Wiesz? To za żonę ci dziękuję. Gdzie u diabła taka się wyrodziła! Mówię ci, słowo daję, ja się w niej kocham. Miałem tyfus, słyszałeś? No, to mówię ci, gdybym był kawalerem, to bym bryknął na tamten świat. Lwie, tyś taki chory, żeń się. Słowo daję: kobieta, byle była do Izy, do hrabiny podobna, odchucha cię.

Tu powtórnie szwagra uściskał i obejrzał się za żoną.

- Nudzi mi się bez niej! - rzekł. - Przychodzi do stajni, ale na krótko, bo ją ciągle odwołują. Wiesz? Konie ją już znają; nudne się robią bez niej. Nie mogę jej zatrzymywać długo; więc co robić? Słowo daję, chodzę z nią po szkółkach i do chorych. Schwytałem tyfus, ale to nic!

Zaśmiał się głośnym, dobrodusznym śmiechem.

- A co szczególnie! Z matką daje sobie radę. Słowo daję, ja tego przez całe życie nie dokazałem!

Wyjrzał przez okno.

- Widzisz, to Kasztelan Maszkowski! Wiesz co? Po śniadaniu przejedziemy się trochę... Ot, we troje. Zgoda?

- I owszem. Zdaje mi się, że mi konia właśnie prowadzą. Przyjrzał się. Nie Siła wiódł wierzchowca, ale inny pokojowiec. Widok obcej twarzy niemile go dotknął. Do chłopca tego nigdy się prawie nie odzywał, twarzy jego nigdy się nie przjrzał, nie zauważył, że się do niego przyzwyczaił jak do sprzętu, którego potrzebę dopiero się czuje, gdy go zabraknie.

Drab liberyjny, który go zastąpił, spełniał równie dobrze obowiązki, ale księcia drażnił tylko. Drażnił go przez całe śniadanie, nieruchomy za księcia krzesłem; drażnił, gdy podawał konia do spaceru; drażnił ciągle. Maszkowski, który wszystko ściągające się do hipiki uważał, spostrzegł także tę zmianę.

- Co to za gawron jedzie za tobą, Lwie? To nie ten, co zwykle.

- Prawda! To nie Siła! - zawołała Iza.

- Nie - krótko odparł Leon.

- Ten może umie froterować posadzki, ale nie konia dosiadać! - oburzył się hrabia.

- Tym gorzej dla niego. Dokąd jedziemy? - zagadnął Leon.

- Przed siebie - rzekła Iza.

- A zatem w bory moje. Nie biorę na siebie odpowiedzialności, jeżeli zbłądzimy.

- Ostatecznie gdzieś trafimy. To rzecz zajmująca dążyć bez celu.

- A zatem w cwał! - zakomenderował Maszkowski.

Bory w tym miejscu były jasne i czyste. Jechali po mchach i szczeciniastej trawie, czasem drożyną pełną wybojów, czasem zupełnie bez drogi.

Iza prowadziła szyk bardzo fantastycznie. To ją zajęła łączka usiana dębami, to kwiat szczególnie, to dziki widoczek, to sarna umykająca z żerowiska, to strumyk ciekący spod korzeni.

W ten sposób zagłębiali się coraz bardziej w puszcę, nie dbając o powrót i kierunek. Rozmawiali między sobą o sprawach światowych. Leon wypytywał o nowiny i znajomych; Maszkowski, uzuchwalony samotnością, podrwiwał ze starych.

Nagle stanęły konie przed nieprzebytą zaporą.

Jeźdźcy, wypadkiem tym przywołani do rzeczywistości, podnieśli oczy i ujrzeni przed sobą bezdenne prawie rowy, pełne czarnej wody, a za rowami jakby trybę porośłą splątanim gąszczem krzewów i młodszych od reszty puszczy dębów i grabów.

- Doprawdy, zbłądziliśmy! - zaśmiała się Iza.

Leon obejrzał się na hajduka.

- Trafisz stąd do Holszy?

- Trafię, miłościwy księżę.

- Zatem prowadź. Co to za rowy?

- To Sumoroków droga, panie nasz.

Leon się wzdrygnął. Więc to był ten szlak krwawy, przez puszcę ku Czartomlu przebity. Tu może niedaleko stała owa roгатka Sumoroków; tu się pierwsza krew polała.

Maszkowscy nie zwrócili na odpowiedź sługi żadnej uwagi; dla nich puszcza była puszczą, droga drogą; ruszyli za przewodnikiem, mając ciągle owe rowy po prawej stronie, i dalej prowadzili rozmowę. Leon jednak już nie brał w niej udziału; jechał ostatni, oczu od owej grobli nie odrywając. Wieki nie była używaną, drzewami porośłą, a ludzkie nienawiści nie ścichły, ludzka zawziętość rany trzymała zawsze świeże. Jechali dość długo. Maszkowscy, widząc ponurość Leona, zaczęli rozmawiać między sobą. Bór był niemy i głuchy; pochód wyglądał jak rekonesans na cudzej ziemi, nie zaś jak spacer ekscentryczny. Leon oczyma wodził wkoło. Nie zdziwiłby się, gdyby tu upiór drogę mu zastąpił i myta zażądał, upiór Sumorok.

Wtem cugle szarpnął i konia wstrzymał. Przed nimi czarne od jodeł otaczających, nieruchome, w obwódce z piasku leżało jeziorko leśne. Niewidzialne były jego przypiływy, niewidzialne dno. Księżę chciał stąd uciec, a nie mógł. Zdawało mu się, że w kamień się zamienił. Słyszał, czy mu się zdało, że słyszał, jak sługa na zapytanie, zapewne Izy, odpowiadał:

- Kniazowski ono, ale Sumoroki je zagrabili, a przeklęty grabunek, bo niedawno tu dziewczka ich się utopiła. Opodal też ich dworek stoi. Będziemy go mijali, bo do Holszy tędy droga.

- Lwie - zawołała Iza. - Jeśli się nie mylę, pewnego razu jakieś straszdyło zastąpiło nam drogę i nazwało się Sumorokiem. Więc to on tutaj niedaleko mieszka?

- Mieszka! - z naciskiem strasznej zaciętości odparł książę. - Nie mieszka już. W Holszy nie ma nareszcie Sumoroków. Przed tygodniem za kosztu procesu ze mną zabrano jego dom i co miał w nim. Dzisiaj rano jego samego wyrzucono. Był to ostatni termin.

- Powiadasz: nareszcie! Więc to dawny proces?

- Trzysta kilkadziesiąt lat liczy.

- Okropność!

- Tak: kosztował miliony, życie kilkunastu ludzi i trzech Holszańskich.

- Co to było? Opowiedz!

- Innym razem, Izo.

- Ot i dworzec! - rzekł hajduk na przodzie.

- Gdzie? To las! - zawołał Maszkowski.

- To pole ich, a to budynki.

- Boże! - szepnęła Iza.

Istotnie, to co mieli przed sobą, było straszne. Wśród zarośli sosny i jałowcu widać było ślady zagonów; wśród kępy jodeł czarnych sterczały jakieś ruiny, kupy próchna, szkielety dachów. Wokoło ani śladu człowieka, pracy, zachodu, nawet bydłęcia i ptaka.

Tak między puszcza bez płotu, bez studziennego żurawia, bez dymu, bez głosu leżały czarne ściany ludzkiej siedziby i wyglądały jak osada morem wyludniona.

- Brr! - wzdrygnął się nawet Maszkowski.

Stali długo i patrzyli, nie mogąc się oprzeć przygniatającemu wrażeniu. Przez ten czas rysy księcia zmieniły wyraz; myśl mu przyniosła jakąś dziką falę dokonanej zemsty. Uczynił przecie to, czego wieki nie dokonały; zmaszał ze swojej ziemi Sumoroków, ohydę zapieczętował, rachunki podkreślił. Konia swego trącił i na czoło pochodu się wysunął. Kierował się wprost do folwarku.

- Pusto już tutaj i pusto będzie! - rzekł głośno. - Możemy z bliska to obejrzyć. Nie zastąpi mi teraz drogi żaden Sumorok.

Za nim wjechali między ruiny Maszkowscy.

Budynki gospodarskie leżały na ziemi, stał tylko jeszcze ułamek domu z zapadłym dachem, bez okien, krzywy i pusty. Książę konia zatrzymał i zsiadł uśmiechając się szyderczo.

- Jak widzę, za kosztu procesu niewiele mi tu zostało - rzekł trącając nogą zmurszałe drzwi.

Drzwi upadły razem z futryną i odkryły szeroko wnętrze. Leon stanął na progu i nagle się zachwiał, odskoczył. W izbie jedynej, wprost drzwi, na zydlu za stołem koszlawym siedział stary Sumorok.

Siedział wyprostowany, plecyma o ścianę oparty, ręce trzymał na stole, a w nich jakiś papier, i patrzył wprost na księciaa nieruchomy.

Poznał go Leon natychmiast po opończy starej, po głowie łysej i żółtej, po twarzy przede wszystkim, której rysy wychudłe, ostre i tylko skórą czarną ociągnięte, zostawały w pamięci każdego, kto by go choć raz spotkał.

- O Boże! - szepnęła Iza, cofając się zgrozą zdjęta.

Księcia po pierwszym wrażeniu opanowała złość beznamiętna na to bezprzykładne zuchwalstwo.

- Jeszcześ tutaj! - krzyknął. - Czekasz musu, by ustąpić? Hej, wy tam, służba! Wyrzucić go za granicę!

Masztalerz Maszkowskich i hajduk holszański poskoczyli do budy.

Leon był do siebie niepodobny, nie salonowiec, nie arystokrata, nie człowiek. Ożył w nim przodek któryś, Konstantynowicz krwawy w szale, tygrys, w zemście morderca. Uchylił się od drzwi i czekał, by ostatniego Sumoroka wywleczonego zobaczyć, by się własnymi oczyma przekonać, że go wyrzucą na trakt, na tę Karawikę, gdzie kniaź August powieszony się palił.

Maszkowscy odstąpili przerażeni.

- Co mu jest? co mu jest? - szepnęła zbladła Iza

Wtem z izby słudzy wyszli - sami.

- Cóż on? - krzyknął Lew.

- Toż trup! - przyciszonym trwożnym głosem wymówił masztalerz.

Kozak kilkakroć się przeżegnał - i milczał.

- Co? - nie rozumiejąc krzyknął książę Leon.

- Trup! - rzekł sługa bardzo blady. - Traćiliśmy go... Zwalił się. W rękach mu ten papier został i leży.

- Trup! - wymówił Leon, ale usta jego nie wydały dźwięku.

Maszkowski spiął konia ostrogami i o sto kroków odskoczył.

- Trup! - powtórzył książę i niewidzialną mocą pchany, znalazł się znowu w progu.

Sumorok już nie siedział, ale leżał na podłodze, obojętny na wszelkie wyroki. W rękach mu papier tkwił, pokrzywionymi palcami wpił się weń, opończa rozsunała się, a spod niej widać było członki żółtosinawej barwy.

Teraz dopiero śmierć było na nim widać: w sztywności, w oczach ciągle otwartych, w ustach obwisłych, w nieruchomości ciała.

Książę patrzył jak skamieniały; w milczeniu patrzali słudzy. Było tak cicho, że głośno i daleko słyszeć się dawał nierówny oddech Leona i brzęczenie wielkich much nad zwłokami.

- Trup! - bezwiednie powtarzał książę, nie mogąc się od tego progę, od tego widoku oderwać.

Wtem ktoś stanął za nim i głos stłumiony a bezdźwięczny rzekł:

- Szukałem księcia w Holszy, szukałem w Zabuzu. Mam do księcia prośbę.

Leon się obejrzał. Przed nim stał człowiek nieznany. Nieznany - nie! Książę już raz widział te rysy, słyszał ten głos, ale w tej chwili nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie i kiedy mianowicie.

- Czego pan chcesz? - spytał z wysiłkiem.

- Zmarły ten przygotował sobie trumnę od dawna. O tę trumnę proszę księcia, jako należąca do ruchomości zajętych za kosza procesu. Administracja holszańska nie przyjęła mego wykupu za nią... Nie śmiałbym tym zajmować księcia, ale zmarłego wola święta. Zapłacę za trumnę, co książę każe. Zwłoki czekać nie mogą i dla niego upłynął już termin pozostania tutaj. Czas mu stąd odejść.

Mówił urywanie, raczej ze smutkiem niż z goryczą. Teraz księciu rozjaśniło się w pamięci i z nagłą żywością przystąpił do mówiącego.

- Wszak to pan oddałeś mi zeszłego lata usługę bez ceny... w lesie? - zagadnął.

Nieznajomy skłonił się tylko.

- Tak, to pan. A teraz pan prosisz o jakąś trumnę... Panie, czy mnie pan nie masz za człowieka? Ten zmarły jest krewnym pańskim?

- To mój ojciec.

Książę wzdrygnął się i cofnął. Co uczuł w tej chwili, nie dałoby się prawie opowiedzieć. Rękę podniósł do czoła, stał się jak kreda biały, zatoczył się, daremnie szukając równowagi. Dobiła go ta wieść. Zbyt wiele doznał i przeżył w tym dniu.

Widząc, że się na ziemię osuwa, pokojowiec przyskoczył i w ramiona go swoje przyjął. Iza krzyknęła okropnie i podbiegła ku niemu.

- Wody! - krzyknął Maszkowski zeskakując z konia.

Leon stracił przytomność, czucie i pamięć. Położono go na trawie i zaczęto cucić.

Sumorok młody wskazał kozakowi studnię, wyniósł z izby kubek gliniany, a potem dopiero wszedł znowu do rudery. Bez łez, bez rozpacz, z tępym spokojem podniósł zwłoki z ziemi, ułożył na trawie, z rąk wyrwał papier. Był to rozkaz sądowy opuszczenia ziemi i folwarku; strzepy rzucił młody człowiek na ziemię, a potem usiadł u nóg zmarłego i zgasłymi źrenicami zapatrzony w jeden punkt, czekał.

W tej chwili na dziedziniec wjechała bryczka Grzymały i on sam z niej wyskoczył. Zdumiał na widok tylu osób pochylonych nad czymś czy nad kimś i podszedł.

- Jezu! Co księciu? - krzyknął przerażony łkaniem Izy, wystraszoną twarzą hrabiego i bezwładnością Leona.

Nim mu kto odpowiedzieć zdołał, wszystko prawie zrozumiał.

- Na miłość boską! - zawołał. - Przede wszystkim zabrać go stąd! Wynieść precz, daleko, do Holszy. Niech się tutaj nie cuci. Niech tego nie widzi. Jest mój wóz; pozwoli pani hrabina, odstawię go na rękach do pałacu. Na Boga! Prędzej!

Nikt mu nie bronił. Potracono głowy. Nic więcej nie pytając i nie mówiąc, wziął omdlałego na ręce i poniósł do bryczki. Hajduk usiadł na przedzie, i tak we dwóch trzymali księcia. Zaprząg ruszył powoli. Ruszyli za nim Maszkowscy.

Na turkot wyszedł z rudery na próg młody Sumorok i patrzył za oddalającymi się.

Zostawił go tedy samego; ten jedyny przyjaciel ratował wroga jak brata!

Nie gorycz, ale smutek tragiczny wyzierał z oczu Sumoroka. Martwy spokój był treścią jego istoty. Już nie czekał pomocy. Sam wywłókł trumnę na środek izby; sam nieboszczyka w niej ułożył. Z kieszeni dobył ułamek gromnicy i zapalił, przyniósł świeki i młotek. Ani razu przy tym na twarz ojca nie spojrzał. Po śmierci nawet żyli w rozterce, jak przez całe życie. Syn spełniał tylko obowiązek. Zrobiwszy, co było potrzeba, trumnę wiekiem przykrył i wyszedł. Musiał teraz szukać wozu i ludzi, prosić księcia o ziemię dlaa tego, który już żadnej nie posiadał. Wtem spojrzał i poczerwieniał. Na podwórze wjeżdżał wóz, a na nim kilku ludzi, a ku niemu szła Gabrynia Grzymalanka.

- Możem panu kazała długo czekać? - rzekła z cicha.

- Nie czekałem pani - odparł smutno.

- Wiem. Czekał pan Jurka. Ale on mi przed chwilą dał znać, że zajęty jest w Holszy, więc ruszyłam do pana. Księżę miał podobno jakiś wypadek? - spytała niespokojnie.

- Tak. Zemdlął tutaj na podwórzu. Musi być bardzo nerwowy i widok ojca go wzburzył. Nic groźnego, jak sądzę. Trumnę wziąć mi pozwolił, i nie mamy co tu już robić, tylko zabrać ciało i wieźć... Ale dokąd?

- Do kaplicy na cmentarzu.

- Jeżeli ksiądz przyjmie. Sumorokowie rzadko dostępowali honoru chrześcijańskiego pogrzebu. Przywykli walać się pod płotami i po rozdrożach.

- Nie mieli zapewne przyjaciół. Panu nie godzi się tak mówić! - upominała łagodnie.

- Przepraszam panią! - szepnął. - Proszę mi darować! Nie jestem zły i mściwy. Wybawieniem od zmyry codziennej jest mi ten wyrok, ten koniec. Jak z piekła odchodzę z tej

ziemi przeklętej, z tego domu, gdzie trwał jak skazaniec na łańcuchu. Ale gdy dziś o świcie zastał ojca martwego na ławie z pozwem w ręku, tom przecie nad jego dolą zapłakał i poczuł jego bóle i krzywdę, i wszystko co dobre we mnie zgasło. Przeznaczenie snąc takie, by kniazie na Holszy nie tylko ciała nasze tracili, ale i dusze.

- Panie Michale, ten kniaz stokroć srożej teraz cierpi... przejrawszy po niewczasie. Kto wie, czy on duszę uratuje!

- Czyż on ma duszę? Pani go zawsze bronisz. Dlaczego? Uczynił wam co dobrego?

- Nie, ale on biedniejszy od pana, bo nie ma przyjaciół.

- A pani? A Jurek?

- Ja - powtórzyła powoli, namyślając się - ja mam prawo go bronić, bo on mi uczynił dużo złego.

Sumorok popatrzał w jej twarz poważną i oczy spuścił.

- Czas nam stąd odejść! - rzekła po chwili.

- Czas! - odparł. - Siedzieliśmy tu dość długo. Trzysta sześćdziesiąt lat!

Weszli do izby. Ludzie zagwoździli trumnę, wstawili na wóz. Ruszyli powoli przez zarośla. Za chwilę folwark przysłoniły drzewa.

Pochód był milczący i ponury. Trumna się chwiała na wozie, migwały świece w ręku Gabryni i Michała Sumoroka, utykały konie na korzeniach. Tak odchodzili ostatni z tej ziemi. Minęli głąz znaczący początek grobli: tu pierwsza krew pociekła. Szli drogą, kędy ze spalonego dworca wleczono na śmierć całą rodzinę. Dobięgli miejsca, gdzie jelita z nich ciągnięto. Trup w swych deskach nie ustępował im w zaciętości. Nie odszedł z ziemi żyw; wzięła go stamtąd moc większa niż kniazowska - triumfował.

Nareszcie pochód zrównał się z Karawiką. Wtedy dopiero Michał Sumorok oczy podniósł i za siebie się obejrzał. Przeklęta ziemia i dworzec w ruinie, ta trumna i on, jak cień ninkący - oto wszystko, co zostało po mordach wiekowych, po kilkunastu pokoleniach. Szarą plamą był bór z oddali, szarą plamą folwark, tylko Karawika była wyraźna. Mowę miały głazy i krzyże jak brzozy płaczące.

Ale pochód trwał, sunął się gościńcem ku Holszy. Gdy się znów Sumorok ostatni raz obejrzał, już szarą plamą była Karawika, szarą plamą głazy i brzozy, a dworca widać nie było. Wtedy zwrócił się do Gabryni i rzekł:

- Bogu zapewne cała ziemia jest szarą plamą; i krew, i jęki do Niego tak wysoko nie dochodzą.

Gabrynia spojrzała ku niebu.

- Dochodzą do Niego krwawy pot i łzy, a słyszy On przebaczenie wrogom! - dodała poważnie.

Sumorok głowę zwiesił i milczał. Pochód już dochodził cmentarza, gdzie go dzwony witały i śpiew pogrzebowy, uroczysty. Sumorok nagle głowę podniósł.

- Tedy On i mnie słyszy! - wymówił.

Po licu Gabryni potoczyło się łez parę. Spojrzała na niego z bezmierną wdzięcznością i uszanowaniem.

Pochód już wkraczał na ziemię umarłych...

XIII

Długi czas życie księcia Lwa wisiało na włosku. Doktorowie, sprowadzeni ze wszech stron, krzywili się z powątpiewaniem; morze łez wylała nad nim Iza. Stracił wreszcie nadzieję wierny Grzymała, który codziennie prawie przesiadywał nad chorym długie godziny nocy, gdy usypiali inni i gdy nie było przy nim nikogo oprócz najemników.

Holsza już z daleka wyglądała jak grób, tak niemy i ponury stał pałac, tak ponura snuła się służba. Nikt nie podnosił głosu, nikt się nie cieszył przepychem lata, nikt nie stąpał śmiało. W okolicy co dzień czekano wieści o zgonie potentata, czekano bez współczucia, owszem ze złośliwą niecierpliwością i mściwym triumfem, jakby kary Bożej za ucisk i krzywdy. Ten magnat biedny był, nędzarz, umierał i tylko łyzy Izy miał, i tylko obcego człowieka życzliwość bratnią, a może skrzywdzonej kobiety modlitwę.

Szczęściem w gorączce i nieprzytomności Leon tego nie rozumiał, obojętny był na otoczenie i tylko w malignie bezustannie z Sumorokami wojował. Zapewne roiło mu się, że na sądzie najwyższym stanęli naprzeciw siebie on i ów trup, i sprawę przedkładali wielkiemu Sędziemu. Dowodził księżę namiętnie w dzień, w nocy, ciągle, jak wariat jedną myślą opętany. Słuchający wzdrygali się ze zgrozy, Iza dostawała spazmów, Maszkowski uciekał, tylko Grzymała, życiem zahartowany, wytrzymywał w tej ciemnej sypialni, po której snuły się straszne mary. Trwało to całe tygodnie; choroba szydziła z ludzkich wysiłków i nauki, szamotała duszę i ciało, pastwiła się jak potwór nad ofiarą. Po trzykroć następowało polepszenie i cisza, po trzykroć wracał upiór śmierci do łoża; były chwile, że istnienie rachowano na minuty. Lato ubiegło, przyszła jesień, wieść jedna przychodziła z pałacu: książę umiera, książę jutra nie doczeka. Ludzie zabobonni a mściwi dowodzili, że on nigdy nie skona i nigdy nie wyzdrowieje - za karę.

Grzymała po całej nocy, równie zły jak poprzedzająca, odjeżdżał stroskany, nie śmiejąc już pytać doktorów, co będzie. W domu nie mówił już nic Gabryni, która go tylko oczyma zapytywała o nowiny. Smutek jej nadzwyczajny i ból pobladłej twarzy nie zastanawiał go ani dziwił, bo sam był do gruntu duszy zgnębiony. Co wieczór wracał do Holszy nie myśląc wcale, że to poświęcenie jego ludzie tłumaczą interesem, że nie ma dla tego człowieka żadnych obowiązków.

Pewnej takiej nocy, gdy siedział nad księciem, zapatrzonej w jego twarz zmienioną, zdawało mu się, że oczy zamknięte i wpadłe zaczynają się poruszać i mrugać. Pochylił się naprzód. Serce zabiło mu okropnie. Księżę powieki podniósł i ostro przed siebie spojrzął. Szukał tam na tle gobelinów Sumoroka. Nie znalazł, obejrzał się wkoło. Dwie twarze ujrzał, ale nie wrogie. Obok niego Grzymała; trochę dalej, w cieniu, biało-złocisty, wygnany Siła. Ten co dzień, w nocy, ufny w księcia nieprzytomność, ośmielał się go doglądać.

Leon z wysiłkiem, zbierając zmysły, patrzył na nich.

- Grzymała! - wyszeptał wreszcie.

Szlachcic omal nie krzyknął z radości.

- Gdzie Sumorok? - spytał księżę.

- Nie ma, nie wróci. Niech księżę o nim nie myśli - odparł łagodnie.

- A ja? Co ze mną?

- Księżę chorował, ale teraz żyw będzie i zdrow.

- Po co? - wyszeptał chory i oczy zamknął.

Nazajutrz doktorowie stwierdzili przełom. Chory spał spokojnie. Choroba ustępowała po raz czwarty, ale czy nie wróci, jak już po tyle razy?... Minęły jednak trzy dni bez gorączki. Księżę popadł w stan bezmiernego osłabienia, nie miał siły oczu podnieść, wydać głosu. Nadzieja jednak wstąpiła w serce Izy i Grzymały. Doktorowie triumfowali. Leon był uratowany.

W parę tygodni zaledwie odzyskał pamięć, zrozumiał, co się z nim działo. Porachował czas; chorował dwa miesiące. Powracające życie nie sprawiało mu przyjemności; odzyskane zdrowie nie cieszyło; apatia, zdwojona osłabieniem, ogarnęła go ponownie. Siadywał po dniach całych u okna, przez które widać było jesienne róże i niebo często już chmurne; o nic nie pytał, niczego nie żądał, na wszystko patrzył obojętnie. Maszkowscy namawiali go do wyjazdu za granicę; nie chciał. Odmawiał też, gdy go zachęcano do spaceru. Nie miał chęci ani sił do ruchu i czynu. Czasami tylko na szelest drzwi z odrobiną zajęcia czekał, kto wejdzie. Ujrawszy szwagra, siostrę lub służącego, apatycznie głowę spuszczał na piersi. Od powrotu do zdrowia nie ujrzał Grzymały u siebie.

Iza mu opowiedziała o troskliwości i sercu tego obcego; nie okazał wdzięczności ani rzekł słowa, ale co dzień go wyglądał, co dzień czekał, tęsknił do niego. Tak mijały znów tygodnie, nie przynosząc w zdrowiu księcia widocznej zmiany i polepszenia. Blady i wynędzniały, na jednym miejscu siedział, u okna, przez które widać było coraz smutniejsze drzewa i niebo. A Grzymała się nie pokazywał. Księżę wreszcie przestał go czekać; zwątpił, czy rzeczywiście widział go u swego łoża, czy naprawdę mówiła mu Iza o nim.

Wtem pewnego dnia, pod wieczór, stanął przecie we drzwiach ten długo oczekiwany.

- Czy to się godzi, kogoś uratowawszy od śmierci, potem zapomnieć? - spytał z odrobiną życia i zajęcia.

- Eh! ktoś księciu bajek napłótl, pewnie Siła. Żeby to ja mógł śmierć zażegnawać, to bym teraz swoją kobietę ratował. Bóg księcia uratował. Anim ja też zapomniał Holszy; ale ostatnimi czasy tak mi się wiele na głowę zważyło! A jakże księciu? Co dzień lepiej?

Grzymała wyglądał dzisiaj nieswój i roztargniony. Nie mógł dosiedzieć na miejscu, obzierał się, zamyślał. Zauważył to księżę i spytał o przyczynę.

- At, żona mi śmiertelnie zasłała, a przy tym inne kłopoty. W naszej doli to zwykłe. Nie ma czym księciu głowę schorowaną durzyć. I to minie! - zakończył, ale już bez swej wesołej energii, raczej z goryczą.

- Panie Grzymała, jeżeli bym mógł panu pomóc, byłbym najszczęśliwszy! Jestem przecie debitorem pańskim.

- Dziękuję księciu, nic mi nie trzeba. Żona chora, na to rady nie ma! Resztę znieść można. Dzisiaj mi ktoś powiedział, że księżę ma się gorzej, więc choć na chwilę wpadłem, żeby się naocznie przekonać. Jeśli mi księżę będzie marną usługę przypominał, to zmykam!

- O, proszę, zostań pan jeszcze chwilę.

Grzymała został parę godzin. Księżę tego dnia żył. Ale już nazajutrz popadł w swą apatię - gorszą, bo już nikogo nie czekał, dla wchodzących nie miał nawet spojrzenia. W takim stanie zastał go pewnego dnia Maszkowski. Przyjechał bardzo rano, konno, wyprawiony przez Izę. Wybierali się na zimę do miasta. Iza chciała zabrać z sobą brata.

- Słowo daję, jedź z nami! - namawiał Maszkowski. - Ludzie już zapomnieli tamtą awanturę. Przyjmą cię z otwartymi ramionami. Matki przecie nie spotkasz. Słowo daję, ożenimy cię w karnawale. Zobacz no, przywiozłem fotografię.

Leon sądził, że to się stosuje do jakiejś przeznaczonej dla niego damy, ale była to fotografia konia.

- To Chisle-Chapman, mój nowy reproduktor. Co? Na papierze czuć krew! Wiesz? Proński fuszer, a klęka przed nim.

Leon potakująco skinął głową.

- Ale, wiesz? - zawołał - mam je!

- Co takiego? - spytał księżę, drgając na ton podniesiony.

- Taranty Grzymały!

- Tak! Sprzedaje ci?

- Nie. Sprzedają. U niego dzisiaj licytacja.

- Licytacja! Za co? - błędnie zapytał Leon.

- Za długi. I wiesz, jak mi mówił mój rządca, nie własne. Ten człowiek wziął nad siły i teraz runął mu budynek na głowę. Ratować chciał każdego, a rodzinę ma niezgodną. Teraz kłapnie! Słyszac to, posłałem rządcę tam po taranty, ale kazałem od razu postawić tę samą bajeczną sumę, com dawał. Byle się szkapę komu innemu nie dostały, szlachcica nie skrzywdzę; a to by mi potem Iza tego nie darowała.

Leon nie słuchał dalej, nie uważał, gościa prawie nie pożegnał. Zaledwie się drzwi za Maszkowskim zawarły, wstał i zadzwonił.

- Siła! - krzyknął niebywale głośno.

Oślupieli wszyscy. Oślupiał najbardziej Siła, który od czasu niełaski pańskiej nie pokazywał się na pokojach. Czerwony i nieprzytomny ze szczęścia, przybiegł z oficyn.

- Ubieraj mnie! Konie natychmiast! - komenderował księżę gorączkowo.

W jednej chwili, jakby czar zdjęto, głos ten zelektryzował pałac. Powstał ruch i życie. Księżę ruszał się, jakby nigdy nie chorował. Ubrany, wyświeżony, napędzał pokojowców, krzyczał na stangreta. Nareszcie wsiadł do powozu i kazał pędzić co koń wyskoczy.

Siła, triumfujący znowu na koźle, obejrzał się.

- Dokąd, miłośniwy kniaziu?

- Do Hubina! - odparł tym razem bez wahania, głośno i śmiało.

Konie pognały jak wiatr. Dzień był jesienny i dżdżysty, niebo chmurne, drzewa odarte z liści, chłód przenikliwy. Leonowi było gorąco. Kiedy niekiedy wzywał z powozu i wołał: "Prędej!" Siwosze szły jakby po murowanej drodze, a nie po odmętach jesiennego błota. Piana z nich padała kawałami, jak mydliny. Nie widział księżę Karawiki przekłetej, nie pomyślał o Sumorokach. Drżał z niepokoju o jedno: że przybędzie za późno. Wreszcie poczęły mu na kształt widziadeł migać topole wysady. Wpadli na dziedziniec Grzymały i stanęli.

Nagle znalazł się księżę jakby wśród jarmarku. Dziedziniec zatłoczony był końmi, bydłem, gospodarczymi sprzętami, całym dobytkiem obywatela. Roił się od Żydów i chłopów tak szczelnie, że zaprzęg holszański musiał stanąć, wparty między ludzi i stosy sprzętów. Leon wysiadł. Przybycie jego sprawiło zamęt i osłupienie. Ludzie na chwilę ucichli, coś tylko szepcząc i usuwając się z drogi przed sążnistym Siłą, którego barki na kształt tarana rozbijały tłok na dwie strony.

Raz pierwszy w życiu księżę znalazł się pieszo wśród gawiedzi i zobaczył podobny widok. Krew uderzyła mu do twarzy; uczuł szaloną ochotę tłuszczyć tę postrzelać, jak strzelał kruki czarne lub sępy zbierające się nad martwym ciałem.

Nigdzie nie było Grzymały. Na ganku zasiadał komornik ze swymi akolitami, otoczony żydostwem, i stał dłużnik, coś przekładając urzędnikowi.

Akcja nie była jeszcze rozpoczęta. Idąc, słyszał Leon półgłosem czynione uwagi:

- Książ nie w porę trafił z wizytą.

- I na pogrzeb się spóźnił, i gospodarza nie zastał.

- Toż mówili, że umiera.

- A może co kupić chce.

Nie zważał na nic. Wszedł na ganek. Urzędnik go znał, powstał i uklonił się. Dłużnik zdjął nawet jarmułkę. Tłum zaczął się cisnąć, żeby zobaczyć, co to będzie. Nie zaszło jednak nic

osobliwego. Książę stanął przed stołem i nie wdając się w żadne gawędy, dobył z kieszeni pugilares, na którego widok szmer zachwytu przeszedł po tłumie i odkryły się głowy co do jednej.

- Ile wynosi wasza należność? - spytał Żyda.

- Trzy weksle na ośm tysięcy rubli, najjaśniejszy kniaziui.

- A koszta sądowe? - zwrócił się do urzędnika.

- Trzysta rubli.

- Oto są.

Gorączkowo, jakby każda sekunda mu ciążyła, począł wyrzucać na stół pieniądze. Tłum począł się cofać, hucząc i szumiąc. Czynił wrażenie sępów, spłoszonych i odchodzących niechętnie od spodziewanego żeru, którego wonią pasły się już i rozkoszowały, a który mocniejszy porwał. Czeladź Grzymały, przyglądając się z boku legalnemu rabunkowi mienia swego chlebobdawcy, przy tym nagłym zwrocie akcji cisnęła się naprzód do bydła, do koni, a najśmielszy stangret przystąpił do urzędnika i spytał:

- To już znowu nasze? Możemy zabierać?

- Możecie.

Książę, zajęty formalnościami urzędowymi, głowę podniósł.

- Uprzątajcie żywo - rzekł - żeby pan Grzymała nie zastał śladu tego.

- Dziękujemy jasnemu kniaziui! - zawołał prostodusznie stangret, kłaniając mu się do kolan.

- Dziękujemy! - powtórzyli chórem inni.

Leon spojrział po nich zdziwiony. Za co dziękowali? Przecie nie ich uratował.

Wtem, gdy stał pochylony nad stołem i przeglądał wręczone mu przez komornika papiery, drzwi domu otworzyły się za nim i z cicha rzekła Gabrynia:

- Dziękuję i ja księciu za brata i za siebie.

Obejrzał się; zawstydzony i onieśmielony, ukłonił się tylko w milczeniu. Gabrynia była nadzwyczaj blada i prawie ponura, w czerni cała.

- Państwo ponieśli stratę - rzekł wreszcie książę.

- Onegdaj zmarła bratowa. Dziś z powodu żałobnego nabożeństwa brata nie ma w domu.

- Tyle na raz! Nigdy nie daruję panu Grzymale, że o mnie w takiej chwili zapomniał. Miałem nadzieję, że jestem czymś więcej dla niego niż obcym.

- Okazał to książę - szepnęła podnosząc nań prędko oczy i wnet je spuszczaając.

Urzędnik wstał i kłaniał się. Ukończył swą czynność i potrzebne papiery podawał księciu. Ten je wziął i na stole położył.

- Jasny kniaziu - ozwał się do niego rządca Maszkowski, niemy świadek tej sceny - graf mi polecił kupić tutaj dwa konie. Co mam mu rzec?

- Że pana Grzymały nie było w domu.

Dziedziniec był już prawie pusty. Sępy odleciały, czeladź uprowadziła dobytek; ostatni odjeżdżał komornik z Żydem. Przed gankiem parskały siwosze holszańskie. Leon nie czuł choroby i żadnej reakcji po tym gwałtownym czynie gorączkowej energii, jak nie czuł chłodu i jesiennego powietrza. Twarz jego miała trochę rumieńca, oczy blask myśli, tylko usta nie umiały mówić. Zakłopotany był wobec tej kobiety gorzej niż wobec królowej. Bo też miała ona w sobie spokój i takt królewski. Nie wspominała mu łaski ani rozptywała się we wdzięczności; nie opowiadała niedoli ani wtajemniczała go w sprawy ich osobiste. Dogadzała tą swoją powagą i lakonizmem wszystkim jego wyrafinowanym wyobrażeniom o dobrym wychowaniu i wymaganiach światowych. Rozmawiali chwilę o potocznych sprawach; wreszcie księżę ukłonił się głęboko i skierował do powozu.

- Księżę zostawił papiery! - przypomniała z cicha.

- Należą do pana Grzymały - odparł.

Potrząsnęła głową z przykrością. On bał się, że powie coś, co u pospolitych ludzi jest pochwałą i uznaniem, a co jego delikatność zrani. Zdawało się, że go pojęła, bo zagryzła usta i rzekła tylko spokojnie:

- Wręczone je zatem bratu.

- Dziękuję pani!

O kilka kroków już oddaleni, spojrzeli na siebie dłużej nieco. Ona zbladła i nagle ujrzał na jej twarzy dawny wyraz, kiedy go kochała i wierzyła. Krew żywa zalała mu policzki, uczył się młodym i silnym. Sekundę miał szaloną ochotę wrócić i upomnieć się o to, co stracił, ale w tejże chwili ona, może dojrawszy w jego rysach tę myśl, zniknęła z ganku. Księżę nie pamiętał, jak się znalazł w powozie, jak się znalazł pod Holszą.

Wracał innym, niż wyjechał. Zobaczyli to wszyscy, stwierdził doktor nadworny.

- Księżę o dziesięć lat odmłodził - rzekł.

- Tylko o sześć - odparł Leon z uśmiechem.

Po tym pierwszym czynie, zerwawszy jakby więzy niewidzialne, czuł się niezdolnym do bezczynności. Nie znalazł sobie miejsca w całym wielkim pałacu. Zwiedził cieplarnie i stajnie, zajrzał do biblioteki, odwiedził profesora.

Ten, jak zwykle podczas słoty, siedział nad swoją monografią pajaków, sam do pajaka samotnika podobny.

- Dawno nie widziałem profesora - rzekł. - Chorowałem ciężko.

- Chorowałeś? - obojętnie odparł uczony, oczu nawet nie podnosząc. - Pewnie dużo spałeś, dużo jadłeś i nic nie robiłeś.

- Co do słowa zgadł profesor! - zaśmiał się młody.

- Osobliwość, że jeszcze żyjesz w takim razie.

Podniósł głowę i przechylił ją, jakby myśl mu ją tak obciążyla i dodał:

- Nie widziałem nigdy, żeby owad jaki, co żyje jedno lato, chwilę był bezczynny, żeby się objadł albo zasnął. Toteż zdrowe są. Umierają przed czasem, tak bywa, ale to chyba mord. Zresztą zdrowe są. Jakim sposobem ludzie mają czas próżnować, kiedy stokroć więcej mają do roboty. Osobliwość, zagadka!

Leon pod jego jasnym a dziecinnym prawie wzrokiem oblał się raz pierwszy w życiu purpurą wstydu.

- Profesorze, zagadki tej ja nie mam mocy rozwiązać, bo sam próżnowałem całe życie.

Stary głową potrząsnął, jakby tę myśl, do roboty swej nie należącą chciał z niej wyrzucić. Nie uważał na odpowiedź i sam do siebie zamruczał:

- Nawet i mszyca leniwa swoje robi. Hm, hm!

Potem schylił się nad rękopisem i oniemiał.

Książę zerwał się z miejsca i poszedł wprost do biura. Od czasu swej choroby nie odbył żadnej sesji; teraz chciał pracować.

- Siła, zawołać Butnera! - rozkazał.

Siła machinalnie ku drzwiom się zwrócił, ale w czas się opamiętał, że za daleko było.

- Miłościwy kniaziu, nie ma jego! - odparł.

- Gdzież jest?

- Tegoż tygodnia, co kniaź jasny zachorował, Niemiec wyjechał. Mówią, że do swoich... Córkę wydaje za mąż... i mówią, że chyba nie wróci, bo dziesięć koni zabrał, a ludziom opłaty zalegają od pół roku. Szli tutaj raz na skargę, aleśmy ich wygnali.

- Zastępuje go przecie ktoś.

- Nikt; obiecał za tydzień wrócić.

- Jest zatem kasjer?

- Ten ci jego zięć. Razem pojechali.

- A plenipotent także pojechał?

- Ten jest, ale onegdaj do guberni pojechał, bo oną sprawę mają sędzić o rozerwanie huty w Czartomlu.

Książę patrzył na hajduka osłupiały. Uczuł się wobec tych wieści najzupełniej bezradnym i chwilę milczał, nie wiedząc co czynić i rozkazać.

- Poszlij zatem po czartomelskiego rządcę - rzekł wreszcie.

- Miłościwy kniaziu, ten ci też na owo niemieckie wesele pojechał. Oni szwagierki z Butnerem. Po co im wracać, kiedy się po usta objedli kniaziowskiego dobra.

Leon brwi zmarszczył, gryzł wargi i milczał.

- Możesz odejść! - rzucił krótko.

Wstyd mu teraz było pokojowca.

Został sam i spojrzał na biurko. Leżały na nim stosy nie tkniętych skarg i próśb. Przysunął je bliżej i na chybi-trafi jedną otworzył.

Ortografia była okropna. Skarżył się ekonom z rodziną, że po dwudziestu latach służby wyrzucony z jakiegoś folwarku niby za to, że się z zasiewem spóźnił. Ale on zaręczał, że skończył w porę, a wypędzono go, bo nie chciał należeć do łotrostw Butnera. Błagał o chleb, o dach dla dzieci i żony chorej. Książę spojrzał na datę, zesłoroczną, i zadumał się chwilę. Rozciął drugą kopertę. Było to pismo zbiorowe mieszczan holszańskich o wapniarkę. Przysięgali, że gotowi dać tyle co Niemcy, i że mówili Butnerowi, jako kniaź nie zechce ich utrzymania życia pozbawić, a on miał rzec na to: "Kniaź nie pije nic innego, tylko waszą krew!" Książę odłożył papier i jeszcze dłużej się zadumał. Potem znów do stosu sięgnął, trzeci pakiet otworzył. Była to prośba dzierżawcy, któremu za ratę zaległą - trzysta rubli - zabrano na wiosnę sprzężaj folwarczny, cały jego majątek. Prosił o zwłokę, aż rzepak zbierze, prosił, żeby chociaż ten rzepak wzięto, a nie konie i woły, bez których przecie zginie zupełnie i odejdzie jak żebrak albo kraść się nauczy. Butner chciał go się pozbyć, bo on jego propozycję odrzucił, aby na spółkę eksploatować las w folwarku, okradać księcia. Leon spojrzał znowu na datę. Upłynęło od tego czasu pół roku. Popatrzał na stosy tych listów i więcej nie czytał. Zdało mu się, że każdy był łzą, jękiem, stękaniem lub zgrzytem.

Odsunął się od biurka. W pokoju wczesny zmrok jesienny zapadał. Zadzwoił i, wstrząsany chłodem, kazał rozniecić ogień na kominie i podać światło. Jeszcze nie zaczął działać, a już goryczy miał pełną duszę - goryczy, wyrzutów, a co najcięższe, poczucia nieudolności, słabości, niemocy przed zadaniem. Stracił zupełnie głowę. Ujrzał się wobec chaosu i osłupiałym wzrokiem wpatrując się przed siebie, gubił się w beładnych myślach i zamiarach.

W tej chwili Siła stanął na progu i oznajmił:

- Pan Grzymała.

Książę, jak ruszony sprężyną, podskoczył, zerwał się z miejsca, z daleka już jak do zbawcy ramiona wyciągnął.

Obadwaj byli dnia tego w niezwykłym usposobieniu; stało się więc, że zamiast ściśnięcia dłoni uścisnęli się jak bracia i żaden się nawet nie zdziwił. Grzymała blady, w żałobie, zmizerowany strasznie, miał łzy w oczach, gdy zaczął mówić:

- Musiałem dzisiaj jeszcze podziękować księciu, choć pora niestosowna, ale mnie dusiła wdzięczność i nie mogłem jutra doczekać.

- Panie Grzymała, to były tylko pieniądze!

- Mniejsza o nie. To było serce księcia; ja za nie dziękuję. Odwiozłem też te papiery. Księżę je zatrzyma na rok. Za rok spłacę. Idę na służbę.

- A Hubin?

- Hubin nie był mój i nie będzie. Dziś mnie rodzina stamtąd wyгнаła; odebrali też zarząd teściostwo i stryja dzieci. Ano, słusznie: pohodowałem je wszystkie, teraz dorośli - nie ma dla mnie miejsca. Powiedzieli, że straciłem fortunę, więc im oddałem, co moje było, i odchodzę. Może oni rację mają. Daj im Boże wszystko dobre!

Gdy to mówił, wargi mu drżały i mieniła się twarz. Odwrócił się i umilkł; może go łzy dławiły.

- Pochowałem żonę biedną. Męczyła się okropnie - mówił po chwili głucho - więcem teraz wolny jak kołek. Daleko, aż na Ukrainie, w dobrach Piatnickich, hrabia, właściciel, daje mi zarząd. Za rok, da Bóg doczekać, odwiozę księciu mój dług.

Leona jak piorun uderzyła myśl.

- Panie Grzymała, ja pana nie puszcze! - zawołał. - Nie odejdziesz pan, chyba do Holszy!

Grzymała spojrzał zdumiony.

- Księżę mnie nie potrzebuje. Jest rządcą u księcia.

- Nie ma. Uciekł podobno, zostawiając mi to. - Ręką na prośby wskazał.

- Nie może być! Może tylko wyjechał?

- Zobaczymy jutro. Tymczasem nie ma nikogo, ani kasjera, ani rządcy z Czartomla, ani Butnera. Plenipotent broni sprawy o jakąś hutę.

- Hutę rzeczywiście podpalono.

- A pensje zalegają od pół roku?

- Podobno. Przynajmniej ludzie piszcą przed zimą.

- A ten z Czartomla był szwagrem Butnera?

- Tak się okazuje.

- A kasjer jest jego zięciem?

- Bardzo być może, bom tę młodą parę często spotykał razem na spacerach.

- Zatem ja... byłem... głupcem!

- Księżę nie myślał o interesach i dobrach.

- A pan mnie ostrzegł raz i tegom nie usłuchał - rzekł ponuro Leon.

- Stało się; nie myślmy o tym, co minęło. Ja tę myśl precz odganiam; niech książę uczyni podobnie. Naprzód patrzeć i myśleć. Życie jeszcze przed księciem.

- Nie dam rady! Nie wiem, od czego zacząć jutro - poskarżył się Leon desperacko.

- Jutro trzeba mniej więcej obrachować, na ile te ptaszki okradły księcia; potem zebrać całą administrację i rozejrzeć się w ich czynnościach; potem popłacić rachunki; potem zlustrować osobiście wszystkie folwarki; a potem, potem ciągle czynić, czynić i czynić dobrze aż do śmierci.

Grzymała był znowu sobą. Już swego nie pamiętał; już, co sam przeżył i wycierpiał, wtłoczył w głąb duszy, przejęty był troską księcia jak własną.

- A z tym co zrobić? - spytał Leon wskazując prośby.

- To załatwimy dzisiaj. To czekać nie powinno.

Książę za każdym słowem nabierał otuchy. Jakiś wicher go porywał i niósł. Teraz zdawało mu się wszystko łatwym i dostępnym. Chciał zaraz posyłać po oficjalistów, zwoływać nie opłaconą służbę. Otworzył kasę i począł wyrzucać z niej pieniądze. Już dzwonił na Siłę dla wydania rozkazów; ledwie go Grzymała powstrzymał, powtarzając swoje:

- Życie długie i każdy dzień ma godzin dwanaście do pracy. Nie spieszmy, abyśmy się przed czasem nie znużyli.

Zasiedli tedy do zaległych próśb obok siebie, u jednego biura. Książę w tej chwili sam sobie imponował. Grzymała załatwiał się prędko. Dopomagała mu bardzo znajomość ludzi i stosunków. Spoglądał na podpis i już wiedział treść i rację skargi. Więc też, nie utrudzając księcia czytaniem, stos ten rozdzielał na dwie części.

- To do kosza... To do rozprawy! - mówił. - Wolno księciu karać, nie wolno krzywdzić.

Po godzinie załatwili tę robotę. Leon miał oczy nienaturalnie błyszczące i czuł się zmęczonym.

- Dosyć na dzisiaj - zdecydował Grzymała biorąc za czapkę.

- Pan odjeżdżasz? Kiedyż pan tu powrócisz? - niespokojnie spytał książę, czując, jak na myśl pozostania bez Grzymały opadał go strach, odbiegała siła.

- Wrócę jutro.

- Na stałe już?

- Proszę księcia uwolnić mnie dzisiaj od odpowiedzi. Jutro odpowiem - z wahaniem odparł Grzymała.

- Jeśli mi pan odmówisz, zmarnuję resztę życia, jakem połowę zmarnował - poważnie rzekł książę, dłoń jego zatrzymując w ręku. - Jestem w tej chwili jak ktoś, co pozdrowiał, przejrzał, zrozumiał złe i dobre, i jestem jak dziecko, które chodzić i mówić nie umie. Jeśli mnie ktoś, komu wierzę i kogo kocham, nie poda ręki i nie dopilnuje, jeśli samotnym czuć się będę - nie wytrzymam

i znów padnę. Pan mnie rozumiesz i mówiłeś mi niegdyś, jakim być powinienem. Dobrze, chcę być takim, ale tylko z panem. Za późnom przejrzał może, ale nie moja to wyłącznie wina. Te pajęczyny - pamiętam pańskie określenie - omotały mnie. Tak rośłem i tak bym umarł, gdyby nie to, że zostałem taką ostracyzmem dotkniętą jednostką. Bunt wszelki wyradza gorycz; gorycz prowadzi do refleksji. Zacząłem myśleć... A potem, ostatnim ciosem... był ten... ten trup. Pan myślisz, że zwyrodniałego arystokraty nie dotkną wyrzuty, wstyd, ohyda przed samym sobą, że on nie potrafi na nowo zostać człowiekiem? Przeciwnie. Wydelikaceni fizycznie i moralnie czujemy subtelniej, ale w pracy jesteśmy dzieci nieudolne. Mówię to wszystko panu, czegom nie mówił nikomu. Odślaniam swe słabości, pokazuję duszę, dlatego, żeś pan do niej kilkakroć kołatał. Oto jest. Prorokowałeś jej pan zmartwychwstanie. Może to zmartwychwstanie jest na progu. Teraz więc pan nie masz prawa odrzucić mej prośby, mej dłoni, mego serca... Ze wszystkich wspomnień, marzeń, wiar i uczuć, które mi poobalało życie, pan jeden cało wyszedłeś. Pytam tedy: czy ma mnie i to zawieść... ostatnie?

Grzymała już się nie wahał.

- To księciu zostanie! - zawołał, w szeroką swoją dłoń ujmując kobieco drobną rękę - to księciu wierne będzie do grobu! Dam swą siłę, pomoc, całą duszę, ale mi księżę niech zostanie, jakim jest w tej chwili. Nie wolno już księciu wstecz wracać, co zmartwychwstało, zabijać. I mnie księżę był wiarą i uczuciem, a jam długo na ten dzień czekał. Teraz uczynię wszystko dla księcia, a w zamian księżę uczyni wszystko dla swego stanowiska. Ten dzień nie będzie oderwanym akordem, będzie pierwszym ogniwem lat pracowitych, ofiarnych, myślących. Na taką pracę wspólną ja staję w Holszy!

- Tak będzie! Jeślibym się zachwiał, wymagam, byś mnie pan zmuszał; daję panu prawo wszelkie nad sobą. A zatem, na taką pracę, pozwolisz pan siebie nazwać bratem?

Grzymała nic nie odparł i tak, jak przy powitaniu, uścisnęli się po bratersku.

- Jeżeli można, niech pan nie odjeżdża! - rzekł Leon po chwili, gdy obaj uspokoili się znowu. - Samotność po tym wieczorze wydaje mi się okropną!

- Zostanę - zgodził się Grzymała - tylko słów parę siostrze poślę, żeby o mnie była spokojna.

Leon poruszył się żywo.

- Jeśli siostra pańska jest sama w domu, ustępuję.

- Nie - odparł z gorzkim uśmiechem Grzymała. - Hubin teraz pełen. Zjechali moi bracia... Nowi gospodarze. Biedna Gabrynia cierpi za mnie, a będzie rada, że mnie się zgryzoty oszczędzi choć przez godzin kilka. Jutro miałem jechać na południe. Jutro przeniosę się do Holszy. Będzie wszystko skończone.

- Skrzywdzono pana okropnie! - oburzył się książę.

- Nie. Ja im byłem ojcem. Ojciec zawsze ustępuje młodym; takim i ja ustąpił. Mogę swoją część teraz wziąć, gdy książę ją oczyścił, ale po co mi ona? Stworzonym do pracy i mozołu, a oni przywykli panować i dogadzać sobie. Im więcej potrzeba. I u teściostwa syn podrośł; jużem im niepotrzebny. I u stryjostwa doszli młodzi tych lat, gdzie mentor jest upiorem. Po co mam ich serca złości i zawiści uczyć? Tylko małych Stokowskich nie porzucę, bo ci tymczasem wierzą mi i lubią. Ano, jeszcze nie dostali dzioba i skrzydeł.

Zaśmiał się po swojemu, dobrodusznie.

- Tyle miałem dzieci i tylko te troje obcych mi zostało. Ano, lat nie zatrzymać.

Zamyślił się chwilę, pochylony, z marszem na twarzy, wąż machinalnie szarpiąc. Te lata przesuwaly mu się przed myślą. Szukał i badał sam siebie, w czym tym wszystkim zawinił, którzy w chwili nieszczęścia obrócili się przeciw niemu i tak go krwawo pokarali? Był dzisiaj wstrząśnięty okropnie i wyrwało mu się na wierzch - nie skarga, ale opowiadanie.

- Naprawdę, anim się spodziewał. Suchodolicz w biedzie był; zaręczyłem za niego Żydowi. Chrucki stanął na nogi, ale co miał, na żonę uprawnił. Nawet terminów nie pamiętałem, boć to nie moje długie były. Od wiosny z żoną było coraz gorzej. Woziłem do Warszawy, do wód; doktorowie nie wychodzili z domu. Tak się to wlokło jak każda niedola. A potem poczęło bić i bić, w piersi, w głowę, to u teściostwa, to u stryjostwa, to w domu. Straciłem zupełnie rozum. Za wiele bo było na raz. Jeszcze dotychczas chwilami myślę, że to zmora była, taki zmordowany i ogłupiały się czuję. Gdyby nie Gabrynia, to bym chyba zupełnie znikczemniał.

Książę po raz pierwszy poruszony był cudzą niedolą.

- I to się nazywa praca! - rzekł gorzko.

- Nie, to się nazywa życie! - poprawił Grzymała. - Kto inne ma, lekkie i puste, ten niewart królestwa niebieskiego.

Leon popatrzał na niego i sam do siebie wyszeptał:

- A to... jest wiara!

Rozmawiali długo w noc. Ogień trzaskał na kominie; za oknami posepną melodię wygrywał wiatr jesienny i deszcz chłodny. Zagłębiony w fotelu książę słyszał te szmery, ale nie drażniły go teraz. Nie był sam i nie bał się jutrzejszej nudy.

Nazajutrz bardzo rano byli na nogach. Ruszyli do mieszkania Butnera; było puste; pustą też była kasa. W rachunkach panował chaos nie do opisania. Po zrobieniu powierzchownej kontroli okazało się, że Butner ze szwagrem i zięciem wywieźli z Holszy okrągły milion.

- Tedy możemy być pewni, że nie wrócą - rzekł książę ubawiony wściekłą złością Grzymały.

Zebrano oficjalistów. Byli to w połowie przybłądy, kreatury Butnera. Straciwszy herszta, potracili głowy; jeden wydawał drugiego, płatali się w odpowiedziach, uciekali sami, by uniknąć sądu. Druga połowa byli to biedacy, którzy pod grozą rządcy i wydalenia milczeli na wszystko. Książę co dzień widział otchłań głębszą; często chciał uciekać, często wzbraniał się dalej pracować. Ale Grzymała był nieubłagany; widział, że jedno jego ustępstwo, a przypadnie znowu ten ledwie odzyskany, i korzystając z owego paktu zawartego, zmuszał go do czynu, a sam mu przykładem był, uczył, radził, pracował za dziesięciu.

Poczęli z bruku, z nędzy wracać starzy słudzy; poczęto brać nowych, znajomych Grzymały. Jednym z pierwszych wrócił Kopko i nieocenionym się okazał ze swym wężem ogara na złodziejów i buntowników. Ale ten służył tylko Grzymale; na księcia jak wilk spoglądał nieufnie.

Potem, pomimo słoty, codziennie konno ksiączę z Grzymałą począł objeżdżać folwarki. Po takich przejażdżkach Leon jadł jak wilk, spał jak kamień, spałby do południa, ale nazajutrz, ledwie świt, Grzymała go budził i nie odstępował dzień cały. Leon doszedł do tego, że wobec energii przyjaciela wstydził się swego lenistwa i zmęczenia, tylko by z przyjemnością połowę swych folwarków darował, byle prędzej tę lustrację skończyć. Ale po folwarkach przysłyżły zakłady przemysłowe, gorzelnie, smolarnie, huty, garncarnie. Nigdy nie myślał, że tego tyle posiada. A zewsząd do niego garnęli się ludzie, to ze skargą, to z prośbą; potem, w miarę zmian i pracy, coraz częściej z podziękowaniem. Poznali też rychło drogę do pałacu. Nie było dni i godzin przyjęcia. Byle ksiączę był w domu, na oznajmienie, że ktoś interes ma, wstawał od każdej roboty, od obiadu nawet, i szedł słuchać.

- Czy to zawsze tak będzie? - skarżył się czasem Leon Grzymale.

- Nie. Skoro księcia cała Holsza nazwie dobrym panem i ojcem, wtedy ja księcia zastąpię. Tymczasem tamto zapomną.

I ksiączę więcej nie protestował.. Powoli nawyknął do tej forsownej pracy. Ani się spostrzegł, jak nauczył się rachunków i rutyny, jak poznał mniej więcej wszystkich starszych oficjalistów, i aż się zdziwił pewnego dnia, porachowawszy czas, że od owego pierwszego dnia - od owego wieczora - minęło pół roku i że zima w pustej Holszy, bez towarzystwa zabaw, minęła mu jak sen. Wtedy przypomniał sobie swe poprzednie życie i z pogardą się uśmiechnął. Świat go odstąpił, a on o świecie zapomniał i ani przez sekundę w czasie tego półrocza o nim nie pomyślał.

Co święto bywał w Zabuzu. Teraz u stołu patriarchalnego brał udział w rozmowach. Z Izą rywalizował wesóło; triumfowali wesóło jedno przed drugim. W Zabuzu nie było bosych; w Holszy nie było żebraków. Miało Zabuzę szkółkę rzemiosł; miała Holsza szkoły ogrodnictwa i gospodarstwa. Restaurowano kościół w Zabuzu; kasowano szynki w Holszy. Dla Leona odwiedziny u siostry były prawdziwą rozkoszą. Między swymi duchem się czuł, a przy tym

pociągał go tam chrześniak - drobina Izy - małe "Lwiątko", które Maszkowski pono więcej od matki nawet kochał. Lecz księżna matka za to, że dziecię Izy wyklęty syn do chrztu trzymał bez żadnej ostentacji w parafii, rzuciła interdykt na Izę, interdykt, po którym Maszkowski po swoim się pocieszał:

- Matka tak daleko, w Paryżu!

Chrześniaka tedy swego pokochał Leon, a do siostry i szwagra przyrósł. Rozumieli się doskonale.

Czasami po powrocie do Holszy, gdy Grzymała nie wrócił z powiatu albo bawił w Czartomlu, a Leon sam był w pustym pałacu, napadała go tęsknota nie określona do szczęścia. Czy zawsze tylko w Zabuzu widzieć będzie rodzinę? Czy tylko chrześniaka popieści? Czy w tej Holszy zawsze będzie tak głucho, cicho, uroczyście?... Czasem, gdy zasypiał, roiło mu się szczęście ale marzenie, zrazu bez nazwy, we śnie przybierało formę i imię. Budził się i odpędzał myśl z jakimś strachem i zgrozą. Bał się, i potem czas jakiś bywał bardzo osowiały i posepny, jakby z sobą w niezgodzie.

Pewnego razu nie lada niespodziankę zrobił Maszkowski. Nie znalazł go Leon w domu i dowiedział się od Izy, że sprzedawszy za bajeczną cenę swego Kasztelana, pojechał do Anglii dla zakupu następcy. Wrócił, gdy Leon jeszcze bawił. Minę miał nadzwyczaj tajemniczą i pyszną.

- Kupiłeś anglika? - spytała Iza.

Maszkowski począł się śmiać, oczyma mrugać i stroić pocieszne grymasy; szperał przy tym zawzięcie po kieszeniach.

- Nie kupiłem. Co to? Wy robicie różne rzeczy, zrobię i ja! Słowo daję! Zrobiłem za Kasztelana stypendium i dałem sto rubli na matki misyjne. Słowo daję! Będzie wilk syty i koza cała! Ot, patrzajcie na dokumenta. Stoi: "Stypendium hrabiego Edwina Zymbram-Maszkowskiego herbu Słońce..." Może służyć Master Young, nich się Hurtle wścieka. Stało się!

To powiedziawszy z miną na poły żalną, na poły dumną, usiadł konno na krześle i udawał, że galopuje. Iza darowała mu ten wybryk i ucałowała bardzo wzruszona, a Leon rzekł:

- Chyba nie potrafię uczynić nic większego!

Gdy odjechał, myślał ciągle o tym. Maszkowski go nie lada zawstydził. Opowiedział to Grzymale. Ten się zamyślił chwilę i nagle głowę podniósł.

- Teraz chyba księżę założy bank ratunkowy w Holszy.

Myśl była rzucona. Leon nastawił uszu, a Grzymała dodał:

- Teraz chyba księżę ruszy kapitały z zagranicy, a rzuci je ludziom, którzy topnieją jak marcowe śniegi, czekając na ratunek.

Zamyślili się obydwaj, pochłonięci ideą.

XIV

Po dwóch latach nieustannej pracy i ofiar wysłużył sobie nareszcie książę Lew imię. Nie nazywano go jednak ani dobrym, ani łaskawym, ani sprawiedliwym, ani mądrym, tylko mały i duży chłop, mieszczanin, oficjalista, dzierżawca i obywatel, sąsiad, gdy mówił o nim, podnosił głowę i nazywał go "nasz"! A w tonie, w spojrzeniu była taka duma i chluba, że to "nasz" znaczyło i mądry, i szlachetny, i dobry, i łaskawy, ale on, kochany, czczony, ubóstwiany, już teraz hołdów nie lubił, dumę swą pogrzebał, wyrósł nad dawne nawyki, i ten "nasz" sługą był każdego, zawsze swych prac i zachodów niesyty. Już go teraz Grzymała nie napędzał, nie uczył; teraz go trzeba było hamować, teraz mu godzin brakło na pracę.

- Daj pan pokój! - odpowiadał mitygującemu Grzymale. - Wyzyskują mnie, powiadasz? To słuszne! Wyzyskiwałem ja zbyt długo. Pokazałeś mi pan niegdyś te ruiny: ano i ja chcę po sobie zostawić coś trwałego w Holszy. W naszym rodzie nie czynimy nic przez połowę! Jam sobie za zadanie wziął: nie dać nikomu zbankrutować. Przecie pierwszy mi powiedziałeś, że Holszańscy strażnikami byli, więc i będą!

Grzymała promieniał. Ten satelita książęcy, wierny, czynny a bezgranicznie cichy, w duszy ani na chwilę nie pomyślał, że on uczynił tego człowieka takim, jakim go ludzie znali i czcili; nie dumny był, nie zarozumiały. Te dwa lata spędzone razem, z jedną myślą, z jednym celem, zespoliły dwóch ludzi w jedno. Nierozłączni byli, i nigdy cień nie zmacił ich porozumienia i przyjaźni; nigdy jeden przed drugim nie utaił myśli, nie poczuł rozdźwięku. Tylko Grzymała wiecznie w cień się usuwał - umyślnie. Na ustach jego był zawsze książę. Cokolwiek uczynił dobrego, cokolwiek powiedział dobrego, to księciu ustępował; ludzi, którzy go kochali, nauczył kochać Leona, póki on sam do czci nie dorósł. Lecz i wtedy Grzymała - narzędzie - nie poczuł zawiści. Jemu idea zagłuszała wszelkie człowiecze słabostki.

Leon to odczuł, a nawykły do szczerości względem Grzymały, nie zataił.

- Czy wiesz pan - rzekł pewnego razu - że gdy ludzie mi hołdują, a pan to słyszysz, nie mogę się pozbyć myśli, że pan jesteś moim mistrzem, i jestem wtedy podły!

Grzymała spojrział na niego, zrazu nie pojmując, potem poczerwieniał.

- Wstyd księciu, wstyd! Alboż ja, książę, każdy, co kocha, o sobie myśli? Alboż czynimy dla siebie, my, pionki! Wstyd, księciu!

Leon istotnie się zawstydił, ale zrozumiał go i już nad to wyrósł. Potem, kiedy myślał o sobie, myślał jednocześnie o Grzymale. Nie pojmował siebie bez niego. W Holszy była cisza, jak i przedtem, ale jakże inna! Tamtej treścią była głucha niechęć, strach i chłód; teraz było cicho, bo było zadowolenie. W tamtej ciszy była sztywność trupa; w tej było spokojne, regularne a mocne

tętnienie pracowitego organizmu. Teraz księżę mógł wypocząć, ale nie chciał. Za ledwie czasem pozwolił sobie na rozrywkę polowania lub muzyki w parku; do stolicy nigdy nie jeździł, towarzystwa nie szukał. Okazał światu, że świat sobie stworzy i bez ludzi się obejdzie. Potem zdziżał, a zapracowany nie sądził, aby miał czas uprawiać stosunki towarzyskie. Wystarczały mu gazety. I fizycznie zmienił się bardzo. Rozrosły mu się barki, zmęźniał i wskutek nawyknięcia do czynu trzymał się prosto, silnie. Twarz mu ściemniała od powietrza, oczy pogłębiła myśl. Miewały one teraz bardzo rzadko owo spojrzenie smutne, a rysy ów nerwowy kurcz, bo rzadko myślał o sobie.

Arcydelikatny Grzymała, pomimo poufałości dyskretny, nie pytał go nigdy o nic, co nie należało do interesów; nie badał rodzinnych stosunków, czując, że tam coś się stało tajemniczego, i tylko raz, znalazłszy księcia u fortepianu, grającego smutną melodię, rzekł żartem:

- Czemu się księżę nie żeni? Byłoby księciu weselej.
- Odpowiem panu tym samym pytaniem - odparł księżę.
- At, ja! - machnął ręką Grzymała. - Moje minęło! Raz się jest młodym i szczęśliwym!
- Odpowiedziałeś pan i za mnie - rzekł Leon zamykając fortepian.

Minęły tedy dwa lata. Była znów jesień, złota, bogata i jeszcze ciepła. Pewnego popołudnia księżę konno wstąpił po Grzymałę do banku, który się mieścił w kamienicy przy rynku w Holszy.

- Potrzebuję z panem odbyć pewien kurs - rzekł.

Grzymała, nie pytając, kazał sobie konia podać i ruszył powoli na most. Obadwaj byli milczący i posepni. Minęli las. Przed nimi zaczerwieniła Karawika.

- Panie Grzymała! - zaczął księżę niepewnym głosem, nie podnosząc oczu - nie śmiałem dotąd spytać pana, co się stało z Sumorokiem?

- Stało się, jak księżę chciał. Po niesłychanych trudnościach, prośbach i zaklęciach udało mi się zapłacić mu za tę ziemię. Wziął te pieniądze i natychmiast oddał chłopom z Krasnych Sadyb, którzy tyle z ich powodu wycierpieli. Potem odjechał i już nie wróci.

- Nie ma go? - spytał głucho księżę.

- Zaciągnął się jako dozorca przy ambulansach... i w Turcji padł. Widział go już bez duszy znajomy mój, Suchodolicz młodszy, kapitan.

Księżę ręką po czole przeszedł.

- Panie Grzymała - spytał - alem ja temu nie winien?

- Nie! - stanowczo odrzekł Grzymała.

Przy Karawice byli. Księżę konia zatrzymał.

- Chciałem panu powiedzieć, że ziemia ta już nie będzie przeklętą. Onegdaj dałem ją siostrze - na szpital...

- Chwała Bogu! - szepnął Grzymała oddychając głęboko.

- Chwała Bogu! - powtórzył ksiązę - może Bóg odpuści im wszystkim i... mnie! A tutaj, na tym wzgórku, umyśliliśmy z siostrą postawić kapliczkę. Może kiedy po latach to miejsce hańby zmieni się w miejsce poświęcone. Może Bóg i ludzie tę plamę Holszańskim zapomną.

Popatrzał chwilę na krzyże i brzozy, potem zawrócił i znowu czas jakiś jechali w milczeniu. Grzymała, wbrew obyczajowi, był chmurny. Zwykle żywe jego oczy biegały po polach i niebie; teraz wbił je w ziemię, ramiona zwiesił, zgarbił się, jakby na barkach ciężar dźwigał.

- Co panu? - spytał Leon niespokojnie.

- Et, nic - odparł wymijająco.

- Przecież zasługuję na zaufanie. Może w czym dopomogę?

- Ksiązę by całemu światu chciał dopomagać! - próbując żartować ozwał się Grzymała.

- Nauczyłem się od pana! - odciął równie żartem ksiązę. - Panu coś dolega dzisiaj. Przez dwa lata nie widziałem pana w takim usposobieniu.

- Bo mnie dzisiaj spotkało najgorsze i, wstyd powiedzieć, płakałem w nocy jak dziecko. Tracę Gabrynię.

- Siostra pana może... wychodzi za mąż? - niepewnym głosem spytał Leon.

- Wolałbym to, ale ona wcale o małżeństwie nie myśli. Tyle razy odrzucała partie, że wreszcie zlekli się wszyscy harbuza. Osobliwe to dziecko! Takie rozumne i słodkie, a bynajmniej nie kochliwe. Ona całe życie pracuje jak mrówka i moją duszą była. Wyrosło to śliczne, a takie samotne i niedostępne jak kwiaty po moczarach. Ludzie okrzyczeli ją za dumną i zimną, a mnie jednemu wiadomo, jaka ona ofiarna i serdeczna. Miałem niegdyś narzeczoną - odeszła ode mnie; żona często z innymi trzymała przeciw mnie; bracia i siostry mnie posądźli, rodzina oplwała. Ta moja najmłodsza została ze mną; ta w biedzie tuliła mnie i pieściła; ta mnie broniła przed samym sobą, żebym nie został wyzyskiwaczem zamiast wyzyskiwanego; ta mi goiła bóle, złociła szare życie! Ot, ta mi duszą była, to biedactwo! Kiedym poszedł do księcia na służbę, została w Hubinie dla mnie. Znosiła, cierpiała i milczała, byle być niedaleko ode mnie. Widywaliśmy się jak kochankowie, ukradkiem, bom do Hubina nie jeździł. Co niedzielę była w kościele, a potem odprowadzałem ją do Karawiki. Z niedzieli na niedzielę cieszyliśmy się tym spotkaniem. Czułem, że jej źle przy braciach. Starszy się ożenił; piekło tam w domu, słyszę. Nie zdradziła się nigdy. Zaklinałem, prosiłem - zawsze jej dobrze było. Aż tu onegdaj przysłała mi kartkę, żebym przyjechał do stryjostwa, że tam ją zastanę. Zastałem, zastałem, ale nie tę, com znał. Płakała, przepraszała mnie, ale zostać nie chce, do Hubina nie wróci, pojedzie w świat. Coś tam zaszło śnać okropnego, ale mi nie chciała powiedzieć. A jam co miał rzec? Odejdzie tedy. Poproszę księcia o urlop

tygodniowy i powiozę ją w ten świat. Może obcy ludzie będą dla niej sprawiedliwsi niż rodzeni. Niech idzie i dzieci uczy. Takem pomyślał i - zapłakałem. Toć chyba raz ostatni i ostatnie tracę!

Książę nic nie powiedział na pociechę. Oczy utkwiał w nieokreśloną dal: po licu mu kurcz przelatywał. Cierpiał, mniej sercem, bardziej dumą. Nie bolała go wcale troska przyjaciela ani cierpienie Gabryni w domu; ale nad wyraz nieznośną mu była myśl, że ona pójdzie między obcych, na pracę; że będzie podwładną czyjąś, płatną domownicą u kogoś, że jej piękność dotkną cyniczne spojrzenia, że ją traktować będą lekceważąco, że przechodzić będzie z domu do domu, jak sprzęt. Ona, którą on niegdyś wybrał, którą wyniósł nad wszystkie, dla której poświęcił swe stosunki i matkę. I ona służyć będzie, wycierać cudze kąty, znosić kaprysy chlebobawców! Aż się wzdrygnął.

Lwie, zaszemrało coś w głębi, tyś człowiek teraz; stworzyłeś sobie świat, uczyniłeś sobie królestwo. Czy nie masz prawa stworzyć sobie szczęścia, uczynić sobie królowej?

Długo na tę pokusę nie było odpowiedzi, aż prawie ze wstydem, ze wstrętem odpowiedź ta przyszła.

Nie mam siły! Żeby ona jedna i Grzymała! Ale za nią idą jej stosunki, rodzina. Figury może poziome i złe, pewnie pospolite i nędznie wychowane. Podniósłszy ją do siebie, trzeba zstąpić. Nie mam siły!

Nędznyś! zaszemrało w nim, aż go dreszcz przeszedł.

- Zimno księciu? - ozwał się Grzymała, zauważywszy ten ruch. - Jutro będzie ciepło!

- Czemu?

- Bo jutro sesja bankowa. Panowie bracia zechcą uczcić prezesa i głównego akcjonariusza.

- Że też pan o tym w swym smutku pamiętasz!

- Smutek mój i służba moja muszą się zmieścić - uśmiechając się po swojemu odparł Grzymała.

Tu nagle stanął i wskazał księciu Siłę, pędzącego co koń wysokoczy ku nim.

- Ktoś przyjechał. Pewnie hrabia - obojętnie rzekł Leon.

Siła stanął przed nim zdyszany.

- Miłościwy kniaziu nasz, goście przyjechali.

- Kto taki? - zagadnął Grzymała.

- Jaśnie oświecona księżniczka, nieboszczyka kniazia siostra.

Szczegółne określenie dla Izy, pomyślał Lew, ale Grzymała zawołał:

- Przecie hrabiną jest teraz, a nie księżniczką! Bredzisz, Siła.

- Nie było rozkazu zmiany tytułu - wytłumaczył się pokojowiec.

Puścili cugle i znaleźli się w Holszy. Grzymała skrzywił do folwarku, Leon ruszył do pałacu. Na drodze minął go powóz pocztowy i bryczka, ale prawie tego nie spostrzegł przy zapadającym

już zmroku... Pałac był oświetlony, służba biegała żywo. Zsiadł z konia i szybko się przebrał w swym mieszkaniu.

Gdy wchodził do salonów, posłyszał na fortepianie brząkaną galopadę. Co się dzisiaj Izie stało... Z uśmiechem szedł na jej spotkanie, gdy wtem skamieniał. Przy fortepianie siedziała ciotka Lawinia. Leon myślał, że upiora zobaczył, i zapomniał na razie języka, nie pojmując skąd, jak i po co spadła nań ta wizyta.

Niedługo czekał na wyjaśnienie. Panna Lawinia ujrzała go i podbiegła, śmiejąc się i szukając lornetki.

- Witam! Pokaż się! Mon Dieu, l'air que tu as! (Boże, jak ty wyglądasz!) Nie wytrzymałam z ciekawości. Zbyt oryginalne rzeczy opowiadają o tobie. Spadłam ~a l'improviste! (bez uprzedzenia) Potrzebowałam zmienić paszport, bo przecie trzymam o swój kraj! Nie lekceważy się patriotyzmu! Sem terem! Widzisz, jadę z Węgier! Zajmujący kraj! J'ai fait un coup d'~etat (Zrobiłam prawdziwy zamach stanu), jadąc do Holszy. Nikt o tym nie wie!... Do czegoś podobny! Co za tenue! (tu: wygląd) Włosy nie karbowane, odzienie sprzed trzech lat, a opalony jak rybak dalmacki! Zimowałam nad Adriatykiem, słyszałeś? Siedzę tu od trzech godzin; no i wiedz o mojej dyskrecji - nogą nie stąpiłam poza salon! To kolosalne, co?... Pomimo wszystko, świetnie wyglądasz. Wiadoma rzecz. Miłość romantyczna o tyle wypięknia, o ile legalna zbrzydza. Tu es un fameux coquin! (Nieźle z ciebie ladaco!)

Zaśmiała się impertynencko. On, oszołomiony tym potokiem bezładnych, pustych słów, odwykły od podobnego paplania, niewiele zrozumiał. Oprzytomniał na tyle tylko, że ją pocałował w rękę i poprowadził do jadalni, gdzie właśnie podano obiad. Zwykle spożywał go w towarzystwie Grzymały i profesora; teraz nikt się nie pokazał. Panna Lawinia spojrzała na puste nakrycia i uśmiechnęła się domyślnie.

- Spłoszyłam twoich biesiadników! Powiedzże mi, jaka ona? Dwoje zakochanych widzieć u stołu, co za przyprawa! Jakie wety! Nie żenujcie się.

Leon spojrzał na nią mocno zdziwiony. Czy zwariowała?

- Profesor zapewne zapomniał o obiedzie, a Grzymała zajęty - odparł spokojnie.

- Tam, tam! Lari, fari! (Tere-fere!) - śmiejąc się zawsze rzekła.

- Ciotka zapewne zmęczona drogą? - spytał grzecznie, czując, że całkiem stracił wprawę do banalnej rozmowy.

- O, nie. Męczy mię tylko siedzenie na miejscu. Na wyraz "u siebie w domu" dostaję spazmów.

- Sądzę, że ciotka owych spazmów nigdy nie doświadcza.

- Ach, nie! Bronię się, ile mocy. Powiedz mi, jak możesz dobrowolnie zostać więźniem?

- Będąc poniekąd w tym położeniu, czuję się szczęśliwym.

- Ach, ty! Twoje więzienie ma szczególne warunki.

- Zapewne - odparł poważnie - nie mam czasu zastanawiać się, żem więzień, ani czasu nudzić się.

- Podobno wyrosłeś na ideologa. Reformujesz ludzkość.

- Dotąd zaledwie zreformowałem siebie. Idee moje nie są też logos (słowem), ale czynem.

Czyż jednak świat raczy się mną zajmować?

- Ależ mój drogi! O nikim i o niczym innym mowy nie ma. Tu es la fable du monde. (Jesteś pośmiewiskiem świata)

- Doprawdy! Co za łaska! Ja, przyznaję, nigdy o nich nie myślę. Jestem niewdzięczny - odparł szyderczo.

Spojrzała na niego urażona.

- Ba! - odcięła - kto jest zajęty ludzkością, chłopami i robieniem majątku, ten nie ma czasu na nic więcej.

- Ano tak! - odparł sposobem Grzymały, szorstko. - Więc też nie rozumiem, skąd biorą czas zajmowania się mną ludzie zajęci jedzeniem, modami i traceniem majątku?

- To tak miło drwić z kogoś!

- W braku głębszej myśli... zapewne!

Panna Lawinia zaczęła sapać jak kot rozgniewany.

- Aleś ty stracił nawet elementarną ogładę! - zawołała.

Zrozumiał, że się za daleko posunął i na przeprosiny pocałował ją w rękę.

- Proszę darować! Zdziczałem. Ciotka mnie powinna wziąć na wychowanie.

Udobruchała się zaraz i zapomniała. Po chwili już trzepała piąte przez dziesiąte, mieszając kilka języków i geografię całej Europy. Do końca obiadu Leon był wtajemniczony w dzieje wszystkich modnych skandalów, wiedział plotki wszystkiej arystokracji, znał sprawki dawnych kolegów i dam z towarzystwa, miał wrażenie, jakby mu w głowę napchano plewy i siczki. Zmuszał się do udziału w rozmowie nie pojmując, jak te głupstwa mogą kogo zajmować i jak on tym żył i karmił się tyle lat?

Po obiedzie ciotka rozlokowała się w tureckim gabinecie, przyniosła mu najnowsze romanse, stosy fotografii, paliła cygarety, piła kawę i paplała dalej. I nagle, gdy był najmniej uważny, zamyślony o dzisiejszej rozmowie z Grzymałą, zagadnęła niespodzianie:

- Powiedz no, Lwie, co byś uczynił, gdybym tak w tej chwili zechciała obejść pałac od strychu do suteryn?

Spojrzał na nią, zdziwiony tym nowym konceptem.

- Ależ ciotko! radziłbym tę podróż odłożyć chociażby do dnia - rzekł z uśmiechem.

- A gdybym nie ustąpiła i minuty?

- To bym służył za cicerona (wł. - przewodnik).

- No, no, no! Nie wyzywaj mnie. Zanadto jesteś zuchwały.

- Ależ ciotko! zaręczam, że wszystkie sklepienia są bezpieczne, a kurytarze czyste.

- Drwisz jeszcze! Taisz się! No, więc prowadź!

Książę brwiami ruszył tylko na znak podziwu.

- Siła! - zawołał - weź kandelabr i idź naprzód. Służę ciotce. Zaczniemy od góry czy od dołu?

Śmiał się, a to ją widocznie drażniło.

- Zobaczymy wszystko! - rzekła wyzywająco, trzęsąc głową.

Oryginalana ta wędrownica trwała bardzo długo. Nie darowała ani jednego pokoju, zaglądała we wszystkie kąty.

Siła szeroko otwierał oczy i wciąż na pana spoglądał. Leon nie rozumiał nic. Zwiedzili poddasze i suteryny, oba skrzydła i sam korpus. Na końcu stanęli w sypialni księcia.

- Tu co? - spytała panna Lawinia wskazując jedne drzwi.

- Ubieralnia - odparł Leon.

- A tu? - Wskazała drugie drzwi.

- Gabinet myśliwski.

Nie wierzyła. Zajrzała sama i nagle, stając przed nim, spytała szczęściem po francusku:

- A gdzież ona mieszka? Trzymasz ją osobno?

- Kto? Kogo?

- Twoja kochanka!

Od nazwy tej nawet odwykł przez ostatnie dwa lata. Od Grzymały nauczył się szanować kobiety nawet w kawalerskiej gawędzie. Maszkowski nawet pod wpływem Izy zapomniał cynicznych określeń. Nie dziw więc, że na dźwięk tego słowa książę mimo woli uczuł wstręt i niesmak. Tak, te dawne wolne obyczaje i francuszczyzna leżały za nim daleko.

Powstrzymał jednak ostrą odpowiedź i rzekł półzartem:

- Ciotko, nie trzymam nikogo i mieszkam jak puszczyk.

- Kłamiesz! - oburzyła się. - Przecie to głośne; cały świat o tym mówi. I ja cię usprawiedliwiam. Żenić się nie wypada, odstąpić się nie chce - bierze się więc, tak sobie! To takie pospolite i naturalne. Możesz sobie przecie na to pozwolić. W tej ciszy urządź sobie raj! Niejeden ci zazdrości i niejedna księżna tej twojej wybranej zazdrości! To także stanowisko!

Wyglądasz na wiernego, a przy tym to nie l~egitime (usankcjonowane; żona - określenie ludowe). Potem, jeżeli ci dokuczy, wyposażyś i odprawisz. Zuch jesteś! Przecie postawiłeś na swoim!

Książę o krok odstąpił i bystro spojrzął w jej oczy.

- Nie rozumiem ciotki. Któż to ma być taki? - spytał zmienionym głosem. - Może ciotka wie imię?

- Mais, mon Dieu! (Och, mój Boże!) Po co ta komedia, to udawanie! Mówiła mi twoja matka sama, no i każdy to imię zna. Tu l'as donc rendue c~elebre (Więc to ty uczyniłeś ją sławną).

- Co? - krzyknął Leon, tknięty nareszcie zrozumieniem.

- Ano cóż? Twoja dawna miłostka, panna Grzymalanka! - cynicznie zaśmiała się panna Lawinia.

Leon skoczył, jakby strzał dostał albo policzek.

- Co? - powtórzył dławiąc się zgrozą i wściekłością. - Powiedziano ciotce, że panna Grzymalanka jest... - nie zdołał wymówić. - Powiedziała to matka, gada świat? Tak? Dobrze! Niechże im ciotka powie, że panna Grzymalanka za miesiąc będzie moją żoną!

Skoczył do drzwi i zniknął. W kurytarzu zataczał się, krew mu zalewała oczy. Wszystko przed nim wirowało. Nie czuł nic więcej oprócz wstydu, oprócz dzikiej złości, oprócz chęci zemsty. Żadnego wahania, skrupułu, namysłu. To jedno, to jedno - najświętsze - tak mu urządzili! Śmiała matka ją tknąć, śmiał świat ją oplwać, śmiała ciotka szukać po jego domu jak ladacznicy! On im to wszystko zapłaci. Miłość jego uczynili płatną, obrachowali. Ano, on im pokaże, jak on za miłość płaci, jak ją kupuje.

Zszedł na dziedziniec i ruszył w noc czarną, nie widząc o krok, chłostany deszczem jesiennym, ku mieszkaniu Grzymały. Wicher nim targał i przejmował do kości, potraçał ludzi, którzy go nie poznali, ślizgał się i potykał. Grzymała zajmował parę pokoi w ekonomii położonej na dole góry, nie opodal miasteczka. Że książę sto razy nie stoczył się w przepaść, było cudem. Brytany go opadły na folwarku, ledwie trafił do drzwi i wszedł do środka.

Grzymała pisał coś u stołu, ukryty za księgami. Obejrzał się i skoczył na równe nogi, przerażony. książę do siebie był niepodobny, zmokły, z odkrytą głową, jak trup blady.

- Co księciu? Nieszczęście jakie? Chorzy w Zabuzu?

- Nie, nie! Przepraszam pana! - odparł Leon gwałt sobie zadając, by jaki taki spokój odzyskać. - Nic się nie stało złego. Miałem interes do pana i nie chciałem do jutra czekać. Siła się spóźnił ze światłem i okryciem, a wiatr mi zerwał kapelusz.

Chciał się uśmiechnąć, ale tylko skurcz mu skrzywił twarz.

- Panie Grzymała, interes mój może się zawrzeć w kilku słowach; ale nim to wymówię, spytam pana, czy masz mnie pan za przyjaciela i brata? Pracowaliśmy tyle czasu razem: czy pan mnie, Lwa Holszańskiego, kochasz i cenisz jak ja pana?

- Co księciu? - powtórzył Grzymała.

- Będę pana prosił... o wielką usługę, jakiej się tylko może wymagać od wiernego druha. Potrzebuję zapewnienia od pana!

- To je księżę masz. Lubiłem zawsze księcia, a teraz nikogo miłszego nie mam na świecie, nikogo wyżej nie cenię i nie szanuję. Nie mówiąc już, że takem się zżył z księciem, że bym zmarniał, tęskniąc do Holszy.

- Dziękuję panu. Dostałem już od pana pracę, pojęcia szlachetne, zadowolenie, spokój; teraz w ręku pańskim jest moje osobiste szczęście. Panie Grzymała, proszę pana o rękę pańskiej siostry!

Szlachcic bez słowa popatrzył na niego. Leon głęboko odetchnął. Z powietrzem, zda się, wpadła mu fala uspokojenia. Wyprostował się jak człowiek dobywający się z manowca na drogę równą i prostą lub jak szermierz, który powalił mocnego wroga i śmiało czeka odpowiedzi - nagrody.

Ale Grzymała głową potrząsnął.

- Nie rozumiem ani słów księcia, ani myśli! Chce księżę żenić się z moją Gabrynią! Do czego to podobne? Zresztą ona się nie zgodzi! Księżę jej nie zna!

Leon jasno się uśmiechnął.

- Znałem, kiedy mnie kochała.

- Gabrynia? Księcia? W Imię Ojca i Syna! - przeżegnał się Grzymała jak przed zmorą.

- Czy pan się dziwisz siostrze? Miała prawo mnie kochać! Byłem, i jestem dotąd, jej narzeczonym! Nie patrz pan na mnie jak na wariata. Nigdy bardziej nie byłem przytomny i spokojny! Teraz pan brwi marszczysz z niezadowolenia za milczenie siostry... i moje!

- Wcale nie! - przerwał Grzymała szorstko. - Owszem, rad jestem, że nie wiedział o tym szaleństwie. Co księciu się stało? Gdzie zastanowienie i logika! Choćby nawet Gabrynia księcia kochała, ja na taki związek nie pozwolę, a księżę jutro już wdzięczny mi będzie. Nie mówmy o tym.

- Owszem, mówmy, a raczej posłuchaj mnie pan. Nie będzie to wcale obrona albo pochwała siebie, ale spowiedź. Przed laty poznałem siostrę pańską w Holszy. Upodobały jej piękność moje oczy, zajęła mnie, potem pokochałem ją, wreszcie wyznałem swe uczucie. Mogłem jej rzec, że kocham nad życie, kiedy dotąd, przez tyle lat, nie pokochałem żadnej innej. To jedno mam na swoją obronę; reszta jest jednym szeregiem słabości i nędzy duchowej. Matce mojej ktoś, dowiedziałem się potem, że kapelan, odkrył naszą serdeczną tajemnicę. Zagroziła skandalem

pannie Gabrieli, kazała mi zerwać i wyjechać. Byłem zbyt młody i nie przygotowany do walki; uległem. Wyniosłem z Holszy żal, rozpacz, rozbicie i niechęć śmiertelną do matki. Potem starałem się zapomnieć, zabijałem się fizycznie i moralnie, zepsułem się do gruntu, pogrzebałem wszystkie ideały; a jednak nie potrafiłem siostry pańskiej zapomnieć, tylko jej już z życiem swym nie zespała... Znikczemniałem... A wtem uczynił się w mym życiu przewrót niespodziewany. Wróciłem do Holszy w zmienionych warunkach: wielki pan i wielki niewolnik; Chińczyk w formułkach, sługa konwenasów, tchórz przed skandalem. Natura moja potrzebuje musu, potrzebuje gwałtu; sobie zostawiona, porosła skorupą pleśni jak woda stojąca. Raz poddałem się szalonej chęci zobaczenia pańskiej siostry i pojechałem do Hubina. Za karę odjechali mnie wszyscy. Wtedy już powinienem był uczynić to, co dzisiaj czynię; alem stchórzył, skurczył się, zgniótł siebie - i pozostałem w pustym domu, unikając nawet pana, byle się na awanturę nie narażać... Nie rozumiem siebie teraz, ale wtedy nie byłem jeszcze człowiekiem... Nareszcie zaczępiono mnie. Matka kazała mi się żenić. Wtedy wspomniałem chwilę swego rozbicia i zbuntowałem się. Wtedy imię siostry pańskiej raz pierwszy wymówiłem przy ludziach i przypomniałem matce nasz układ: nie ta, a więc żadna... Nastąpiło zerwanie z rodziną, ze znajomymi, ze stosunkami. Do pojedynku, który wtedy miałem, musiałem kupić świadka. Nie pozostał mi ani jeden kolega i przyjaciel. Odtąd zostałem jednostką wyrzuconą ze swego świata; ale pomimo wszystko nie sięgnąłem po skarb. Byłem nikczemny!... Jeżeli dziś po tylu latach walk przychodzę do pana i mówię to, czy masz pan prawo mi odmówić? Nauczyłeś mnie pan być człowiekiem, obywatelem, pracownikiem, a teraz jaki wzgląd powoduje panem? Dlaczego każesz mi pan zastanawiać się? Co mnie rozdziela od siostry pańskiej? Wiara, narodowość, poziom umysłowy? Nic. A zatem czcza forma i przesąd kastowy! Przed tą mumią pan się wzdragasz, pan - mój mistrz? Teraz na mnie kolej rzecz: wstyd panu! Teraz ja odwołuję się do zastanowienia. Jutro mam się rozmyślić - o, nie! Nie wracam wstecz. Ja teraz szczęścia chcę jak każdy człowiek; ja teraz swój skarb wezmę.

- Gabrynia księcia nie przyjmie! - nieprzejednany rzekł Grzymała, a potem spytał podejrzliwie. - Dlaczego księżę dzisiaj tak nagle to mówi?

Leon drgnął, ale natychmiast się opamiętał.

- Dlatego, że moja narzeczona nie będzie służyła, ale królowała! - odparł prędko.

A gdy Grzymała wciąż zachował twarz ponurą i niechętną, księżę go ujął za rękę i spytał poważnie:

- Więc pan mi nie brat, nie przyjaciel?

Szlachcic oczy spuścił, poczerwieniał.

- Ładne to braterstwo i przyjaźń, dopomagać w szaleństwie! - zamruczał.

- Bądź pan konsekwentny! Nie dalej niż onegdaj mówiliśmy z panem o zanikaniu cech wyższości, o karzeniu starych rodów i pan powiedziałeś: "Możni łączą się z Żydówkami lub w rodzinie zawierają małżeństwa; czemu nie zstąpią do inteligencji? To by ich chyba nie zhańbiło! Brzydzą się szlachtą, bo biedna!" Zapamiętałem słowa pańskie.

- Czy ja wiedziałem, że księżę pomyśli o Gabryni!

- A zatem mamy wyjaśnienie. Któż się kim brzydzi? Wy nami!

- Et! - machnął ręką Grzymała - nie będę argumentował. Gabrynia księcia odrzuci i basta.

- Zatem odmawiasz mi pan swej pomocy?

- Cóż bym był wart, gdybym dopomagał?

- Pozwolisz mi pan jednak rozmówić się z sistrą?

- Jak wola księcia.

- Zechcesz mi pan towarzyszyć tylko.

- Ano, jeśli księżę do jutra się nie rozmyśli, pojedę. Niech się to prędzej skończy. Biedna Gabrynia!

Leon był niezachwianie spokojny. Uśmiechy przelatywały mu po twarzy, w oczach świeciło szczęście. Grzymałę wyraz ten gniewał i niepokoił zarazem.

Bóg wie, co się stać może! Ta pewność księcia wróżyła najgorsze. Ogarniała Grzymałę desperacja.

- Do jutra zatem - pożegnał go Leon - ruszymy jutro.

Wyszli do sieni. Żywiczną pochodnią oświetlony stał na ganku Siła. Dwóch liberyjnych drabów otuliło księcia w płaszcz, trzymali nad nim parasol. Odchodził już, gdy go Grzymała dopędził.

- Ja nic nie pamiętam - szepnął błagalnie - ja nic nie słyszałem. Niech księżę do jutra zapomni.

Leon się obejrzał i rzucił mu jasne spojrzenie.

- Jutro, panie Grzymała, będę szczęśliwy albo gorszy niż kiedykolwiek. Stoję na przelomie i w rękach waszych moje następne czyny! Niech pan o tym nie zapomina.

Grzymała pozostał w miejscu i patrzył, jak w czarnej nocy ku górze wspinała się czerwona łuna pochodni. W tej chwili dojrzał mu projekt. Nie wrócił do mieszkania, lecz prosto poszedł ku stajniom, konia sobie kazał osiodłać, burkę włożył, czapkę nasunął na oczy, wskoczył na siodło i ruszył z kopyta. Po północy stanął w domu stryjowskich sierot, gdzie bawiła od tygodnia Gabrynia. Rozbudził służbę i jak był ociekający od deszczu, wtargnął do pokoiku siostry.

Nie spała jeszcze i przeraziła się bardzo. On zamknął za sobą drzwi i bez żadnego wstępu spytał:

- Czy to prawda, żeście się niegdyś kochali?

Nie dodał z kim, a Gabrynia nie pytała. Po twarzy jej poznał, że to prawda, i załamał ręce.

- Kto ci to powiedział i dlaczego? - spytała posepnie.

- On sam! Dlaczego? Bo chce się z tobą żenić! - wybuchnął. - Zwariował oczywiście!

Gabrynia milczała, to blednąc, to czerwieniąc.

- Przyjechałem, żeby cię ostrzec. Jutro tu będzie. Ładna awantura, nie ma co mówić!

Potrzebny kłopot!

Sapał, chodząc po pokoju i machając rękoma. Gabrynia wciąż milczała.

- Powiedzże co! - zawołał stając przed nią. - Prawdaż to, żeście byli zaręczeni?

- Prawda - odparła spokojnie.

- Gdzieżeś wtedy rozum podziała?

- Jurku! A dlaczegoż ty jego kochałeś i kochasz?

- Co to ma jedno do drugiego! Mnie wystarczy być u niego rządcą, a ty marzysz być księżną.

- Ja, Jurku? Skądże ci to przyszło na myśl?

- A czemuż nie chciałaś dotąd wyjść za mąż?

- Sądziłam, że ci jestem potrzebna.

- A teraz gotowaś iść panować w Holszy, żeby służyć ludziom za pośmiewisko! Sądysz, że urośniesz przez to?

Gabrynia zmierzyła go wzrokiem bardzo smutnym.

- Po co mię dręczysz? Powiedziałam ci, że go kochałam, że byłam jego narzeczoną. W Holszy panować nie chcę, ani marzyłam kiedy o książęcym tytule. Jutro wyjeżdżam. Jurku, przez tyle lat byłeś dobrym dla mnie. A teraz...

- Teraz gniewam się na ciebie za tajemnicę!

- Tyś mnie nauczył milczeć i znosić. Tajemnice twoich bólów odgadłam chyba: tyś się nigdy nie skarżył.

Pobity własną bronią, Grzymała umilkł.

Gabrynię widocznie męczyła nieznośnie ta rozmowa. Z wysiłkiem ciągnęła dalej:

- Tyle lat minęło od tego czasu! Parę miesięcy żyłam dla siebie, potem już nigdy. Myślałam, że co umarłe, to zagrzebane, że wszyscy o mnie zapomnieli! Co ja im szkodzę!

Grzymała nie zrozumiał, do czego to się stosowało.

- Nie wiem, co się jemu dzisiaj stało. Nieprzytomnym się wydawał. Mnie to poruszyło okropnie. Złakłem się o ciebie! No, powiedz: na pewno tego głupstwa nie popełnisz?

- Nie, Jurku. Zniosę i to! - odparła cicho.

Nie podobał mu się jej ton smutny. Nie poznawał swej Gabryni trzeźwej, energicznej. Pierwszy raz w życiu czuł wobec niej przymus, a przy tym gdy gwałtowne wrażenie minęło, ostatnie słowa księcia poczynały go niepokoić. Teraz zły był na siebie, że tu przyjechał, że strwożył siostrę, że uprzedzał wypadki.

Wziął za czapkę i nie wiedząc, co rzec, ucałował Gabrynię i wyszedł. W drodze opadły go skrupuły i wahania. Coraz bardziej był z siebie niezadowolony. Stał w Holszy rozstrojony kompletnie. Krzepiła go tylko nadzieja, że księżę się rozmyśli, ale i ta niedługo trwała.

Ujrzał ruch koło stajni. Zaprzęgano konie. Od pałacu przybiegł do niego kozak, wzywając go do księcia.

Z westchnieniem bardzo podobnym do jęku przebrał się i poszedł jak na ścięcie.

Leon już był gotów.

- Będzie to wbrew etykietce, ale nie potrafię czekać do południa - rzekł spoglądając na zegarek.

- Im prędzej, tym lepiej! - zamruczał Grzymała.

Przez drogę prawie nie mówili do siebie. Wyglądali na wrogów jadących na sąd. Po przybyciu na miejsce Grzymała wysiadł pierwszy, wszedł do domu i po chwili wrócił po księcia.

Leon nie zastał nikogo w salonie i niewymownie był wdzięczny Grzymale, że mu prezentacji gospodarzy i banalnej rozmowy oszczędził w tej chwili. Wlepił oczy we drzwi. Wszystkie myśli i ułożone słowa splątały mu się w głowie chaotycznie. Nie miał pojęcia, co ma rzec, od czego zacząć. Na co mu posłużyły całe lata gładkich frazesów? Nie zapamiętał ani jednego.

Gabrynia weszła i skłoniła się lekko. Widać było, że jej usta tak drżały, iż nie mogła wymówić słowa. Zamiast usiąść, stanęła u okna. Grzymała dyskretnie zniknął za drzwiami.

Leon zbliżył się ku niej i stanął naprzeciw.

- Przyszedłem po panią - rzekł z cicha - to jest przyszedłem po swe młodzieńcze kochanie... i narzeczoną... Dotychczas nie byłem wart pani!

Podniosła nań oczy bardzo poważne.

- Księżę nie mówi prawdy! Przyszedł księżę teraz, bo mi ubliżono z powodu księcia! - wymówiła błędnie. - Dziękuję za ten krok, ale poza tym więcej nie chcę. Nie pamiętam żadnych zobowiązań. Księżę jest wolny.

Poczerwieniła i oczy spuścił.

Zapanowała nad pierwszym wrażeniem i mówiła dalej:

- To, co minęło, inne było. Dzieciom wolno żyć w krainie fantazji; dorośli nie mają tego prawa. Drogi nasze nie były jednakie; a to, co nas dawniej łączyło, teraz przestało istnieć. Dziś

uniósł księcia honor; za miesiąc żałowałby księżę swego szaleństwa; za rok pogardzałby mną, żem się pociągnąć dała. Wniosłabym księciu w dom nienawistne stosunki i znajomości; zamknęłabym księciu wstęp do jego towarzystwa. Byłabym w Holszy szarą plamą, księcia ciężarem i nudą, ludziom celem pośmiewiska i szyderstwa. Wiem, dlaczego księżę ofiaruje mi swe imię i wdzięczna mu jestem, ale stokroć lepiej będzie, gdy mnie tutaj nie stanie.

- Pani mnie już nie kochasz? - spytał smutno.

Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową.

- Kiedyś księżę przyzna mi słuszność. Nad wszystko zaś bardziej stoję o szacunek księcia.

- Pani mnie już nie kochasz? - powtórzył.

Rzuciła mu prawie surowe spojrzenie.

- Radam, że mogę z księciem pomówić. Wiem, że wtedy poświęcił księżę swe chwilowe upodobanie, byle mnie osłonić przed skandalem; wiem, że księżę nie przechwalał się moją miłością przed światem; wiem, że księżę cierpiał z mego powodu. Pragnęłam bardzo powiedzieć księciu, że jest dobry i prawy. Pragnęłam też zwrócić tę kartkę pisaną w chwili podniecenia.

Podowała mu poźółkłą kopertę, a on biorąc swój stary list, jej rękę zatrzymał.

- Więc pani mnie już nie kochasz? - raz trzeci wymówił. - Nie odejdę, póki pani tego nie powiesz. To będzie mój wyrok. Nim go usłyszę, jestem pani narzeczonym.

- Nie posłyszysz ode mnie, księżę, żadnego wyroku, tylko prośbę. Proszę odejść i zapomnieć!

Postąpił krok naprzód i zajrzał jej w oczy.

- Czego zapomnieć? Tych kilku miesięcy lata, których pamięć szła za mną przez lądy i morza? Pani więc je zapomniałaś!... Ja pamiętam: że pani serce było moją własnością, że pani dusza naprzeciw mojej wybiegała radośnie, że pani oczy patrzyły na mnie z wiarą, że kochały mnie pani myśli i usta. Pamiętam te ruiny poszyte zielenią i ten krużganek nad bramą, i pani lęk, gdym stał nad przepaścią, i pani słowo, gdym o szczęście prosił. Więc dla pani to słowo było pustym dźwiękiem? Więcem dla pani był zabawką? Mnie pani wypełniłaś serce, przywarłaś do duszy, w życiu byłaś jedyną własnością, o którą dbałem, której teraz przeciw pani samej bronić będę... Możesz pani i o tym zapomnieć, com ja zachował jak święty medalionik z cudownego miejsca, ten drobiazg, którym nosił na piersi, uważając jako zaręczynowe godło... Pani mnie już nie kochasz, kiedy możesz w chwili tej myśleć i mówić o Holszy!

Gabrynia cofnęła się we wgłębienie okiennej framugi, oparła się o ścianę i wyglądała na ogród. W oczach jej był ból i prawie rozpacz.

- Kiedym nareszcie, wolny od przesądów i godny pani, przyszedł o swoje szczęście się upomnieć, brat pani odmawia mi przyjaźni, pani ręki. Każesz mi pani odejść! Do czego? Do kogo?

Sam jestem, a całą moją zbrodnią jest posiadanie tytułu i fortuny. Gdybym oszedł, czyż dbałbym o jedno i drugie? Rzucę wszystko i zmarnuję się teraz zupełnie. Czy byłem lepszy wtedy, gdy pani serce pozyskał, czym gorszy teraz, czym nie człowiek? Boisz się pani Holszy; wszak ja ją stworzyłem inną! Boisz się pani mego świata; została mi z niego jedna siostra, a ta panią już kocha. Więc sercu pani moja miłość nie wystarcza, więc pani żyjesz dumą, więc pani mnie nie znasz, nie wierzysz, nie ufasz? Nie moją już pani jesteś, nie moją!

Stał teraz obok niej i w gorącą dłoń ujął jej rękę. Pałały jego oczy i gwałtownie pracowała pierś. Uczucie zerwało tamy i przemocą porywało ją z sobą.

- Niech pani wspomni nasze kochanie - szptał gorąco. - Niech pani wspomni nasze poznanie i zbliżenie, nasze spotkania u profesora, te godziny wśród ruin, pod niebem, te macierzanki w kwiecie i ptasze gniazda w szczelinach. Byliśmy szczęśliwi, a potem tak nędzni bez siebie! A teraz to szczęście stoi przed nami, teraz przed nami leży wspólna dola, praca, życie ręka w rękę! Czyż pani mi swego serca teraz będziesz broniła, kiedy ono było moje? Czyż pani sądzisz, że ustąpię dla tych racyj, które pani podajesz! Odejdę, gdy mi pani powiesz, że nie kochasz, że nie pamiętasz, nie chcesz mnie! Ale pani tego nie powiesz, bo Lew Holszański milszym pani od księcia! Ten Lew, który wybranym pani był, ten Lew to pani własność! Wszak pani swego słowa nie złamiesz?

Obie jej ręce jak lód zimne podniósł do ust i całował namiętnie. Wyrzywała mu je bezskutecznie, aż nareszcie, zmęczona i osłabła, poczęła cicho płakać, gryząc usta i odwracając twarz.

On już więcej o nic nie pytał, nie prosił, nie przypominał. Oczy jego zalała bezmierna czułość i poważne rozradowanie. Bez słowa wsunął jej na palec brylant książęcy, bez słowa ogarnął ramieniem i przytulił do piersi.

- Moja królowo! - szepnął tylko w uścisku.

Nie próbowała już się bronić. Jak przed laty, przymykała oczy łez pełne i nie pamiętała, że on książę i magnat. Odnajdywała teraz swoje młodzieńcze marzenia i przejęta, zmęczona, bezwiednie prawie poddawała się jego kochaniu.

Milczeli. Głowa jej znalazła się na jego ramieniu; całował złote warkocze, niezdolny z nadmiaru szczęścia słowami jej podziękować. Przed nimi za oknem leżał ogród pusty, nagi, bezlistny; oni widzieli lato, barwy, czuli wonie macierzanki i dzikich nieśmiertelników... Wreszcie Lew ust jej wargami poszukał i wziął je na własność rozkochany, prawie nieprzytomny...

We drzwiach, zdziwiony tak długą rozmową, stanął Grzymała. Nie zobaczywszy nikogo, zdumiał.

- Gabryniu! - zawołał.

Dziewczyna podniosła głowę, strącona nagle z nieba na ziemię. Spojrzała na Lwa żałośnie, z nagłym strachem przed rzeczywistością - i nic nie odpowiedziała bratu. Wzrok jej padł na rękę, na blask brylanta.

- Co on powie! - szepnęła.

- Gabryniu! - zawołał Grzymała po raz drugi.

Lew z żalem cofnął ramię, wyprostował się i wyszedł zza firanki.

- Nie ma Gabryni? - spytał niespokojnie Grzymała.

- Owszem. Rozmawialiśmy właśnie o panu - odparł Leon.

- O mnie?

- Tak. Zapewne u pana są papaiery potrzebne w parafii. Czekaliśmy dość długo. Przed adwentem zaledwie jest czas na zapowiedzi i ślub.

Grzymała kilkakroć głową pokiwał i nic nie rzekł. Gabrynia ukazała się teraz i objęła go za szyję. Stał jak słup i patrzył na nią ponuro. Widział, jak ją łkanie wstrząsało, jak drżała nerwowo; odwrócił oczy.

- Potrzebne ci to! - zamruczał. - Czego płaczesz?

- Nie gniewaj się na mnie! - błagała szeptem.

- Mam się może cieszyć, gdy płaczesz sama?

- Panie Grzymała - wtrącił Leon - miejże pan litość nad siostrą! Nie męcz jej. Wzruszona jest i znerwowana. Spokoju jej teraz trzeba i miłości...

- Może jej tego brak! - burknął Grzymała. - Gdybym kiedykolwiek przypuszczał, że ona taka słaba i takiego mi figła spleta, to bym ją inaczej pokierował. Dawno bym wydał za mąż i kwita.

- Niestety! Uczyniłbyś pan to chyba w razie mojej śmierci. Zapominasz pan, że miała narzeczonego!

- Takiego narzeczonego!

- Takiego, jaki jej był miły. Stało się, panie Grzymała. Narzeczonego przyszedł i wziął panu skarb. Inny może by wywiózł daleko; ten - nienawistny - jest przecie pańskim bratem i przyjacielem, i pozwoli panu co dzień na stracony skarb popatrzeć.

Grzymała znowu na płaczącą siostrę spojrzął, pochylił się, długie jego wąsy dotknęły jej czoła.

- Bo, nie płacz - powiedział. - Skoroś się oprzeć nie mogła, to snąc taka woła Boza. Nie płacz! Nie posądzę cię o nic. Takie ci przyszło nieszczęsne kochanie! Co robić!

Potęzną swą prawicę położył na jej głowie złotej i pogłaskał delikatnie.

- Zwojował nas książkę, zwojował! - rzekł spoglądając na Leona.

- Zwojowaliście wy mnie - poprawił księżę podając mu rękę. Potem zwrócił się do narzeczonej.

- Pani nic nie masz przeciw tak prędkiemu terminowi ślubu? - spytał. - Mnie bo tak ciężko będzie samemu teraz, a widywać się kłopotliwie. Nieznośną też jest myśl, że pani u obcych przebywasz... Za miesiąc chciałbym mieć już swoją królową w domu. Pani zechcesz wyjechać za granicę?

- Po co? - szepnęła. - Księżę uczyni zresztą, jak zechce. Ja się ludzi tak boję!

- A ja ich nie cierpię! - rzekł Lew.

- A ja ich bardzo żałuję! - dodał Grzymała.

- W rezultacie żadne z nas ich nie potrzebuje, więc po ślubie zostaniemy w Holszy. Wolisz to pani?

- O tak! Po co nam ludzie? - z lękiem szepnęła.

- Nie mów tak! - ozwał się Grzymała. - Są źli, są dobrzy! Ale czy źli, czy dobrzy - ci z Holszy całej, jak wielka, i ci, co kniazia potrzebują - względem tych teraz i ty obowiązki bierzesz. Ucz się od hrabiny z Zabuża, czym można pani być powinna. Będą cię wielcy szkalowali, zazdrościcy czernili, ale ty pamiętaj, żeby cię mali i biedni, potrzebni i nieszczęśliwi, smutni i głodni nazwali...

- Królową! - rzekł Lew.

- Nie: matką! - poważnie poprawił Grzymała.

- Jeśli nie potrafię lub nie podołam, nauczysz mnie i pomożesz księżę i ty, Jurku! - rzekła spoglądając na nich.

Obadwaj uśmiechnęli się do niej. Lew rozkochany, a Grzymała zupełnie już przejednany...

Panna Lawinia późno dnia tego doczekała się synowca. Zapomniała już o wczorajszej scenie i zdziwiła się widząc go wystrojonego z kwiatkiem u klapy.

- Oddawałeś komuś wizytę? - spytała.

- Nie, ciotko. Byłem u narzeczonej.

- Co? Naprawdę... żenisz się? Mezalians! Królewska rzecz! Mam nadzieję, że wykradniesz ukochaną...

- Niestety, ciotko! Bez żadnych osobliwości weźmiemy ślub od dziś za cztery tygodnie, w tej parafii.

- Fe! Więc ja nie mam tu co robić. Jadę do Zabuża. Muszę namówić chociażby hrabiego do jakiejś awanturki. Z tobą nie ma co robić! Nie ma w tobie cienia oryginalności. Fe! Jesteś nudny ze swoją cnotą razem! Nie dziwię się, że cię wszyscy odstąpili! Vale!...(łac. - Żegnaj!)

W zimowy, śnieżny poranek odbył się ślub cichy. Zmieniono umyślnie godzinę, aby uniknąć zbiorowiska, ale ludzie książęcy od rana oblegali kościółek. Natłoczony był dzierzawcami, urzędnikami, szlachtą okoliczną. Zaledwie się docisnęli do ołtarza, ocierając się o barki. Książę zabronił pokojowcom torować drogę. Tłum ten go kochał.

Gdy odchodzili już połączeni, ścisk stał się jeszcze większy. Słyszał Leon za sobą nieśmiało a serdeczne szepty:

- Daj wam Boże szczęście! Daj wam Boże długie lata! Oby nam dzieci twoje królowały! Oby synowie twoi twoje serce i rozum mieli!

Podnosił oczy i spotykał twarze biedaków, którym dał chleb, wyzyskanych, których osłonił, złych, których podźwignął, sług swoich albo i nie sług, ale go wszyscy znali i on do nich się uśmiechał, czując w piersi wielką radość i zadowolenie. Widział, że mówiły ich serca, bo łez niejedno oko było pełne. Kłaniali się przed nim, ale wnet prostowali i szmer szedł z ust do ust:

- Nasz książę to! Nasz książę! Nasz dobry!...

Grzymała szedł za młodą parą i triumfował, jakby to jego błogosławili.

Przed kościółkiem stał książęcy zaprząg otoczony biało-złocistą służbą. Siła narzucił na swą młodą panią okrycie i wsadził ją do sań złocistych. Leon obejrzał się za Grzymałą.

- Siadaj z nami, Jerzy! - zawołał.

- Dziękuję. Mnie trzeba być w Holszy przed wami! - odparł Grzymała wskakując do małych saneczek.

Książę otulił nogi żony i usiadł obok niej. Pomknęły konie i eskorta. Za odjeżdżającymi tłum, hamujący się dotychczas, wybuchnął, i pogoniło za nimi życzenie kilkuset serc.

- Daj wam Boże długie lata w pokoju!

Droga była jak szklana i świeciło słońce blade.

- Za godzinę będziemy w domu, u siebie! - szepnął Leon.

- W kościele, słysząc te szmery i błogosławieństwa, poczułam raz pierwszy dumę! - rzekła Gabrynia. - Przy takiej miłości i czci tych ludzi, co za chwała panować w Holszy!

- Nie jam to zdziałał, ale Jerzy. Bez niego przeklinano mnie; bez niego byłem pasożytem!

Spojrzał na prawo od drogi. Gdzie stał Sumoroków zaścianek, białe stopy budulca; między brzoza Karawiki biała kapliczka. Czarne puszcze stały ciche, śniegiem przysypane. Gabrynia pochyliła się naprzód i zasłoniła księciu ten widok. Cień przelotny na jego twarzy zniknął, oczy zaczęły jej coś mówić, rozkochane, aż je zasłonić musiała dłonią... Leon rozkazał by ominąć miasteczko, chcąc uniknąć owacyj mieszczan i Żydów. Ruiny stanęły przed nimi

majestatyczne, w śnieżnym kołpaku, i ujrzeni, że góra cała, drogi, pochyłości, urwiska żywe były, roiły się od ludu, który od rana czekał, wyglądał swego kniazia. Od miasteczka, ujrawszy fortel, biegli mieszczanie. Uderzono we wszystkie dzwony; hałas i gwar rósł w niebiosa.

- Jak oni swego księcia kochają! - szepnęła Gabrynia.

- Czują, że dbam o nich i myślę - odparł, promiennym okiem po tłumie spoglądając.

- Z Krasnych Sadyb są, biedacy, cierpliwi. I z Czartomla przybiegli! - mówił rozpoznając stroje. - Co ja ich mam, tych dzieci!

- Miłościwy kniaziu nasz! - zawołał Siła nadsciągając konno - tam na przedzie ani szczelinki! Każecie rozpędzać?

- Broń Boże! Ustąpcie wy za sanie. Może prośby jakie mają.

- Nie! Oni chcą kniahini naszej miłościwej chleb i sól podać, a starzy pobłogosławić. Krasnesadybczanie sto lat tu nie byli! - zdyszany, z błyskającymi radośnie oczyma mówił Siła.

Piersi lejcowych koni oparły się o tłum; jak w mrowiu utonął zaprząg. I zagrzmiały tysięczne głosy:

- Długiego życia wam! Długiego życia! Chleb i sól weźcie! Panowanie wam długie! Boże łaski, Boża rada! Mnogie lata! Mnogie lata nam z wami!

I oto ujrzał Lew, że nie konie go wiozły przez ten lud, ale ludzie sami, bijąc się o godność ciągnięcia, spychając jeden drugiego. Pod górę ciągnęli wśród błogosławieństw i okrzyków, przez bramę zamczyska, aż na podwórzec pałacowy. Tam na ganku ujrzał Leon niespodziankę. Spodziewał się zastać tylko Grzymałę; zobaczył Izę i Maszkowskiego. Iza udawała chorą ostatnimi czasy; posądzał ją, że się boi matki, a ona gotowała mu na progu Holszy pierwsze serdeczne przyjęcie. Wrzask tłumu był tak ogłuszający, że wypłoszył z nory nawet profesora. Wytknął głowę przeze drzwi i patrzył nic nie rozumiejąc. A tymczasem ludzie dowieźli księcia pod ganek. Grzymała poszedł naprzeciw tłumowi, niosąc mu książęce słowo. Ze schodów, ku wchodzącym małżonkom, zeszła Iza, uśmiechnęła się do Gabryni i uściskała ją serdecznie.

- Pozwolisz, siostrzyczko! - rzekła.

Maszkowskiego bawili nadzwyczaj chłopci. Ucałował rękę Gabryni i zaraz zwrócił się do Lwa:

- No i powiedz mi, co ty robisz, że oni ciebie tak ubóstwiają? Słowo daję, to czarnoksiężstwo.

- Ani trochę! - śmiejąc się odparł Leon. - Dużo łagodności, dużo pobłażania, sprawiedliwość i stałość! Oto recepta. Nauczył mnie jej szwagier.

Maszkowski natychmiast wpadł na powracającego Grzymałę:

- Żeś mi pan nie sprzedał tarantów, zrobiłeś źle!

- Zrobiłem dobrze! - ze śmiechem odparł Grzymała. - Lewy był malik, a prawy łykawy.

- Nie może być! I ja tego nie dojrzałem? Słowo daję, to awantura.

- Zarządziłeś biesiadę ludziom? - spytał Leon szwagra.

- Naturalnie. Jeśli do wieczora ten pijany legion nie podpali kniaziowi na wiwat miasteczka, to będzie szczególne szczęście.

Iza uprowadziła Gabrynię do jej apartamentów. Wrócili do obiadu w zmienionych toaletach i już jak dawne znajome. Obiad od razu był ochoczy i poufały. Śmiał się Grzymała, śmiała się Iza, uwagi Maszkowskiego wywoływały oklaski. Nowożeńcy byli najpoważniejsi. Ale przy końcu Maszkowski, trochę cięty, wygłosił mowę i łypiąc niejasnymi oczkami rzekł:

- Człowiek jest jak koń! Bez tresury - kawaler, z narowami - stary kawaler, z ułogą - mąż złej żony. Ale mąż dobrej żony to ideał konia!

- Hrabio! - poczęła go reflektować Iza.

- Hrabina chce inaczej. Ja miałem coś księżnie powiedzieć! Aha! już wiem. Teraz już nikt się księżny matki nie boi, bo ona ciągle siedzi w Paryżu. Ja się jej okropnie bałem, póki myślałem, że przyjedzie. Na daleką metę nie dbam o żadne strachy i syna mego tak nauczę. Księżna ma Lwa swego, ma nas niedaleko! Niech księżna o nikogo więcej nie dba! Słowo daję!

Po tej mowie nawet Leon nie mógł powagi utrzymać. Wesołość ogarnęła wszystkich.

Pod wieczór odjechali Maszkowscy i Grzymała pożegnał nowożeńców.

- Pójdę bronić miasteczka! - rzekł wesoło.

Wtedy Gabrynia wsunęła rączkę pod ramię męża.

- Na ruiny nie pójdziemy, bo teraz nie kwitnie macierzanka, ale odwiedzimy wuja w pracowni - zaproponowała.

- Nie zapomniałaś więc tamtych czasów? - uśmiechnął się.

- Może na miejscu przypomnę - odparła wesoło.

Palilo się już światło u profesora, gdy weszli.

Stary - o dziwo! - podniósł oczy i poznał Leona.

- Dobrze, żeś przyszedł. Co to krzyczało tak okropnie? - spytał.

- To było moje wesele, profesorze. Ożeniłem się dzisiaj - rzekł Leon z uśmiechem.

- Ożeniłeś się? - zdziwił się stary na chwilę, i wnet spostrzegł Gabrynię, i dziecinnie się do niej uśmiechnął. - A, Gabrynia znowu u nas. Pokażę ci jutro zbiory. A wzrok masz zawsze dobry?

- To moja żona, profesorze! - zawołał ksiązę.

Ale uczonego tego nie dosłyszał. Suchą swą dłonią pochyloną główkę Gabryni pogładził i machinalnie wyszeptał:

- Dobra Gabrynia, dobra!

Potem wziął się znowu do pisania.

Oni usiedli pod ścianą w cieniu, na dwóch jednakowych zydelkach, i pochyleni ku sobie coś szeptali coraz ciszej.

Profesor ich już ani widział, ani słyszał.

Po długiej chwili jednak zaniepokoił się.

- Sami nie oglądajcie zbiorów! - rzekł. - Wszystko mi popłączecie! Zaczekajcie na mnie!

Nie otrzymując odpowiedzi, obejrzał się, ale ich już nie było w pokoju.

Pod ścianą stały tylko zydelki i delikatny zapach perfum Gabryni pozostał w powietrzu.

Odeszli!

Posłowie

Maria Rodziewiczówna nigdy nie była uznawana za pisarkę wielką. Nawet przeciwnie. Pastwiła się nad nią krytyka młodopolska, nie zostawiali na niej suchej nitki recenzenci dwudziestolecia. W czasach powojennych uznano za stosowne pomijać jej twórczość milczeniem. Jedna z nielicznych pozytywnych recenzji, wydrukowana w latach siedemdziesiątych przez "Literaturę" kończy się kuriozalnym dopiskiem "Od Redakcji", w którym dystansuje się ona od opinii autora. Tymczasem, niezależnie od daty wydania - w ciągu stu ostatnich lat - nakłady jej książek znikają w błyskawicznym tempie. Miała i ma swoich zagorzałych wielbicieli. "Lato leśnych ludzi", "Dewajtis", "Czahary", "Macierz", "Straszny dziadunio", "Szary proch" - to tylko niektóre spośród tytułów książek, na których może nie wychowały się, ale które czytały pokolenia. I trudno nawet mówić o tajemnicy powodzenia powieści Marii Rodziewiczówny. W czasach jej współczesnych stanowiły one swego rodzaju odpowiedź na społeczne zapotrzebowanie: zachowując konwencję modnego wówczas romansu, były zarazem lekturą patriotyczną, krzepiącą, dodającą odwagi do wytrwania w najtrudniejszej walce, w której bronią przeciw zaborcy była praca. To co zostało z nich dzisiaj, to atrakcyjne, z naszego punktu widzenia nieco baśniowe i nierzeczywiste w swym czarno-białym schemacie fabuły. ** *

Za życia była osobą niezwykle popularną - i to nie tylko za sprawą swoich książek. Była też wielką społeczniczką, czynną w organizacjach kobiecych za czasów zaborców i w wyzwolonej Polsce.

I o tym rozdziale jej życia - o Marii Rodziewiczównie, osobie publicznej - wiemy prawie wszystko. Niewiele natomiast, prawie nic, o Marii Rodziewiczówny życiu prywatnym. * * *

Do Warszawy dotarła 6 lutego 1940 roku. Siedemdziesięciosześcioletnia pisarka miała za sobą paromiesięczną wędrówkę z ukochanego dworu w Hruszowej na Polesiu, z którego wygnała ją wojna, do mieszkania przyjaciółki, Heleny Weyher, przy placu Dąbrowskiego. Dokuczała jej

astma i ciągle przeziębienia. Do stolicy przyjechała wraz z nią Jadwiga Skirmunttówna - młodsza o jedenaście lat kuzynka, od dawna już najbliższa towarzyska i powierniczka.

Początkowo obie panie cieszyły się najdrobniejszymi przedmiotami, które czekały na nie w warszawskim mieszkaniu, przypominającymi czasy, kiedy przyjeżdżały tu, by na krótko odetchnąć atmosferą stolicy. Potem pierwszy rok okupacji zaczął dawać się im we znaki. Brakowało pieniędzy i żywności - nie brakowało jednak przyjaciół. Po Warszawie rozeszła się wieść, że Maria Rodziewiczówna - chora i potrzebująca pomocy - mieszka przy placu Dąbrowskiego. Ludzie, którzy parę lat wcześniej wykupywali kolejne nakłady jej powieści, chcieli upewnić się teraz, czy "ich" Rodziewiczówna nie głoduje. Zjawiali się urzędnicy ze zdobytymi bądź pochodzącymi z własnych ogródków warzywami, kobieta z Powiśla przyniosła upieczoną w domu bułkę, ogrodniczka spod Warszawy zasilala spiżarnię, a zdarzało się też, że na stole zostawały pieniądze, położone tam ze słowami ufności, iż zostaną zużyte w dobrym celu (ze wspomnień Hieronima Tukalskiego-Nielubowicza). Później dopomagał także Międzynarodowy Czerwony Krzyż, Armia Krajowa, dawny wydawca (R. Wegner), wypłacający zaliczki na poczet przyszłych edycji jej książek. Rodziewiczówna, ciągle niedomagająca, mogła powiedzieć, że jest "pod opieką całego społeczeństwa". Opieka ta ułatwiła jej ostatnie chwile, kiedy - ewakuowana przez sanitariuszki powstańcze z mieszkania przy ulicy Szpitalnej 8 (dom Wedla), gdzie spędziła tygodnie sierpniowe 1944 roku - zmarła 16 listopada w Żelaznej koło Skierniewic. Przeżyła osiemdziesiąt jeden lat.

* * *

Osiemdziesiąt jeden lat, które upłynęły od dnia 2 lutego historycznego roku 1863, kiedy przyszła na świat we wsi Pieniuha, w okolicy Grodna. Dziecko liczyło sobie dwa miesiące, gdy jego rodzice - oboje brali udział w Powstaniu Styczniowym - zostali uwięzieni i zesłani na Syberię. Córeczką pod ich nieobecność opiekowała się ciotka, Karolina Skirmunttowa - surowa patriotka, wyznająca zasadę trwania "przy ziemi ojców" i najwyższych nawet wyrzeczeń dla ojczyzny. Rodzice wrócili w 1871 roku, dzięki ogólnej amnestii. Ponieważ zabroniono im powrotu na kresy, Marię i dwoje jej starszego rodzeństwa zabrali do Warszawy. Przez cztery lata borykali się tam z losem wygnańców, pozbawieni skonfiskowanego majątku; dzieci uczyły się w warszawskich szkołach. W 1875 roku ojciec odziedziczył po bracie majątek Hruszowa koło Antopola na Polesiu. Wrócili więc "na swoje" - choć to "swoje" było zadłużone, zaniedbane i nierentowne. Po śmierci ojca w 1881 roku we dworze pozostała nieco bezradna matka i troje dorosłych dzieci. Starsze rodzeństwo niechętnie myślało o "grzebaniu się" w ziemi, by wyciągnąć gospodarstwo ze stanu ruiny. Osiemnastoletnia Maria Rodziewiczówna marzyła o studiach za granicą. Ona to jednak właśnie zdecydowała się pozostać w Hruszowej, zaopiekować matką, spłacić rodzeństwo, ratować

majątek, pracować. "...(Panienska" z domu kresowego przywdziewa grubą kurtkę z szarego samodziału białoruskiego, chodzi w obuwiu juchtowym - w krótkiej spódnicy nic nie mającej wspólnego z "aktualnymi" wówczas na świecie modami, strzyże włosy krótko, "po męsku", i od świtu do nocy dogląda swego niewielkiego dobytku, pomnaża go, długi ciężące na ziemi spleca, wchodzi z tą ziemią w związek trwały, uczuciowy, nierozzerwalny" - pisał później jej biograf i edytor, Zdzisław Dębicki.

* **

W tym samym czasie, równoległe z ciężką, codzienną pracą, zaczęła pisać. Powieść "Straszny dziadunio", wyróżniona w konkursie pisma "Świt", którym kierowała wówczas Maria Konopnicka, ukazywała się w odcinkach, począwszy od roku 1883; kolejne powieści pojawiały się niemal co roku w "Bluszczu", "Kurierze Warszawskim", "Świcie", później w wydaniach książkowych. Na Polesiu rozwijała się pisarka, której utwory cieszyły się w światowej Warszawie coraz większą popularnością. Maria Rodziewiczówna nie starała się "nadażać za modą", nie dopasowywała swych powieści do panujących literackich smaków, a jeśli nawet - czyniła to tak, jak każdy pisarz działający w określonej epoce, przejmujący język, styl i - częściowo choćby - sposób myślenia owej epoki. Rodziewiczówna pisała przede wszystkim o sprawach i rzeczach, które były jej bliskie, drogie, które poznała i których doświadczyła. W "Czaharach" bohaterka decyduje się osiąść na ziemi, zdobywa sympatię prostych ludzi i przy ich pomocy doprowadza gospodarstwo do kwitnącego stanu, tak, że już wkrótce może wspierać finansowo braci, którzy w tym czasie zasmakowali, dzięki zagarnięciu lwiej części spadku, eleganckiego życia. Z doświadczeń własnych i z ich przedłużenia w fabuły powieściowe rodzi się morał: ów nieodzowny happy end, wiara w nagrodzoną cnotę, w niezniszczalną moc elementarnych uczuć i pasji, w uczciwość, dobro, przywiązanie do ziemi, do zamieszkujących ją ludzi, nawet do zwierząt. To wszystko, co w powieściach Rodziewiczówny mogło - i może - wydawać się szablonowe i wręcz irytujące swą naiwnością, jednak sprawiło, że od dziesiątków lat, od pierwszych wydań, mają one tysiące wiernych czytelników. Mieszkańcy wielkich miast, zmęczeni bezosobową, automatyczną pracą i - mimo stałej bliskości ludzi - zagubieni w "anonimowym tłumie", w tych właśnie książkach, opowiadających o poleskich moczarach i lasach znajdowali odpoczynek i kolejny zastrzyk psychicznej energii.

* * *

Rodziewiczówna nie lubiła wielkich miast, nie ufała im instynktownie - może z powodu owych spędzonych w Warszawie smutnych, dziecięcych czterech lat. Miastu przeciwstawia naturę

człowieka, który zdołał uchronić się od chorób ery przemysłowej. Jej najbardziej znana i najlepsza chyba powieść, "Lato leśnych ludzi", traktuje o trzech młodych mężczyznach, którzy co roku kilka miesięcy spędzają wśród surowej, nie zepsutej przez cywilizację przyrody, w chacie postawionej w głębi puszczy. "Odsunęła ich od przyrody cywilizacja, postęp tak zwany, zniszczenie natury przez rozrost przemysłu, straszny ciężar nowoczesnego bytu, nowoczesnych praw i obowiązków" - pisała o nich, dając im jednak szansę wyruszenia wczesną wiosną "na wyraj, na byt swój" - do lasu pełnego ptaków, zwierząt, znajomych drzew.

Także i tu Rodziewiczówna nie fantazjowała. Chata leśnych ludzi istniała rzeczywiście, choć nie mieszkali w niej mężczyźni, ale kobiety. Jadwiga Skirmuntówna opowiada w swoim wspomnieniu o pisarce, jak na kilka lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej narodził się projekt, "żeby gdzieś w hruszowskim lesie postawiła chatę, gdzie byśmy mogły jeździć, przesiadywać po trochu i żyć leśnym życiem". Niedługo potem pachnąca świeżym drewnem chata nazwana "Czahary" była już gotowa. "Główne sprzęty były ustawione, tapczany do spania, stół i ławki z pięknych, jesionowych desek. Ściany ozdobiłyśmy barwnymi tkaninami i po zjedzeniu z wielkim apetytem sporządzonej naprędce wieczery, usiadłyśmy na progu chaty, odpocząć po trudach i cieszyć się całą duszą tym zdobytym nowym, wyśnionym gniazdem. Wokoło nas zapadał cichy, wiosenny, poleski wieczór. Drobną brać ptasia odśpiewała swój wieczorny pacierz, na pobliskich łąkach grała żabia kapela i wabiło się błotne ptactwo..." Czytelnicy "Lata leśnych ludzi" odnajdą tu bez trudu atmosferę przywołaną w powieści.

* * *

Rodziewiczówna, tak jak Rosomak, jej "męskie wcielenie" z "Lata leśnych ludzi", była zamiłowanym ornitologiem. W miesiącach spędzanych w puszczy wiele czasu poświęcała obserwowaniu ptaków, studiowała dzieła naukowe i - jak sama kiedyś stwierdziła - zdobyła w ten sposób sporą wiedzę z tej dziedziny. Jej przyjaźń z sąsiadem Hruszowej, panem Zawadzkim - ornitologiem-amatorem - wspominała nieco wstydliwie przez znajomych i przyjaciół pisarki, była, jak się zdaje, jedynym romantycznym wątkiem jej biografii, skądinąd tak poważnej i mało kobiecej.

Autorka "Lata leśnych ludzi" nie wyszła nigdy za mąż, kompensując brak życia rodzinnego przyjaźnią z "bliskimi duszami", pracą oraz prawdziwie niezmordowaną działalnością społeczną. Kiedy uporała się z własnym gospodarstwem i wyprowadziła na czyste wody sprawy Hruszowej (nie bez znaczenia były tu wysokie honoraria za coraz liczniejsze powieści), zakładała świetlice wiejskie i sklepy spożywcze, opiekowała się ludowymi artystami i dbała o zdrowie żyjących w pobliżu wieśniaków. Podczas pierwszej wojny światowej współdziałała w organizowaniu szpitala

wojskowego i pracowała w Czerwonym Krzyżu, później zabierała często głos w kwestiach społecznych, rozczarowana kierunkiem przemian, jakie rozpoczęły się w Polsce po odzyskaniu niepodległości. Wymarzona, wyidealizowana ojczyzna zniechęcała ją przerostem biurokracji, polityką podatkową stosowaną wobec właścicieli ziemskich, fałszywą nowoczesnością i emancypacją. Ona wierzyła w swoje "odwieczne" ideały pracy na ziemi, u podstaw, w związek z naturą, w dobro ukryte w człowieku, a ujawniające się tylko w elementarnym wysiłku woli i mięśni: w to wszystko, co było przeciwieństwem europeizacji, nowoczesności, ery jazzu i kina.

Mimo że w jej powieściach roi się od wątków romansowych, pozostała kobietą surową, kryjącą wzruszenia przed innymi, nieco męską w sposobie bycia i nawet w ubiorze: krótko ostrzyżona, w sportowych kostiumach z grubego samodziału, otoczona przyjaciółkami i "działaczkami", które przejmowały jej styl. Jak głosi złośliwa anegdota, podczas jednego z jej jubileuszy ktoś ze znakomitych mówców podświadomie zaakcentował tę jej odrębność, zwracając się do zebranych: "Szanowne panie, szanowni panowie, i Ty, Mario Rodziewicz..."

* * *

Czy "Błękitnych", powieść tak bardzo odbiegającą od innych utworów Rodziewiczówny, należy oceniać w kategoriach literackich? Byłoby to chyba niecelowe. Czy napisana w chwili słabości, gdy Hruszowa wymagała inwestycji, czy w wyniku jakichś niespełnionych tęsknot do lepszego świata i wyższych sfer, jest po prostu małą ramotką, w której można odnaleźć typowe dla autorki schematy fabularne, podobne do opisanych lepiej w innych książkach sylwetki bohaterów, ba, nawet chwyt, zastosowany już wcześniej w "Między ustami a brzegiem pucharu", tzn. przeniesienie akcji z zaboru rosyjskiego do strefy zarządzanej przez Prusy. Choć i to nie wyszło tym razem najlepiej. Mimo wszystko jednak, a może właśnie dlatego, że ta książka tak bardzo różni się od innych, znanych nam prawie na pamięć, nie można jej nie znać. Bo czyta się ją przecież, nie ma co ukrywać, miło. Zdrowa porcja nawet tak nierealnej iluzji potrzebna jest w naszych czasach tak samo - jeśli nie bardziej - jak pod koniec ubiegłego wieku, a wiara w kilka podstawowych cnót, nawet jeśli smakuje staroświecko i w kostiumie tej powieści wręcz śmieszny - stanowić może punkt oparcia. Baśniowy, nierzeczywisty - ale jakże uspokajający.

Anna Brzozowska

Sic